

CH. M. SHELDON

W JEGO ŚLADY



PS5352

CH. M. SHELDON

W JEGO ŚLADY

Wolny przekład z angielskiego
i słowo wstępne

P. LASKOWSKIEGO

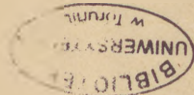
ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Pastor Henryk Maxwell siedział pewnego piątku w swojej pracowni i przygotowywał kazanie na niedzielę. Ale praca szła mu nieosobliwie, bo nie znajdował potrzebnego spokoju. Co chwila ktoś mu przeszkadzał.

— Jeśli jeszcze ktoś przyjdzie, Maryniu — zwrócił się wreszcie do żony — to powiedz, proszę, że jestem bardzo zajęty i że mogę przyjąć interesanta jedynie w sprawie niecierpiącej zwłoki.

— Dobrze — odparła żona. — Ponieważ muszę udać się do ochronki dla dzieci, przeto w godzinach najbliższych będziesz i tak zupełnie sam w domu.

Pastor powrócił do swej pracowni i zabrał się gorliwie do przerwanej pracy. Za tekst do kazania niedzielnego wybrał sobie 21 werset, 2 rozdziału, I Listu apostoła Piotra: „Albowiem na to też powołani jesteście, ponieważ i Chrystus cierpiał za was, zostawiwszy wam przykład, abyście chodzili jego śladami¹⁹. W pierwszej części kazania podkreślał ofiarną śmierć Chrystusa jako poświęcenie samego siebie, zaznaczając, że Chrystus poświęcił siebie nie tylko przez śmierć swoją, ale przez całe swoje życie na ziemi. Dalej zamierzał powiedzieć, że Chry-



110/1934

D. 100/2011

stus jest wzorem dla nas, i przykładami z życia i z nauki jego pragnął zilustrować, w jaki to sposób ludzie wierzący mogą naśladować wzór Chrystusowy. Wkońcu chciał się rozwieść nieco obszerniej o konieczności naśladowania Jezusa i wyliczyć pewne punkty, w których to naśladowanie ma się wyrażać osobliwie. Właśnie opracował tę część kazania, gdy wtem rozległ się dźwięk dzwonka przy drzwiach mieszkania.

Maxwell zmarszczył czoło i nie ruszył się z miejsca. Dopiero gdy dzwonek ozwał się po raz drugi, podszedł ku oknu i na stopniach u wejścia ujrzał młodego człowieka w znoszonym ubraniu.

— Wygląda jak włóczęga — szepnął duchowny i zszedł na dół, aby przybywającemu otworzyć drzwi.

Przybyły wahał się przez chwilę zanim powiedział w jakim celu przychodzi.

— Jestem bez zajęcia, panie pastarze — rzekł wreszcie, skubiąc nerwowo swój znoszony kapelusz — i myślałem, że znajdzie pan dla mnie jakie zajęcie, albo przynajmniej zechce mi dać kilka słów polecających do którego z fabrykantów lub właścicieli sklepów w tem mieście.

— Lękam się, że przydałoby się to panu nie na wiele — odparł pastor. — Prócz tego jestem dzisiaj bardzo zajęty i nie mogę poświęcić panu więcej czasu. Bardzo mi przykro, że w domu swoim nie mam żadnego odpowiedniego zajęcia dla pana, ale mam nadzieję, że gdzieindziej będzie pan szczęśliwszy.

Powiedziawszy to, Maxwell zamknął drzwi i powrócił do przerwanej pracy, ale przedtem popatrzył jeszcze za oddalającym się gościem, ponieważ smutek i przygnębienie, malujące się na jego twarzy, wywarły na nim mocne wrażenie. Z głębokim westchnieniem ujął pióro i starał się nawiazać przerwana myśl. Pisał spokojnie bez jakichkolwiek dalszych przeszkód i gdy po dwóch godzinach żona jego powróciła do domu, to kazanie było już gotowe i starannie złożone leżało na Biblii.

Po długich deszczach zajaśniał wreszcie pogodny ranek niedzielny nad miastem Raymond, a słoneczna pogoda oddziałała na mieszkańców miasta tak dobrze, że prawie wszyscy parafjanie Maxwella przybyli do kościoła. Przed początkiem nabożeństwa wielki gmach kościelny był zapelniony po brzegi.

Ponieważ do parafji Maxwella należały najprzedniejsze i najbogatsze rodziny miasta, przeto nie żałowano kosztów przy pozyskiwaniu dla chóru kościelnego najlepszych sił śpiewaczych i osobliwie tego ranka śpiew był taki doskonały, że wszyscy miłośnicy muzyki doznawali prawdziwego artystycznego zadowolenia. Pieśni były starannie dobrane do tekstu kazania. A kiedy jeszcze bezpośrednio przed kazaniem uroczą Rachelą Winslow powstała i wspaniałym swoim sopranem zaśpiewała znaną pieśń:

Pasterzu mój i Zbawco, któryś odkupił świat
I jasną drogę życia do nieba wskazał bram.
Jam twój! Ja serce swoje i duszę swą ci dam!
Jam twój! Jam twój! Za tobą podążę wiernie wślad...

wtedy na wszystkich twarzach malował się taki zachwyty, że jedynie cześć dla Domu Bożego powstrzymywała zgromadzonych przed głośnie-
mi wyrazami zadowolenia.

I pastor Maxwell słuchał tego śpiewu z widocznym zadowoleniem. Głos Racheli pobudzał go w sposób zgoła osobliwy i dlatego urządził się zawsze tak, aby ona śpiewała bezpośrednio przed kazaniem, gdyż czuł, że wzniosły nastrój, jaki wytwarzał jej śpiew, ogromnie potęgował w nim zapal kaznodziejski.

Nikt nie byłby mógł powiedzieć, że Maxwell był kaznodzieją nudnym. Niejeden, przeciwnie, zarzucał mu, że goni on za efektami kaznodziejskimi, chociaż nietylko w tem, co mówi, ile w tem, jak mówi. Ale parafianie jego cenili tę właściwość swego kaznodziei, ponieważ dzięki temu wznosił się sam i wznosił swoich słuchaczy ponad powszedniość. Wszyscy wiedzieli, że Maxwell lubi wygłaszać kazania i że kazalicę swoją ustępował innym tylko w razach nieuniknionej konieczności.

Kościół przepełniony wiernymi był dla niego widokiem uskrzydlającym jego ducha. Kazać przed pustemi ławkami nie lubił. Ulegał też nastrojom wytwarzanym przez pogodę. Wobec tak liczne audytorjum, jakie miał dzisiaj, czuł się w swoim żywiole. Zaznaczało się to całym wyraziście w jego pięknych ruchliwych rysach twarzy.

Kazanie jego ilustrowane doskonałemi przykładami wywarło duże wrażenie. Nawet w druku byłoby ono działało potężnie, tem

bardziej przeto oddziało na słuchaczy, gdy zostało wygłoszone przez niego w formie pod każdym względem doskonałej. I kaznodzieja i słuchacze byli z siebie zadowoleni bardziej niż kiedykolwiek.

Kazanie było skończone i chór miał właśnie zaśpiewać ostatnią pieśń:

Wszystko oddam Jezusowi,
Ponad świat się wzniosę wzwyż,
Pójdę za nim jego śladem
I poniosę jego krzyż.

Ale w tej chwili ku zdumieniu wszystkich z ostatnich ław pod chórem ozwał się głos jednego ze słuchaczy i zaraz potem obcy człowiek kroczył środkiem kościoła ku kazalnicy. Zanim zdołano się zorientować, o co chodzi, ów obcy człowiek stał przed kazalnica i przemówił do zgromadzonych: „Podczas gdy słuchałem kazania, zastanawiałem się nad tem, czy wypada mi, abym zabrał głos i dał wyraz tym myślom, które mnie potężnie poruszyły. Nie jestem pijany i nie jestem obłąkany, ale jestem prostym spokojnym człowiekiem. Jeśli jednak w dniach najbliższych wedle wszelkiego prawdopodobieństwa umrę, to chciałbym mieć to zadośćuczynienie, że wypowiedziałem to, co mi leżało na duszy i że wypowiedziałem to na tem miejscu i przed zgromadzeniem, jakie właśnie mam przed sobą“.

Pastor Maxwell stał jak skamieniały i spoglądał na obcego człowieka. Poznał w nim bo-

wiem tego, który w ubiegły piątek zadzwonił do niego i zwrócił na siebie uwagę swoim mizernym wyglądem i swoją bezradnością. Jak wtedy, tak i obecnie skubał on swój znoszony kapelusz nerwowym ruchem, który stał się niezawodnie jego przyzwyczajeniem. Człowiek ten był od dawna niegolony, a włosy jego spadały mu na czoło. Ktoś tak oszumiały i zaniedbany w swoim zewnętrznym wyglądzie nie zabierał jeszcze głosu przed słuchaczami tego kościoła, bowiem takich ludzi spotykało się jedynie na ulicy w dzielnicach robotniczych, ale nigdy w tak wytwornym towarzystwie.

W postawie i zachowaniu się tego obcego człowieka nie było nic wyzywającego lub hardego. Nie był on nawet podniecony, ale mówił głosem cichym, spokojnym i wyraźnym. Pomimo ogromnego zdumienia, jakie ogarnęło kaznodzieję, wydawało się mu, jakby coś podobnego był już kiedyś przeżył w śnie zapomnianym.

Nikt z obecnych nie próbował w jakikolwiek sposób przerwać mówiącemu, bowiem nikt nie wiedział, co w takich okolicznościach należało by uczynić. Jakkolwiek miały się rzeczy, obcy przemawiał tak spokojnie, jak gdyby nie myślał wcale o tem, że przez swoje wystąpienie wprowadza do nabożeństwa jakiś czynnik obcy i nieprzewidziany. Tymczasem Maxwell jeszcze ciągle stał pochylony na kazalnicy, a jego twarz stawała się z każdą chwilą coraz bledszą i smutniejszą. Ale nie przerwał on mówiącemu ani słowem jego wywodów, a zgromadzeni podobnie trwali w skupionem milczeniu. Rachel

Winslow była także śmiertelnie blada i z głębokim wzruszeniem spoglądała na oszumiałego człowieka trzymającego w ręku znoszony kapelusz.

— Zaznaczam, że nie jestem zwykłym włóczęgą — mówił obcy dalej — chociaż nigdy nie czytałem, aby Jezus był powiedział, że jeden rodzaj włóczęgów godzien jest większej uwagi od drugiego. Czy może ktoś z obecnych zna takie powiedzenie Jezusa?

Pytanie swoje wygłosił tak bezpretensjonalnie, jak gdyby przemawiał na zwykłym zebraniu biblijnem. Napad kaszlu zmusił go do przerwania przemówienia, ale gdy kaszel minął, mówił on dalej:

— Z zawodu jestem drukarzem, ale od dziesięciu miesięcy jestem bez zajęcia. Nowe maszyny drukarskie są zdaniem mojem wspaniałym wynalazkiem, ale z ich powodu, o ile wiem, sześciu ludzi popełniło samobójstwo. Naturalnie, iż nie czynię zarzutu wydawcom gazet, że nabywają takie maszyny, ale pytam: Co ma czynić taki człowiek jak ja, który zna tylko jedno rzemiosło i nie umie pracować w inny sposób? Przewędrowałem kawał świata, aby znaleźć dla siebie jakiegokolwiek zajęcie, ale szukałem go daremnie. W takim położeniu, jak moje, znajduje się wielu innych ludzi. Oczywiście, nie skarżę się, ale przytaczam jedynie fakty. Pomimo mojej rezygnacji musiałem jednakże w czasie kazania dzisiejszego myśleć o tem, czy to, co wy nazywacie naśladowaniem Jezusa jest tem samem, co głosił Jezus. Do jakiego naśladowania wzy-

wał Jezus, gdy mówił: Pójdźcie za mną? Duchowny wywodził — przy tych słowach obcy zwrócił się ku Maxwellowi — że uczniowie Jezusowi muszą kroczyć śladami swego Mistrza, a ślady te to posłuszeństwo, wiara, miłość i naśladowanie Jezusowego przykładu. Nie słyszałem wszakże, aby kaznodzieja był powiedział coś o tem, jak należy rozumieć poszczególne punkty, osobliwie zaś punkt ostatni. Jak wyobrażają sobie chrześcijanie chodzenie śladem Jezusa? Przez trzy dni szukałem w tem mieście zajęcia i przez cały ten czas nie spotkałem się u nikogo z życzliwym słowem współczucia i przyjaźni. Wyjątek stanowi jedynie wasz duchowny, który dodał mi odwagi i życzył mi powodzenia przy poszukiwaniu pracy. Być może, że współczucie wasze dla potrzebujących pomocy ostygło, ponieważ tak często bywa ona wyzyskiwana przez zawodowych żebraków, to też nikomu nie myślę nic wyrzucać i mówię jedynie, jak się rzeczy mają. Rozumiem doskonale, że nie możecie starać się o zajęcie dla nas i nie wymagam tego bynajmniej. Tylko bardzo chciałbym wiedzieć, co to znaczy naśladować Jezusa. Czy chcecie przez to powiedzieć, że dla ratowania cierpiących bliźnich gotowi jesteście wziąć na siebie cierpienia i wyrzeczenia, jak to czynił Chrystus? Niedole życia poznałem aż do dna. O ile wiem, to w samym tem mieście znajduje się pięćset ludzi bez zajęcia, a wszyscy ci ludzie są ojcami rodzin. Cieszę się, że przed czterema miesiącami śmierć wyzwoliła od cierpień moją żonę i że mała moja

córeczka znalazła w rodzinie pewnego drukarza przytułek na tak długo, dopóki nie będę mógł używać jej pracą rąk swoich.

— Gdy słyszę, jak chrześcijanie bardzo za-możni, mający wszystkiego pod dostatkiem, śpiewają: „Wszystko oddam chętnie, gdy Jezusa mam” — to muszę myśleć o swojej biednej żonie, która w dusznej izbie nowojorskiego domu daremnie pragnęła czystego powietrza i wreszcie nie miała już żadnego innego życzenia prócz tego, aby Bóg zabrał nasze małe dziecko. Stoję wobec nierozwiązalnej zagadki. Naturalnie, że nie chcę czynić was odpowiedzialnymi za każdego, kto z braku pożywienia ginie, ale tak bardzo chciałbym wiedzieć, na czem właściwie polega naśladowanie Jezusa. Wiadomo mi, że wiele z tych domów, w których mieszkają robotnicy, należą do ludzi, uważających siebie za zdecydowanych chrześcijan. Nie mogę sobie wyobrazić, aby ten człowiek, w którego domu umarła moja żona, odnosił się poważnie do chrześcijaństwa i do naśladowania Jezusa. Niedawno temu przechodziłem obok kościoła podczas nabożeństwa wieczorowego i słyszałem, jak śpiewano pieśń:

Tylko Jezus skarbem moim,
Tylko Jezus, Jezus sam!
Jemu chętnie oddam wszystko,
Jemu serce swoje dam!

— Słuchając słów tej pieśni, musiałem zastanawiać się nad tem, jak też ci ludzie rozu-

mieją te słowa? Zdaniem mojem dałoby się ze świata usunąć wiele cierpień i niedoli, gdyby ludzie nietylko śpiewali takie pieśni, ale gdyby jednocześnie starali się czynić tak, jak śpiewają. Być może, że w sprawach tych nie umiem myśleć dość jasno i może będziecie mogli pouczyć mnie o tem, co to znaczy kroczyć śladami Jezusa. Mnie się zdaje, że może tu chodzić jedynie o szczerze usiłowanie czynienia w każdym poszczególnym przypadku tego, co w danym razie uczyniłby Jezus. Czasem zdaje mi się, że tak zwani poważni chrześcijanie, zamieszkujący wielkie miasta, pozwalają sobie na wszelki możliwy przepych i corocznie wydają duże sumy na letnie podróże wypoczynkowe, ale nigdy nie myślą o tysiącach tych ludzi, którzy marnieją w nędzy i grzechu i giną w niezdrowych norach.

Obcy mówca zamilkł po tych słowach widocznie wyczerpany i miało się wrażenie, że przychodzi mu z trudem trzymanie się na nogach, ale zanim ktoś zdołał skoczyć mu z pomocą, upadł zemdłony na ziemię.

Pierwszy opamiętał się pastor Maxwell. W krótkich słowach powiedział zgromadzonym, że nabożeństwo jest skończone i pośpieszył na ratunek zemdłonego. Doktor West, obecny w kościele, oświadczył, że ów człowiek jeszcze żyje, ale wedle wszystkich ma ciężkie cierpienie serca. Delikatnie zanieśiono go na sofę w zakrystji i przedsięwzięto zabiegi dla przywrócenia mu przytomności. Tymczasem niektórzy współczujący ludzie naradzali się, co na-

leży narazie uczynić dla tego nieszczęśliwego człowieka.

— Moja matka przyjęłaby go bardzo chętnie — oświadczyła Rachel Winslow natychmiast, ale pastor Maxwell nastawał, aby chory biedak został przeniesiony na plebanję. Nie przeczuwał on, jakie brzemiennie skutki będzie miało to postanowienie dla całego jego dalszego życia.

Rzecz prosta, że wydarzenie w kościele było przedmiotem rozmów w ciągu całego następnego tygodnia. Ogólnem było mniemanie, że obcy przybysz skutkiem niedoli życiowej stracił rozum i przemawiał w stanie niepoczytalnym, nie zdając sobie sprawy z tego, że znajdował się w kościele. Ale uderzało w nim i to, że w słowach jego nie było goryczy i że nie uskarżał się na nikogo, ale wywierał wrażenie człowieka, który nie znajdował odpowiedzi na bardzo ważne dla niego pytanie.

Już nazajutrz oświadczył lekarz, że chory przeżyje najwyżej jaki tydzień. Siły jego malały z dnia na dzień, a przytomność powracała tylko na krótkie chwile. Pastor Maxwell spędzał każdą wolną chwilę w pokoju chorego i czuwał przy nim po nocach, tak że miał dość sposobności do zastanawiania się nad słowami tego dziwnego człowieka. Ogromnie chętnie byłby jeszcze porozmawiał o tem i owem z człowiekiem, który zapoznać się musiał z całym bezmiarem niedoli, ale chory był przeważnie nieprzytomny i leżał z zamkniętymi oczyma, a gdy je otwierał, to rozglądał się błędnie po pokoju.

W niedzielę rano chory zebrał wszystkie swoje siły i wyraził pragnienie zobaczenia swego dziecka.

— Pewno dzisiaj córka przybędzie — odpowiedział pastor Maxwell, który powstał był po nią, jak tylko z papierów nieszczęśliwego dowiedział się o miejscu jej zamieszkania.

— Na tym świecie już jej nie zobaczę — szepnął chory. — Był pan dla mnie dobry i sądzę, że tak byłby postąpił względem mnie Jezus.

Po tych słowach odwrócił się ku ścianie i skonał tak cicho, że Maxwell nie zauważył tego narazie.

Dzień był równie pogodny jak niedziela poprzednia, a kościół był bodaj jeszcze bardziej wypełniony wiernymi. Ale gdy pastor Maxwell wszedł na kazalnicę, wszyscy byli zdumieni zmianą, jaka w nim zaszła. Wyglądał on tak, jakby właśnie przeżył ciężką chorobę. Bo widać twarz jego nosiła ślady tych ciężkich walk wewnętrznych, jakie stoczył z sobą w ostatnim tygodniu.

Słowa jego kazania nie płynęły potoczyscie i równo jak zwykle, ale było w nich coś jakby wahanie i niepewność. Znać było po nim, że duszę jego poruszają myśli, które nie znajdują się w zbyt bliskim związku z tekstem jego kazania. Wreszcie zamknął Biblię i zaczął mówić o tem, co się stało w kościele minionej niedzieli.

— Brat nasz — rzekł z widocznym wzruszeniem — umarł dzisiaj rano. Dotychczas zdoła-

łem dowiedzieć się niewiele o jego życiu, napisałem wszakże do jego jedynej siostry w Chicago i spodziewam się od niej bliższych wiadomości. Córeczka zmarłego przybyła w kilka godzin po śmierci ojca i narazie pozostaje u nas.

Przez chwilę milczał spoglądając badawczo na zgromadzenie słuchające z napięciem jego słów i zastanawiał się, czy dobrze postępuje, dzieląc się z parafjanami swoimi temi myślami, jakie go poruszały. Ku zadowoleniu swemu dostrzegał w rysach niektórych swoich słuchaczy coś jakby współczucie i dlatego mówił dalej:

— Wystąpienie i słowa obcego, wypowiedziane tu ubiegłej niedzieli, wywarły na mnie głębokie wrażenie. Bezustannie nasuwało mi się pytanie: „Jak właściwie mamy rozumieć naśladowanie Chrystusa? Nie czuję się dzisiaj na siłach roztrząsać pytanie, jak dalece spełniłmy swoje obowiązki nie tylko względem tego człowieka, ale względem wszystkich podobnych do niego. Szczególniej zastanawiałem się nad tem, jak dalece spełniłem swoje obowiązki ja sam. Stało mi się jasnym, że wiele z tego, co ten człowiek powiedział, jest słusznym zarzutem pod adresem naszego dzisiejszego chrześcijaństwa. Muszę wyznać, że w ostatnim swoim kazaniu omieszkalem powiedzieć o tej jedynej podstawie, na jakiej prawdziwe naśladowanie Chrystusa wogóle jest możliwe. Nie możemy zacząć chodzić śladami Chrystusa wcześniej, niż od chwili, w której

stajemy się jego prawdziwymi uczniami, czyli dopóty jesteśmy do tego niezdolni, dopóki nie zdamy sobie sprawy, że sami jesteśmy grzeszni i bezsilni wobec wymagań ideału dobra i dopóki nie oddajemy się Chrystusowi, aby nas obmył krwią swoją. Wszystkie nasze własne usiłowania ku naśladowaniu Chrystusa zmierzające pozostaną daremnymi dopóki nie odrodzimy się w nim.

— Tym przeto, którzy dzielają moje zdanie, chciałbym uczynić pewną propozycję, która w zgromadzeniu chrześcijańskim nie powinna być czemś niezwykłym, ale która jednemu z pośród nas może wydać się przedśladną. Aby zostać jak najlepiej zrozumianym, wypowiem się jak najzwyczajniej. Życzeniem moim jest, aby z pośród moich parafjan zgłosili się dobrowolnie tacy, którzy zobowiązaliby się nie czynić w ciągu całego roku nic, zanim nie zadaliby sobie pytania: Co uczyniłby Chrystus? Dawszy sobie odpowiedź na to pytanie, ludzie ci powinni postępować zgodnie z tą odpowiedzią bez oglądania się na jakiegokolwiek możliwe skutki. Rzecz prosta, że przyłączam się do tych, którzy wzięliby na siebie dobrowolne zobowiązanie stanowczego naśladowania Chrystusa, a drodzy parafjanie moi dostrzegą, jak się spodziewam, że w przyszłym swoim postępowaniu kierować się będą jedynie pragnieniem, abym we wszystkich sprawach naśladował Chrystusa.

— Tych, którzy zechcą wziąć na siebie takie zobowiązanie, wzywam, aby po skończonym

nabożeństwie zechcieli zebrać się w zakrystji dla omówienia szczegółów. Hasłem naszym będzie pytanie: Co uczyniłby Chrystus? Dążeniem zaś naszym będzie takie wierne i możliwie dosłowne naśladowanie Chrystusa, jakiego w swoim czasie żądał Chrystus od uczeni swoich. Kto godzi się na moją propozycję, ten musiałby zobowiązać się na cały rok, poczynając od dnia dzisiejszego.

Pastor Maxwell zamilkł i znowuż okiem badawczym rozejrzał się po zgromadzonych. Jego prosta propozycja wywołała ogromne poruszenie. Wszyscy spoglądali po sobie oczyma pytającymi, jakby szukali odpowiedzi na pytanie, co mają sądzić o dziwnej przemianie, jaka zaszła w ich duchownym.

Po skończonym nabożeństwie tylko niewielu opuściło kościół natychmiast, większość zaś podzieliła się na grupki, w których żywo omawiano dziwną propozycję pastora. Dopiero na ponowne wezwanie duchownego doszło do podziału między rozprawiającymi. Część uczestników nabożeństwa udała się do zakrystji, reszta natomiast opuściła kościół, udając się do domów. Pastor Maxwell nie zastanawiał się wcale nad tem, jak wielu czy jak niewielu z pośród jego parafjan podda się tej poważnej próbie, był jednak zdumiony, gdy spostrzegł, że jednak jakieś pięćdziesiąt osób usłuchało jego wezwania. Śród nich znaleźli się: Edward Normann, bardzo poważany wydawca raymondzkiej „Wiadomości Codziennych”, Aleksander Powers, dyrektor wielkich warsztatów mecha-

nicznych kolei żelaznej, Donald Marsh, rektor seminarjum imienia Lincolna, ulubiona śpiewaczka Rachel Winslow, bogata i ładna dziewczeczka Wirginja Page, Milton Wright, jeden z najprzedniejszych kupców całego miasta, doktor West, który pomimo swej młodości był powszechnie ceniony jako doskonały chirurg i Jasper Chase, ulubiony pisarz ludowy.

Pastor Maxwell sam nie mógł jeszcze zdać sobie sprawy z doniosłości dzisiejszego swego kroku, ale przeczuwał dobrze, jak wielkie przeobrażenia muszą zajść w życiu miasta, gdy choćby mała grupka ludzi, przyłączając się do jego poglądu na naśladowanie Chrystusa, zaczęnie pogląd ten realizować w życiu powszednim. Wobec doniosłości postanowienia odczuwał on potrzebę zjednoczenia się z gromadką swoich wolontariuszy w modlitwie. Ledwie zaczął się on modlić, gdy wszyscy uczestnicy tego zgromadzenia poczuli tak potężne działanie Ducha świętego, jak gdyby spoczął na nich widomie.

— Zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, dlaczego się tu zgromadziliśmy — zagał Maxwell zebranie głosem drżącym ze wzruszenia — ja zaś czuję potrzebę podzielenia się z wami, co w tygodniu ubiegłym objawił mi Bóg przy łożu tego biednego chorego człowieka. Miałem dość czasu do zastanowienia się nad nakazem Chrystusa i do zbadania całego swego życia dotychczasowego jako ucznia Jezusowego. Mogę was zapewnić, że uczułem się głęboko upokorzonym, gdy spostrzegłem, że nie możemy kroczyć

ślądem Chrystusa, dopóki usiłujemy czynić to z własnej siły. Jasno, jak nigdy przedtem, uświadomiłem sobie, że byłibyśmy na wieki straconymi ludźmi, gdyby Chrystus przez swoją śmierć ofiarną nie był nas pojednał z Bogiem. Tylko ten, kto w wierze przyjmuje to pojednanie z Bogiem, otrzymuje siłę do naśladowania Chrystusa. Czułem żywą potrzebę zwrócenia wam uwagi na to, zanim razem ze mną złożycie przysięgę.

— Czy wolno zapytać o coś, co mnie interesuje? — zagadnęła Rachel Winslow, której piękna i pociągająca twarz jaśniała świętym zapałem. — Nie jest dla mnie dość jasnym po czem możemy niechybnie poznawać, co uczyniłby Jezus w danej sytuacji. Skąd naprzykład mogę się dowiedzieć, co Jezus uczyniłby na mojem miejscu? Żyjemy w warunkach tak odmiennych od tych, w jakich żył Jezus na ziemi i znajdujemy się nieraz w takich sytuacjach, dla których w życiu Jezusa niema, o ile wiem, żadnych analogji.

— Nie pozostaje nam nic innego jak tylko prosić Boga o jego Ducha, ponieważ tylko przez niego możemy poznawać jego wolę — odpowiedział Maxwell. — Jak pani wie, powiedział Chrystus do uczniów swoich o Duchu świętym: „Gdy przyjdzie on, Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę, bo nie sam od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszy, mówić będzie i przyszłe rzeczy wam opowie. On mnie uwielbi, bo z mego weźmie, a powie wam. Wszystko, co ma Ojciec, moje jest. Dlatego

rzekł, że z mego weźmie, a wam opowie". Innego drogowskazu niema i jego musimy trzymać się wszyscy.

— Co wszakże mamy czynić, jeśli zdaniem innych nasze postępowanie nie spotkałoby się z aprobatą Chrystusa? — zapytał dyrektor fabryki maszyn.

— Zdanie innych ludzi nie powinno wpływać na nasze postępowanie. Musimy tylko być zupełnie szczerymi względem samych siebie.

— Może się atoli zdarzyć, że przy najlepszej woli członkowie kościoła nie osiągną pożądaney jednomyślności co do naśladowania Chrystusa — zauważył rektor Marsh. — W jaki sposób możemy dojść do zupełnej jednomyślności i czy taka jednomyślność wogóle jest możliwa w każdym poszczególnym punkcie?

Maxwell pomilczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Istotnie, nie możemy liczyć na zupełną zgodność poglądów w tej sprawie. Sądzę jednak, że o ile będziemy szczerze usiłowali naśladować Chrystusa, to ani my, ani nasi współwyznawcy, o ile będą szczerzy, nie pozostaną w niepewności co do naszego postępowania. Musimy wystrzegać się przesady z jednej strony i nadmiernej lęklności z drugiej strony. Główną rzeczą jest, abyśmy słuchali Ducha świętego, który powie nam, co uczyniłby Jezus, a następnie musimy działać zgodnie z tem pozna- niem bez względu na nas samych. To rozumiemy chyba wszyscy.

Obecni potakiwaniem dali wyraz jednomyślności. Przez czas niejaki roztrząsali pewne poszczególne punkty, a wreszcie zgodzili się na to, że co tydzień zbierać się będą, aby dzielić się z sobą zdobytemi doświadczeniami. Gdy Maxwell odmówił krótką żarliwą modlitwę, wszyscy rozeszli się w milczeniu. Każdy czuł potrzebę samotności, aby corychlej w ciszy i skupieniu przed Panem zastanowić się nad całą sprawą. Maxwell zaś udał się do pokoju, w którym leżał zmarły i tam na kolanach błagał Boga o mądrość i siłę.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Edward Normann, wydawca „Wiadomości Codziennych” zdawał sobie dość jasno sprawę z trudności, z jakimi spotkać się musi, gdy zaciekle postępować zgodnie ze złożoną przysięgą, ale gdy nazajutrz, to jest w poniedziałek rano znalazł się w swoim biurze prywatnym i stanął w zamyśleniu nad biurkiem, powaga jego nowego położenia zaciężyła na nim tak bardzo, że poczuł się bezsilnym do podjęcia ciężkiej walki. Zdawało mu się, że jakaś potęga zmusza go, aby ukląkł i oto uczynił on to, czego nie czynił dotąd nigdy: zamknął się w swojej pracowni, ukląkł przy biurku i modlił się gorąco, aby Bóg dał mu mądrość i siłę do pełnienia obowiązków w duchu Jezusowym. Potem z powagą stanowczością zabrał się do swej zwykłej pracy.

Podczas gdy pisał artykuł wstępny do wydania wieczornego, pracownicy jego przybywali jeden za drugim i siadali przy swoich biurkach. Niebawem w całym biurze zapanowała gorączka pośpiesznej pracy. Z bliska i z dalei przychodziły telegramy i wiadomości telefoniczne od sprawozdawców, a ponieważ Normann osobiście interesował się wszystkimi, co dotyczyło jego pisma, przeto kierownik biura przedkładał mu wszystko, co napływało.

— Oto jest sprawozdanie z wczorajszej walki konkursowej — rzekł jego główny współpracownik Clark.—Ponieważ zajęłoby ono półtrzęciej szpalty, sądzę, że należy je nieco skrócić. Co pan sądzi?

— Proszę mi pokazać — rzekł wydawca i uważnie przeczytał całe sprawozdanie. Zamyślił się i jakby zawahał, a potem powiedział spokojnie: — Sprawozdania tego dzisiaj nie zamieścimy.

Urzędnik był tak zdumiony, iż wydało się mu, że nie dosłyszał.

— Co pan mówi, panie redaktorze? — zapytał.

— Mówię, aby pan sprawozdania z walki konkursowej nie zamieszczał. — Gdy zaś współpracownik spoglądał nań ze wzrastającym zdumieniem, dodał: — Czy pan nie rozumie? Życzę sobie, aby sprawozdanie z walki zamieszczone nie było i basta.

Jakkolwiek Clark cenił bardzo wysoko zdanie swego zwierzchnika, to jednak postępowanie jego wydawało się mu tak dalece niepojętem, iż zdumieniu swemu postanowił dać wyraz dobitniejszy:

— Czy naprawdę chciałby pan wydać numer dzisiejszy bez sprawozdania z walki konkursowej lub choćby bez wzmianki o niej?

— Tak jest.

— To rzecz niepojęta. A czy pomyślał pan o tem, co powiedzą na to prenumeratorki? Przecież to jest pro prostu... — Clark zaciął się

szukając daremnie odpowiedniego słowa dla wyrażenia swoich uczuć.

Normann spojrział na swego współpracownika okiem badawczym i nagle wydało mu się zgoła niepojętem, że dotychczas, w ciągu długich lat współpracy z nim, nigdy nie rozmawiał z nim o religji.

— Niech pan przymknie drzwi i przysiądź się na chwilę —. Gdy Clark czynił zadość wezwaniu zwierzchnika, ten zwrócił się do niego odrazu z zapytaniem: — Czy sądzisz pan, panie Clark, że gdyby Chrystus wydawał gazetę, to poświęciłby półtrzeciej szpalty sprawozdaniu z walki konkursowej?

— Wątpię — odparł zapytany.

— Doskonale. Oto jest powód, dla którego nie zamieszczam dzisiaj tego sprawozdania. Muszę panu powiedzieć, że zdecydowałem się w przeciągu całego roku nie zamieszczać w swem piśmie niczego, czego nie zamieściłby Jezus, gdyby wydawał dziennik.

Clark spojrział na swego zwierzchnika tak badawczo, jak gdyby chciał się przekonać, czy aby nie postradał on rozumu.

— A jak panu się zdaje, co stanie się w takim razie z pańskiej gazety? — odważył się narzeczcie zapytać.

— A cóż sądzi pan?

— Jeśli wytrwa pan w swoim postanowieniu, to w czasie najkrótszym wszyscy prenumeratorzy przestaną czytywać nasze pismo. Najzyczliwsi nasi czytelnicy oczekują dzisiaj z całą pewnością, że znajdą w gazecie sprawozdanie

z wielkiej walki konkursowej i dlatego uważam za bardzo ryzykowne takie nieliczenie się z życzeniami czytelników.

Normann siedział przez chwilę w cichem zamysleniu, a potem rzekł głosem spokojnym, ale stanowczym:

— Co uważa pan za właściwą podstawę postępowania? Czy nie sądzi pan, że Jezus winien być dla nas wzorem i że w życiu powszednim powinniśmy wedle najlepszego rozumienia i dobrej woli chodzić jego śladami?

Clark nie mógł spokojnie usiedzieć i zacerwienił się.

— Jeśli pan sprawę stawia w taki sposób, to muszę oczywiście przyznać panu zupełną słuszność — odpowiedział wreszcie. — Ale sądzę, że warto także zastanowić się nad tem, czy w ten sposób powiąże się koniec z końcem. Redaktor gazety musi w znacznej mierze stosować się do poglądów i życzeń swoich prenumeratorów i nie powinien postępować tak, jakby żył w jakimś świecie idealnym.

— Sądzisz pan zatem, że gazeta wydawana na zasadach chrześcijańskich nie może mieć widoków powodzenia?

— Tak. Jestem przekonany, że gazeta wydawana na takich zasadach nie utrzyma się dłużej niż miesiąc.

— W czasie najbliższym będziemy mieli jeszcze niejedną sposobność do omawiania tej sprawy. Dzisiaj powiem panu tylko tyle, że zobowiązałem się, iż w przeciągu roku nie za-

mieszczę w swem piśmie niczego, nie zadawszy sobie uprzednio pytania, co uczyniłby Jezus na mojem miejscu. Chcę postępować zgodnie z tą zasadą i jestem zdania, że będziemy mieli jeszcze większe powodzenie niż dotąd.

— A więc sprawozdanie z walki konkursowej ma zostać opuszczone?

— Tak jest. Mamy aż nadto dobrego materiału do zapełniania szpałt.

Wzruszając ramionami udał się Clark do swojej pracy. Miał on dla Normanna zbyt wiele szacunku, aby mógł być dać dobitniejszy wyraz swemu niezadowoleniu. Ale trapiły go najczarniejsze obawy co do przyszłości gazety, jeśli miałaby ona być redagowana według zasad wyłuszczonych przez wydawcę.

W biurach gazety zapanowało nieopisane zdumienie, gdy rozeszła się wieść, że wczorajsza ogromnie interesująca walka konkursowa ma być prosto przemilczana w „Wiadomościach Codziennych”. Normann spotykał się bezustannie ze spojrzeniami pytającymi, gdy musiał wychodzić do biur między swoich współpracowników, ale udawał, że tego nie dostrzeża. Myśli jego były zresztą tak bardzo pochłonięte sprawami poważnymi, że narazie było mu wszystko jedno, co pracownicy jego myślą sobie o nim. Nie ukrywał on sobie, że w gazecie jego nie wszystko było takim, jakim zgodnie z jego obecnymi zasadami być powinno, ale przed zabranieniem się do zasadniczych zmian chciał zdać sobie dokładnie sprawę z każdego poszczegół-

nego przypadku i zagłębić się w intencje Mistrza, którego duchem chciał się odtąd kierować wyłącznie.

Kiedy wieczorem „Wiadomości Codzienne” zostały wydane, prenumeratorzy i przygodni czytelnicy rzucili się ku nim z wielkim zaciekawieniem, szukając przedewszystkiem sprawozdania z pasjonującej ich walki konkursowej. Jakież jednak było ich zdumienie i oburzenie, gdy o walce tej nie znaleźli w gazecie ani jednego słowa! Jakiś pan rzucił się z gniewem na małego sprzedawcę gazet, który głosem głębokiego przekonania wywoływał: „Wiadomości Codzienne! Sprawozdanie z walki konkursowej!” Pan ów był oburzony do żywego i krzyczał:

— Ach, ty łobuzie, chcesz mi sprzedać starą gazetę!?

— Starą gazetę? — oburzył się z kolei chłopiec. — Niechże pan spojrzy na datę, a potem niech się pan kłóci.

— W takim razie pokaż mi, gdzie jest sprawozdanie z walki konkursowej.

Chłopiec przejrzał gazetę, wzruszył z niedowierzaniem ramionami i gwizdnął na kolegę znajdującego się w pobliżu.

— Pozwól mi — rzekł — zajrzeć do twoich gazet. — Ale po dokładnem przejrzaniu pisma przekonał się, że we wszystkich egzemplarzach „Wiadomości Codziennych” ani słowa nie było o walce.

— Prędko, dawaj mi jaką gazetę ze spra-

wozdaniem! — wołał zniecierpliwiony jego-
mość, a nie mogąc się doczekać, poszedł sobie
dalej, podczas gdy sprzedawcy gazet ze zdumie-
niem omawiali niesłychane wydarzenie.

— Kpią sobie z porządnych ludzi, czy co? —
rzekł wreszcie jeden z nich. Aby wyjaśnić nie-
jasną sprawę, pobiegł szybko do redakcji „Wia-
domości“, przed którą spotkał wiele innych
sprzedawców gazet, którzy z oburzeniem wy-
rzucali pisarzowi siedzącemu za okienkiem, że
zostali wyprowadzeni w pole.

Na szczęście Normann znalazł się w pobliżu
i zapytał zakłopotanego pisarza, o co właściwie
chodzi.

— Chłopcy powiadają, że nikt nie chce ku-
pować „Wiadomości Codziennych“, ponieważ
niema w nich nic o wczorajszej walce konkur-
sowej — odpowiedział pisarz, spoglądając na
swego pracodawcę okiem zdumionem.

Normann pomyślał przez chwilę, a potem
zwracając się do chłopców, rzekł:

— Policzcie swoje egzemplarze niesprze-
dane. Tym razem zapłacę wam za nie.

Chłopcy nie kazali sobie tego dwa razy po-
wtarzać, chociaż niemało byli zdumieni takim
nieoczekiwanym obrotem.

— Niech pan wypłaci każdemu jego na-
leżność — rzekł Normann do pisarza — a gdy-
by przyszli jeszcze inni chłopcy z takimi same-
mi pretensjami, to niech pan im także wypłaci
należność za niesprzedane numery. No,

jesteście zadowoleni, moi chłopcy? — zapytał,
zwracając się do sprzedawców.

— Jesteśmy zadowoleni! Tak! — odpowia-
dali chłopcy jeden przez drugiego. — Czy i na
przyszłość ma być tak samo dla bratniej zgody?

Normann uśmiechnął się, ale nie uważał za
potrzebne odpowiadać na tę naiwne pytanie.
W drodze do domu zastanawiał się jeszcze raz
wyczerpująco, czy Jezus na jego miejscu byłby
postąpił tak samo, oczywiście, nietylko w sto-
sunku do sprzedawców gazet, ale wogóle co do
zapoczątkowanego kierunku pisma. Nie dziwił
się wcale, że narazie uliczna sprzedaż gazety
spotkała się z niepowodzeniem, ale jak wiel-
kimi miały być jego straty przy realizowaniu
powziętych postanowień, o tem miał się prze-
konać dopiero w ciągu tygodnia.

Do redakcji „Wiadomości Codziennych“ na-
pływało dużo listów o takiej mniej więcej
treści:

„Do redaktora „Wiadomości Codziennych“.
Szanowny Panie, już od pewnego czasu nosiłem
się z zamiarem zaprenumerowania innego
pisma, któreby odpowiadało potrzebom współ-
czesnego oświeconego człowieka. Opuszczenie
sprawozdania z interesującej walki konkurso-
wej, które uważam za niewybaczalne dzi-
wactwo, przyspieszyło moją decyzję. Proszę
mnie skreślić z listy prenumeratorów. Z sza-
cunkiem (Tu następował podpis wybitnego
przemysłowca, który w ciągu wielu lat był sta-

łym prenumeratorem „Wiadomości Codziennych“).

„Wielmożny Edward Normann, redaktor „Wiadomości Codziennych“ w Raymond. Szanowny Panie! Co ma oznaczać pańskie dziwaczne postępowanie? Czy zamierza pan zrobić ze swego pisma organ sekciarskiego ruchu? Przyjmij pan radę życzliwego przyjaciela i nie puszczaj się na żadne eksperymenty. Jeśli gazeta pańska ma się cieszyć nadal powodzeniem dotychczasowem, to musi ona liczyć się z życzeniami prenumeratorem. Ludzie interesują się walkami konkursowymi i podobnymi sprawami. Na to niema rady. Z poważaniem.”

(Podpisany był stary przyjaciel Normanna, wydawca dziennika w mieście sąsiedniem.)

„Drogi Panie Redaktorze!

Odczuwam potrzebę wyrażenia panu swej radości nad sposobem, w jaki pan dotrzymuje swego zobowiązania. Zrobił pan dobry początek, którego nikt nie potrafi ocenić lepiej ode mnie. Wyobrażam sobie, że postępowanie pańskie będzie połączone dla pana z dużemi stratami, chociaż rozmiarów pańskiej ofiary nie jestem w stanie określić. Szczerze życzliwy Henryk Maxwell.”

Jednocześnie z listem pastora Maxwella otrzymał Normann następujące pismo, z którego doniosłości zdał sobie odrazu sprawę:

„Wielmożny Edward Normann, wydawca „Wiadomości Codziennych“.

Szanowny Panie! Postanowiłem nie odnawiać abonamentu na ogłoszenia w pańskiej gazecie na kwartał najbliższy i załączam czek regulujący nasze rachunki. W ten sposób stosunki, które nas łączyły, zostają zlikwidowane. Łączę wyrazy poważania.”

(List ten podpisany był przez właściciela jednego z największych składów tytoniu w mieście. Firma ta dawała gazecie całostronicowe ogłoszenia, za które płaciła bardzo dobrze.)

List ten nie mówił o przyczynach cofnięcia ogłoszeń, ale Normann odgadł zupełnie trafnie, że przyczyna tego tkwi w nowym kierunku gazety. Dopiero później dowiedział się Normann, że ów fabrykant tytoniu słysząc o zmniejszaniu się liczby prenumeratorem „Wiadomości Codziennych“ obawiał się, że jego wielkie ogłoszenia nie będą czytane przez tylu czytelników jak dotąd.

Podczas gdy Normann siedział w zamyśleniu nad biurkiem, oczy jego padły na dział ogłoszeniowy gazety. Z sumiennością, jaka cechowała go zwykle, zabrał się do przeglądania ogłoszeń i niebawem spostrzegł, że gdyby Jezus wydawał gazetę, to nie przyjmowałby ogłoszeń zachwalających różne napoje alkoholowe. Nie zastanawiając się już nad tem, czy to, co postanowił zrobić, nie zrukuje ostatecznie jego gazety, poznaczał odpowiednie ogłoszenia krzyżem i wezwał swego głównego współpracownika.

— Przejrzałem dział ogłoszeniowy naszego pisma, panie Clark — rzekł do przybyłego urzędnika — i zdecydowałem się nie odnawiać umowy z niektórymi firmami. Pan Holmes, który zajmuje się temi rzeczami, powiadomi oznaczone firmy o mojej decyzji.

— Oznacza to ponowne znaczne pomniejszenie się dochodów pisma — odpowiedział Clark, nie mogąc już opanować swego podrażnienia. — Jak długo zamierza pan prowadzić interesu na podstawie takich ideałów? Zdaniem mojem nie można dzisiaj wydawać pisma przy zasadach, jakich pan trzymać się zamierza.

— Dlaczego nie? — zapytał Normann spokojnie.

— Ponieważ przy tem traci się więcej, niż się zyskuje. Jeśli pan zechce utrzymać się przy swoich zasadach, to pismo musi upaść w czasie najbliższym.

Normann milczał przez chwilę, a potem powiedział stanowczo:

— Będzie tak, jak powiedziałem i proszę pana wydać Holmesowi odpowiednie dyspozycje. Pan wie, panie Clark, do czego się zobowiązałem, a ja nie mogę oprzeć się przeświadczeniu, że na mojem miejscu Jezus postępowałby tak samo, jak postępuję ja. Co do innych ogłoszeń, nie zdołałem wytworzyć sobie ostatecznego zdania i dlatego narazie pozostawiamy je.

Można sobie wyobrazić, że Clark nie znajdował się w zbyt różowem usposobieniu, gdy powrócił do swego biurka, a gdy później powtarzał

Holmesowi rozkazy zwierzchnika, obaj długoletni współpracownicy byli zdania, że Normann albo stracił rozum, albo też rozmyślnie chce się zrujnować.

Dotychczasowe przemiany nie powodowały wydawcy takich trudności, jak sprawa, która wyłoniła się dla niego pod koniec tygodnia. „Wiadomości Codzienne“ należały mianowicie do tych nielicznych pism, które wychodziły także w niedzielę. Właśnie niedzielne wydania gazety uczyniły ją ogromnie poczytną, ale bynajmniej nie dla jakiejś treści o charakterze religijnym, której poświęcano najwyżej jedną stronę, ale głównie dlatego, że w niej omawiano w sposób wytrawny wszystkie zagadnienia aktualne.

Gdy w piątek rano znalazł Normann na swoim biurku bogaty materiał dla numeru niedzielnego, stanął jak wryty. Nie ulegało dłań najmniejszej wątpliwości, że Jezus nigdy nie zgodziłby się na dostarczanie rodzinom chrześcijańskim takiej lektury, jaką dawała jego gazeta, i to w dniu, który przeznaczony był przez Boga na coś zgoła innego. Zarazem jednak Normann musiał sobie powiedzieć, że jeśli nie będzie wydawał numeru niedzielnego, to pozbawi robotników najtańszego i najdostępniejszego środka kształtującego ich umysł i serce. Robotnik, który przeważnie do kościoła nie chodzi i który czytać może jedynie w wolne godziny niedzielne, zostałby w ten sposób pokrzywdzony. Jednocześnie wszakże przyszło pytanie: Czy myślałbym tak życzliwie o potrzebach robotnika, gdy-

by mi numer niedzielny nie przynosił znacznego dochodu? Normann był naturą szczerą i uczciwą i oświecił sobie tę sprawę ze wszystkich stron. Następnie musiał zadać sobie pytanie, w jaki sposób zdołałby usprawiedliwić niewydawanie numeru niedzielnego przed czytelnikami, którzy prenumerowali gazetę dlatego, że ukazywała się ona siedem razy w tygodniu.

Po raz pierwszy wydało mu się, że w tym punkcie nie może naśladować wzoru Chrystusa. Zmagał się długo z samym sobą i uczynił wreszcie to, co w trudnych sytuacjach uczynić można najlepszego: przedłożył całą sprawę Bogu i prosił go o siłę i mądrość, aby mógł dotrzymać swego zobowiązania. Ponieważ był jedynym właścicielem pisma, przeto miał zupełnie wolną rękę w przeprowadzaniu wszystkich swoich zamierzeń. Postanowił tedy, że zgromadzi wszystkich swoich pracowników w dużej sali ekspedycyjnej i zapozna ich z celem i pobudkami swego postępowania. Zakomunikował im tedy, że numer niedzielny nadal wydawany nie będzie, że natomiast numer sobotni ukazywać się będzie w objętości podwójnej. W odpowiedniej notatce, która rzucałaby się w oczy, powiadomi się czytelników o wprowadzonej zmianie.

Gdy po raz pierwszy widział przed sobą wszystkich swoich współpracowników, narzuciła mu się myśl, czy Jezus, gdyby wydawał gazetę, nie dałby w taki czy inny sposób swoim współpracownikom możliwości wypowiedzenia się w ważnych sprawach dotyczących czasopisma. Chwila nie była odpowiednia do zastanawiania

się dalej nad tą myślą, ale Normann nie mógł przejść nad nią obojętnie.

Zgromadzeni współpracownicy wysłuchali jego słów w milczeniu. Gdy wszakże popowracali do swoich biur, zaczęła się między nimi bardzo żywa wymiana myśli o postępowaniu pryncypała, a niejeden drwił sobie z niego bez skrupułów.

Clark udał się za wydawcą do jego biura prywatnego, a był tak wzburzony, iż zdawało się, że gotów jest prosić o zwolnienie. Normann nie taił przed sobą, że pomoc takiego wytrawnego pracownika jest mu koniecznie potrzebna, osobliwie w tych warunkach, jakie się obecnie wytworzyły. Ale jednocześnie był on tak głęboko przekonany, że postępuje zgodnie z duchem Jezusowym, że postanowił wytrwać pomimo wszystko.

— Niech pan się nie dziwi, jeśli gazeta pańska upadnie — zawołał głosem wzburzonym ten najważniejszy współpracownik Normanna.

— Nie sądzę, aby miało dojść do tego — odparł wydawca. — Ale niech mi pan powie, czy chce pan wytrwać na stanowisku, dopóki przeprawiana przez pana katastrofa nie nastąpi? — zapytał z uśmiechem.

— Ja pana zupełnie nie rozumiem — odparł zapytany. — W tym tygodniu stał się pan zgłota innym człowiekiem.

— I ja siebie nie rozumiem, drogi panie. Czuję tylko, że jakaś wielka potęga zmusza mnie do takiego postępowania i że jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak pewny zwycięstwa, jak

obecnie. Nie odpowiedział mi pan wszakże na moje pytanie. Czy pozostanie pan na stanowisku?

Po pewnym wahaniu Clark odpowiedział, że pozostanie i po wymianie gorącego uścisku dłoni obaj panowie rozeszli się.

W niedzielę rano kościół był znowu wypełniony po brzegi. Gdy Edward Normann starym swoim zwyczajem zajął miejsce w pobliżu kazalnicy, uwaga wszystkich zgromadzonych skupiła się na nim. Wszyscy wiedzieli już jakie zmiany pozaprowadzał on w swoim piśmie i każdy chciał przyrzeć się temu odważnemu człowiekowi. Wogóle dawało się zauważyć, że wszyscy uczestnicy nabożeństwa znajdowali się w stanie pewnego podniecenia. Oczywiście, że powodem ogólnego zainteresowania były nie tylko zmiany w „Wiadomościach Codziennych“, bo tymczasem opowiadano sobie także o inżynierze Aleksandrze Powersie, który pozaprowadzał ciekawe inowacje w kierowanej przez siebie fabryce maszyn, i o Miltonie Wrightcie, który zaprowadził różne zmiany w swoim domu handlowym przy ulicy Głównej.

Kto słyszał kazanie Maxwella przed dwoma tygodniami, ten musiał dostrzedz w nim ogromną zmianę, gdy ujrzał go dzisiaj na kazalnicy. W rysach jego wyrażała się święta powaga, a modlitwa, którą poprzedził kazanie, była tak głęboko przeniknięta świadomością obecności Bożej, że wszyscy uczestnicy nabożeństwa poczuli się nagle jakby w czystszej atmosferze. Samo kazanie nie daje się po-

prostu opisać. Każdy czuł, że ten, który je wygłaszał, zajmował się przez cały tydzień ważnym dla siebie pytaniem: Co uczyniłby Jezus i jak kazałby on, gdyby był duchownym tego kościoła?

Podczas przygotowywania się do tego kazania odczuwał on boleśnie, jak dalekiem jest to kazanie od ideału, który jaśniał przed oczyma jego ducha, a jednak ani jeden ze słuchaczy Maxwella nie mógł oprzeć się potężnemu uczuciu, że kazanie to było natchnione przez Ducha świętego.

Uczestnicy nabożeństwa słuchali słów kazania w głębokim skupieniu. Ze świętą powagą, jakiej dotychczas nie dostrzegano w kaznodziej, mówił on o brzydocie grzechu, osobliwie o grzechu obłudy, chłostał poniżającą człowieka żądzę bogactwa i panujące wśród chrześcijan samolubstwo, ale z serdecznym ciepłem wskazywał jednocześnie na Baranka Bożego, który gładzi grzechy świata i gotów jest wspomagać każdego pragnącego wyrwać się ze szponów grzechu.

Na specjalne życzenie pastora śpiewała Rachel Winslow dopiero po kazaniu. Tym razem jednak w nikim nie powstawało pragnienie dania głośnego wyrazu zadowolenia z jej śpiewu, w którym prócz zwykłej artystycznej doskonałości spoczywała taka dziwna pokora i czystość, że wszyscy tracili z oczu śpiewaczkę, a tem żywiej odczuwali treść śpiewu, w którym wyrażało się tkliwe wołanie Zbawiciela.

Gdy pastor Maxwell po skończonem nabożeństwie znalazł się w zakrystji, w której miało odbyć się zapowiedziane zgromadzenie, spostrzegł z radością, że do szeregu dotychczasowych zwolenników jego zasady przyłączyło się wiele nowych osób, szczególnie z pośród młodzieży. Przybyli oni, aby wziąć na siebie to samo zobowiązanie, jakiemu poddali się ich poprzednicy. Jak za pierwszym razem, tak i obecnie, pastor modląc się wzywał pomocy Ducha świętego i znów wszyscy czuli, że Bóg wysłuchał modlitwę i że sprawa podjęta przez zebranych odpowiada jego woli.

W braterskiej zgodzie poruszono szereg spraw, zastanowiono się nad powstającymi trudnościami i wzięto pod uwagę różne postanowienia. Kroki poczynione przez wydawcę Normanna spotkały się z powszechną aprobatą, jakkolwiek wszyscy zgromadzeni doskonale zdawali sobie sprawę ze strat, jakie ponosić on musi z powodu dotrzymywania wierności przyjętej zasadzie.

Nawet po skończonem zgromadzeniu rozchodzący się uczestnicy rozmawiali z sobą gorliwie o sprawach poruszających ich dusze. Rachel Winslow i Wirginja Page zastanawiały się po drodze do domu w jaki też sposób Chrystus wyzyskałby ich dary specjalne dla świętych celów. Edward Normann i Milton Wright tak dalece zagłębili się w rozmowie, że przez długi czas spacerowali przed domem Normanna. Jasper Chase roztrząsał poważne sprawy z kierownikiem związku młodzieży stojąc

na rogu ulicy, a Aleksander Powers z pastorem Maxwellem dyskutowali przed drzwiami kościoła jeszcze wówczas, gdy wszyscy inni porochochodzili się już dawno.

— Czy nie zechciałby pan przybyć do mego biura jutro około godziny jedenastej? — zapytał Powers przy żegnaniu się z Maxwellem. — Chciałbym panu pokazać inowację, jaką zaprowadziłem. Może będzie pan taki dobry i zechce przy tej sposobności zwrócić się z kilku słowy do moich robotników.

— Zobaczę — odpowiedział Maxwell po krótkim zawahaniu. Ale nazajutrz nie wahał się i punktualnie o godzinie oznaczonej znalazł się w biurze inżyniera, który przez dużą hallę maszyn i po wysokich schodach zaprowadził go do dużej jasnej sali.

— Odkąd owej niedzieli wziętem na siebie wiadome zobowiązanie, musiałem nieraz myśleć o tem, jak też Jezus troszczyłby się o dobro robotników, gdyby był na mojem miejscu — rzekł dyrektor Powers. — Narazie postanowiłem wyzyskać dla pewnych celów tę salę, którą zarząd kolei oddał do mojego rozporządzenia. Pragnę, aby robotnicy moi mieli ładne pomieszczenie, w którem mogliby spokojnie spożywać posiłek obiadowy i dlatego kazałem ustawić tu szereg prostych stołów i ławek. Tam w roku urządzimy rodzaj kawiarenki, w której robotnicy będą mogli otrzymywać filiżankę ciepłej kawy za niedrogi pieniądz. Przedewszystkiem chodzi mi o to, abym mógł robotnikom swoim służyć pod względem duchowym. Z wieloletniego

swego doświadczenia wiem, że ludzie ci mają zainteresowanie dla rzeczy wyższych i jako uczeń Chrystusa muszę się postarać, aby poznać ich w jakikolwiek sposób z Ewangelią. Mam zamiar prowadzić z nimi pogadanki dwa lub trzy razy w tygodniu, a mianowicie podczas przerw obiadowych. Chciałbym dać im pewną sumę wiadomości, które mogłyby przydać się im w życiu późniejszym, a przede wszystkim wskazać im najważniejszy warunek szczęśliwego życia. Czy nie zechciałby pan zapoczątkować tę rzecz króciutkim przemówieniem?

Maxwell nie wiedział co ma odpowiedzieć. Jakże ma przemówić do robotników i to bez poprzedniego przygotowania? Chłodny dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy usłyszał odgłos syreny fabrycznej sygnalizującej przerwę obiadową. Tłumy robotników zaciekawione zaproszeniem dyrektora, schodziły się do sali i sadowiły się z zadowoleniem przy stołach ustawionych dla ich użytku. Gdy robotnicy spożyli obiad, dyrektor Powers w słowach prostych wyłożył im cel swojej inowacji i przedstawił im pastora Maxwella, który chce do nich przemówić.

Choć mogłoby się to wydawać niewiarogodnym, to jednak było prawdziwym, że do robotników Maxwell miał przemawiać po raz pierwszy w życiu. Czuł on, że jedynie nowe jego zasady dodają mu odwagi do przemawiania do ludzi, z jakimi nie stykał się dotychczas, a przeto nie znał ich prawie wcale. Zaczął mówić o zadowoleniu, wskazując, jak można je

osiągnąć i z jakiego źródła ono tryska. Roztropnie uniknął przytem wszystkiego, co mogłoby budzić refleksje na temat różnicy klas i stanów i to podobało się robotnikom tak dalece, że niektórzy podchodzili do niego i ściskali mu rękę.

Po powrocie do domu opowiadał Maxwell swej żonie jak dobroczynnie odczuł szczery uścisk twardej dłoni robotniczej. Nie przeczuwał on, że właśnie dzisiaj między nim a robotnikami został zadzierżgnięty mocny węzeł i że zarazem uczyniony był pierwszy krok ku zasypaniu tej głębokiej przepaści, jaka istniała między robotnikami a kościołem w mieście Raymond.

I dyrektor Powers był bardzo zadowolony ze swojej inowacji i w duchu widział już wszystkie korzyści, jakie dzięki niej zdołają osiągnąć robotnicy. Z nową siłą i radością rzucił się on ku zadaniom, które na niego czekały i zabrał się do przegłądania korespondencji. Wkońcu otworzył list zarządu, który zdaniem jego zawierał upoważnienie do zakupów materiału. Dopiero gdy przeczytał pierwsze słowa, przekonał się, że list ten dostał się w jego ręce przez pomyłkę i że był on przeznaczony dla dyrektora wydziału frachtowego. Chociaż nie zamierzał on bynajmniej czytać coś, co nie było przeznaczone dla niego, oko jego padło na niektóre słowa listu i nim się opatrzył, spostrzegł, że jego towarzystwo systematycznie omija pewne przepisy prawne i w ten sposób

unika uiszczania znacznych opłat należących się skarbowi.

Dyrektor rzucił papier, jak gdyby on był jadowity i zamyślił się. Co też w takim wypadku uczyniłby Jezus? — przyszło mu na myśl. Miał wielką ochotę pokryć tę całą sprawę milczeniem, ponieważ jako dyrektora oddziału maszynowego nic go ona nie obchodziła. Jak wszyscy jego koledzy, tak i on miał zawsze wrażenie, że służba frachtowa jego towarzystwa pod względem prawnym nie jest bez zarzutu, ale dotychczas do rąk jego nie dotarł żaden dowód, który potwierdzałby jego przypuszczenia i dlatego sumienie jego nie wyrzucało mu milczenia. Teraz sprawa wyglądała zgoła inaczej. Gdyby widział jak porą nocną złodziej zakrada się do niestrzeżonego domu, to napewno udałby się do najbliższego posterunku policyjnego i powiedziałby co widział. Czyż postępowanie jego towarzystwa było lepszym od czynu złodzieja i czy Jezus na jego miejscu nie uczyniłby wszystkiego dla wykrycia oszukaństwa? Powers przeraził się samej myśli o tem. Wiedział on, że taki krok pozbawiłby go nie tylko jego intratnego stanowiska, ale nadto wobec wielu znajomych postawiłby go w świetle zgoła fałszywym. Co powiedziałyby na to jego żona? Jak myślałyby jego córki o takim postępku? Czy wolno mu jako ojcu i mężowi narażać się na utratę miejsca, a najbliższych swoich wystawiać na możliwą nędzę i zubożenie? Cóż uczyniłby Jezus na jego miejscu?

O godzinie szóstej zamilkł łoskot wielkich maszyn, robotnicy opuszczali sale i rozpraszali się. W pół godziny później zakończył swoje prace także i maszynista, ale Powers siedział jeszcze ciągle przy swoim biurku. Gdy biła godzina siódma, podniósł się jak człowiek obciążony nieznośnym brzemieniem, osunął się na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Gdy Rachelą Winslow i Wirginia Page po nabożeństwie niedzielnym przeszły spory kawałek drogi prowadząc poważną rozmowę, Wirginia zaprosiła przyjaciółkę, aby nazajutrz przyszła do niej na obiad i na dalszy ciąg rozpoczętej właśnie rozmowy.

W poniedziałek o oznaczonej godzinie Rachelą znalazła się u przyjaciółki i ledwo przekroczyła próg jej pokoju, rozpoczęła z nią rozmowę na temat, który tak żywo interesował obie w przeciągu całego minionego tygodnia.

— W ciągu ostatnich dni otrzymałam dwie propozycje — zaczęła Rachelą. — Jedną z tych propozycji pochodzi od dyrektora pewnego zespołu operowego, który proponuje mi bardzo korzystną wędrowną artystyczną. Słyszał mnie śpiewającą w kościele i powiada, że powinien dać się poznać jako śpiewaczka szerszemu ogółowi. Oczywiście, że nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, jak zachować się wobec tej propozycji, natomiast propozycja druga budzi we mnie duże wątpliwości. Pewien przedsiębiorca koncertowy, który zamierza urządzić szereg koncertów i zdołał pozyskać już kilka pierwszorzędnych sił, proponuje mi udział w tych koncertach w charakterze pierwszej sopranistki z bardzo dobrą gażą. Zapytuję

samą siebie, czy Jezus przyjąłby taką propozycję i nie mógł oprzeć się przekonaniu, że on nigdy nie wyzyskałby swoich darów w taki sposób. Co sądzisz, Wirginjo?

— Nie mogę ci nic stanowczego powiedzieć — odparła Wirginia z melancholijnym uśmiechem. — Zdaniem mojem pastor Maxwell zupełnie słusznie zaznaczył, że każdy musi swoje wątpliwości rozstrzygać sam, wedle tego, co mu radzi jego sumienie. Możesz mi wierzyć, Rachelo, że mnie jest jeszcze trudniej rozstrzygnąć pytanie, jak postępowałby Jezus na mojem miejscu. Gdy oknem spoglądam na ruch uliczny to często powstaje we mnie pytanie, jak zachowywałby się Jezus w tych kołach towarzyskich, do których my obie należymy. Nie mogę sobie wyobrazić, aby aprobował on życie, jakie prowadzimy z roku na rok. Czyż to nie wstyd, że wszystkie nasze troski kręcą się jedynie dokoła jedzenia, picia, strojów, przepychu i zabaw? Gdy od czasu do czasu mamy jakiś drobniak na cele dobroczynne, to wydaje się nam, że uczyniliśmy dosyć, aby uspokoić wymagania sumienia. Powiedz sama, Rachelo, czy przesadzam. Przy swoim bogactwie uchodzę w całym mieście za istotę godną zazdrości, ale gdy spojrzę na całe dotychczasowe życie swoje przez pryzmat Słowa Bożego, to muszę się rumienić.

Rachelą w milczeniu uściśliła rękę przyjaciółki. Sama czuła doskonale, do jakich przygnębiających wniosków musiałaby dojść, gdyby życie swoje porównała z temi wymaganiami,

jakie Jezus stawiał swoim uczniom. Wychowała się ona i żyła w takich samych warunkach, jak jej przyjaciółka i rzeczywiście nie знаła innych życzeń nad te, aby mieć jak najwięcej przyjemności i aby dzięki swej urodzie i pięknemu głosowi zbierać jak najwięcej hołdów. Wiedziała ona, że w głosie jej tała się wielka potęga i że mogła być zdobyć bardzo znaczne mienie, gdyby chciała występować publicznie jako śpiewaczka. Być może, że talent swój do pewnego stopnia przeceniała, ale w każdym razie po raz pierwszy zrozumiała, jak wielką odpowiedzialność włożył na nią Bóg razem z jej darem głosu.

Prócz obu przyjaciółek przy stole podczas obiadu znalazła się babka Wirginji, ładna i krzepka staruszka 65-letnia oraz jedyny brat Wirginji, Rollin, który całe dni przepędzał przeważnie w klubie, ale zawsze znalazł się w domu, gdy wiedział, że oczekiwana jest Rachela Winslow jako bardzo miły gość.

Matka Wirginji umarła przed dziesięciu laty, a ojciec zmarł minionej zimy, oboje rodzeństwo mieszkali razem z babką, kobietą wytworną, która w kołach towarzyskich cieszyła się wielkim poważaniem. Na życzenie zmarłego ojca Wirginji oddano część majątku do bezpośredniego rozporządzenia; tę część majątku administrowała młoda kobieta tak mądrze i roztropnie, że pani Page nie potrzebowała się wcale niepokoić o nią.

Dla głębszych potrzeb swej duszy nie znajdowała Wirginja żadnego zrozumienia ani

w babce, ani w bracie. Wiedziała o tem Rachel, która przyjaźniła się z Wirginją od lat dziecięcych i zdawała sobie przeto sprawę z tych niesłychanych trudności, jakie spiętrzą się przed jej przyjaciółką, gdy zechce ona realizować swój ideał naśladowania Chrystusa.

— Słyszałem, że zamierza pani poświęcić się scenie — rzekł Rollin do Racheli podczas obiadu.

— Któż to panu powiedział? — zapytała Rachel rumieniąc się.

— Mówi się o tem w całym mieście. Domyślano się tego odrazu, gdy widziano kierownika opery pana Grandalla w kościele. Nie przyszedł on do kościoła, aby wysłuchać kazania, ale chodziło mu jedynie o rozkosze muzyczne, jak tyłu innym zresztą.

Tym razem Rachel nie zarumieniła się, ale odpowiedziała głosem spokojnym:

— Myli się pan. Nie myślę wcale o scenie.

— Mam nadzieję, że pani zastanowi się nad tą sprawą. Zapewniłam panią, że z takim głosem zrobi pani wszędzie furorę. Byłoby krzywdą dla szerszej publiczności, gdyby nie miała zapoznać się z pięknym głosem pani.

— Mówmy o czem innym — rzekła Rachel chłodno.

Pani Page spojrzała na nią okiem bardzo życzliwym i rzekła dla udobruchania miłego gościa:

— Wiesz dobrze, Rachelo, że Rollin odziedziczył po swoim ojcu sposób prawienia ludzi grzeczności. Gdy chce być uprzejmym,

to bywa dziwnie niezgrabnym. Czy nie zechcesz podzielić się z nami swemi planami? Sądzę, że jako starzy znajomi mamy pewne prawo do poufałości. Wirginja mówiła nam już o propozycji, jaką zrobił ci przedsiębiorca koncertowy.

— Ponieważ wczoraj pisały o tem „Wiadomości Codzienne“, nie uważałam tego za tajemnicę.

— Oczywiście, że i ja czytałam tę wzmiankę — rzekła Rachel. — Ogromnie cenię sobie życzliwość starych przyjaciół — dodała zwracając się do pani Page. — Właśnie przed obiadem rozmawiałam o tej sprawie z Wirginją i zdecydowałam się propozycji tej nie przyjąć. Co dalej uczynię, tego jeszcze nie wiem.

— A dlaczego miałaby pani wahać się? Czy wolno o to zapytać? — nastawała pani Page. — Z takimi propozycjami nie spotykają się młode panny codziennie. Podzielałam zupełnie pogląd Rollina, że byłoby szkoda, gdyby tylko uczestnicy nabożeństw mieli możność rozkoszować się głosem pani.

Rachela była naogół bardzo powściągliwa i niechętnie dzieliła się swemi planami i zamiarami z innymi ludźmi. Dzisiaj wszakże zdawało się jej, że powinna jasno i wyraźnie wypowiedzieć się o swoich pobudkach.

— Nie mam żadnego innego powodu prócz przekonania, że na mojem miejscu Jezus postąpiłby podobnie — rzekła spokojnie spoglądając swemi jasnymi i wyrazistemi oczami na pytającą.

Pani Page zaczerwieniła się, a Rollin wyglądał tak, jakby nie dowierzał własnym uszom. Zanim oboje zdążyli uporać się z najwyższem zdumieniem, odezwała się Wirginja, a jej policzki pały od wewnętrznego poruszenia:

— Wiesz, babciu, że zobowiązałyśmy się na przeciąg roku postępować według tej zasady. Pastor Maxwell wyłożył nam zasadę i jej pobudki tak jasno, że nie pozostawił w nas najmniejszych wątpliwości. Tylko że spostrzegamy, iż nie jest to bynajmniej rzeczą taką łatwą powiedzieć sobie, co w danym wypadku uczyniłby Chrystus.

— Oczywiście, że i ja oceniam należycie propozycję pastora Maxwella — odparła ostro pani Page — ale w życiu jest ona niewykonalna. Dlatego przypuszczałam, że ci, którzy wzięli na siebie to zobowiązanie, spostrzegą niebawem, iż zabrali się do rzeczy niemożliwej. Co do postępowania panny Racheli, to nie mam oczywiście prawa krytyki, ale od ciebie, moja Wirginjo, oczekuję, że nie będziesz się kierowała takimi przesadnymi motywami.

— W ostatnim tygodniu zastanawiałam się istotnie nad temi motywami, czy one są przesadne, czy nie — odpowiedziała Wirginja spokojnie — ale stało mi się już całkiem jasnym jak postępowałby Jezus na mojem miejscu. A to, co poznałam jako słuszne, tego będę się trzymała.

— Panie wybaczą mi, że udam się do biblioteki na cygaro — powiedział w pewnej chwili

Rollin — rozmowa zesłała na tory, które są dla mnie dość obce.

Pani Page była bardzo zagniewana, a chociaż przez wzgląd na obecność gościa usiłowała pannaować nad sobą, to jednak się jej to nie udawało.

— Jestem o wiele lat starsza od was, moje panie — rzekła wreszcie tonem bardzo chłodnym — a przeto lepiej od was wiem, że życie na takich podstawach, na jakich wy je chcecie zbudować, jest niemożliwe.

— Czy sądzisz, babciu, że nie możemy naśladować wzorów Chrystusa i że przy takich usiłowaniach musimy obrazić obyczaje i zwyczaje społeczeństwa?

— Takich rzeczy nadzwyczajnych nikt od nas nie wymaga, bo one są całkiem niepotrzebne. Jakże zapatruje się na twoje postępowanie twoja matka, Rachelo? Cóż tedy chcesz zrobić ze swoim głosem?

— Nie wiem jeszcze, co matka moja na to powie — odpowiedziała Rachelo głosem, w którym drgała nieśmiałość.

Znała ona ambicje swej matki i liczyła się z jej ostrym oporem.

Niebawem pani Page opuściła obie przyjaciółki i Rachelo pożegnała się z Wirginją. Przed nieuniknionem rozmówieniem się z matką odczuwała ona potrzebę samotności i skupienia się w sobie. Miała różne plany, nad którymi jednakże należało się zastanowić, zanim będzie mogła rozmawiać o nich z matką. Zanim znalazła się na rogu najbliższej ulicy, dogonił ją

Rollin Page i prosił ją, aby mu pozwoliła towarzyszyć sobie. Chociaż w tej chwili jego towarzystwo nie było dla niej osobliwie miłym, to jednak zgodziła się na jego propozycję, tem bardziej, iż wiedziała, że Rollin nie daje się zbyć byle czem.

— Czy pani myśli o mnie czasem, panno Rachelo? — zapytał, odrzucając cygaro.

— Owszem, od czasu do czasu — odpowiedziała Rachelo ze śmiechem.

— Czy teraz myślała pani o mnie.

— Jakże mogłoby być inaczej? — roześmiała się Rachelo.

— Jak mam rozumieć odpowiedź pani?

— Jeśli mam być szczerą, to życzyłam sobie, aby pan był możliwie daleko od tego miejsca, na którym pan się znajduje.

Rollin przygryzł wargi i milczał przez chwilę. Potem rzekł:

— Widzi pani, panno Rachelo, zdaje mi się, że pani stała się dla mnie bardzo niełaskawą. Wie pani bardzo dobrze, czem pani jest dla mnie. Dlaczego odnosi się pani do mnie tak nieżyczliwie? Dawniej była pani dla mnie taka dobra.

— Zapewne, jako dzieci rozumieliśmy się doskonale, ale tymczasem przybyło nam lat i zmieniliśmy się pod niejednym względem. — Rachelo mówiła swobodnie i lekko, jakby na odczepne. Myśli jej były gdzieindziej.

Idąc obok siebie, ujrzeni Jaspera Chase, który uklonił im się grzecznie.

— Ach, gdybym ja był Jasperem Chase —

rzekł Rollin tak cicho, jakby mówił do samego siebie.

Rachela zarumieniła się i przyspieszyła kroku. Odgadywała ona, że Rollin pragnie powiedzieć jej o swoich uczuciach i daremnie szukała sposobu, aby uniknąć takiej rozmowy z nim.

— Niechże mi pani powie przynajmniej, panno Rachelo, czy mogę mieć jakąś nadzieję — zaczął Rollin na nowo. — Zdaje mi się, że mógłbym panią uczęszeliwić, bo kocham panią już od dawna.

— Jak pan sądzi, panie Rollin, wiele ja mam lat? — zapytała Rachela z odcieniem złości w głosie.

— Pani wie bardzo dobrze, o czym ja mówię i nie powinna mi pani dokuczać, gdy mówię pani o tem, iż chciałbym panią mieć za żonę.

— Nie dokuczam panu bynajmniej, ale proszę pana, aby pan nie mówił ze mną o tem. To się nie zdało na nic — odparła cicho.

— Czy nie sądzi pani, że... że może z czasem...

— Nie, nie sądzę — odrzekła szorstko i tak oschle, aż jej samej było potem żal młodzieńca.

— I dlaczegoż to? — nacierał Rollin dalej.

— Ponieważ nie żywię dla pana takich uczuć, jakie przyszła żona powinna mieć dla przysłego męża.

— A więc pani mnie nie kocha?

— Nie, nie kocham i nigdy nie zdołałabym pana pokochać.

— Ale dlaczego? — dobijał się Rollin odpowiedzi.

Rachela zawahała się.

— Niechże mi pani powie całą prawdę — prosił Rollin. — Nie może mi pani powiedzieć nic przykrzejszego nadto, co mi pani już powiedziała.

— Nie mogę pana kochać, ponieważ nie ma pan żadnego celu w życiu. Niech pan sam pomyśli o tem, czy pan zrobił dotychczas cokolwiek dla dobra bliźnich. Cały swój czas spędza pan w klubie, w sali tańców, w teatrze, w podrózach, jednym słowem wszędzie tam, gdzie może pan znaleźć jakąś uciechę dla siebie. Czy przypuszcza pan, że mężczyzna, żyjący w taki sposób, może być pociągającym dla kobiety poważnej?

— Oczywiście, że niebardzo — odpowiedział Rollin z wymuszonym uśmiechem. — Ale w gruncie rzeczy nie jestem wcale gorszy od wielu innych. Jestem nawet lepszy od wielu moich znajomych. Zresztą dziękuję pani za jej szczerą odpowiedź.

Rzekłszy to, uchylił kapelusza, skłonił się nisko i oddalił się.

Krokiem szybkim zmierzała Rachela ku domowi, zamknęła się w swoim pokoju i starała się zdać sobie sprawę z tego, co ją właśnie spotkało. Całkiem niepotrzebnie wytknęła Rollinowi jego życie niepożyteczne. A czyż jej własne życie było o wiele lepszem? Cóż ona sama zrobiła dla bliźnich swoich? Od czasu, jak uczyła się w Europie śpiewu u najlepszych profesorów, śpiewała co niedziela w kościele i była za to bardzo dobrze płacona. To było

Rachela mówiła z takim przejęciem i zapętem, że matka spoglądała na nią okiem zdumionem. Nowe poglądy córki nie podobały się jej wcale i niezadowolenia swęgo nie ukrywała przed córką.

— Cóż to się z tobą stało, moja kochana? — zawołała tonem podrażnionym. Chciałabym nareszcie słyszeć, jakie właściwie masz zamiary.

— Mamusiu, pozwól mi zrobić próbę użycia mego głosu dla dobra ludzkości w służbie Bożej — prosiła Rachela. — Nie mogę sobie wyobrazić, aby Jezus uczestniczył w tem przedsięwzięciu koncertowem i w tem wszystkim, co się z takimi przedsięwzięciami kojarzy.

Pani Winslow chodziła wzburzona po pokoju. Po pewnej chwili zapytała:

— Cóż więc zamierzasz uczynić?

— Narazie będę dalej śpiewała w chórze kościelnym w niedziele, a w dni powszednie w zgromadzeniach Białego Krzyża w Rectangu.

— I ty myślisz o tem poważnie, Rachelo? — zawołała pani Winslow oburzona. — Czy ty nie wiesz, jaka hołota się tam zbiera?

Rachela pobladła śmiertelnie, ale odpowiedziała spokojnie:

— Właśnie dlatego, iż wiem jakie smutne stosunki panują w tej zaniedbanej części miasta, pragnę tam śpiewać. Pan Gray i jego żona pracują wśród tych ludzi od dawna i poszukują teraz dobrej siły śpiewaczki, aby ludzi pociągnąć ładnym śpiewem. Sądzę, że w ten sposób mogłabym pracować dla sprawy Bożej. Ach,

mamusiu, gdybyś chciała mnie zrozumieć! Całe moje pragnienie idzie jedynie w tym kierunku, abym mogła złożyć Zbawcy osobistą ofiarę. Dotychczas nie odmówiłam sobie jeszcze niczego dla posłużenia ubogim i zaniedbanym bliźnim. Czyż wolno nam z roku na rok kręcić się jedynie w granicach tak zwanego dobrego towarzystwa, myśleć jedynie o własnych przyjemnościach i nie czynić nic dla złagodzenia nędzy fizycznej i duchowej naszych bliźnich?

— Od kiedyż to nastąpiły takie obowiązki dla córek, aby wygłaszały kazania swoim własnym matkom? — zapytała pani Winslow tonem lodowatym.

— Nie tobie, mamusiu, wygłaszam kazanie, ale samej sobie — odparła Rachela jak najłagodniej. Gdy zaś matka jej trwała w wyniosłem milczeniu, opuściła pokój i pośpieszyła do swęgo pokoiku na górze. Nie spodziewała się, że spotka się u matki ze zrozumieniem, ale sposób, w jaki matka przyjęła jej wywody, zranił ją do żywego.

Biedna Rachela! Wszystko sprzysięgło się dzisiaj przeciwko niej. Najprzód bardzo niemiła scena u Wirginji, potem przykra rozmowa z Rollinem, a wreszcie ta smutna rozmowa z matką! Nie miała nikogo, komu byłaby mogła powiedzieć, jak bardzo było jej smutno. We dnie i w nocy widziała ona postać biednego, nieszczęśliwego człowieka, który słowami tak wnikliwymi mówił uczestnikom nabożeństwa o ich samolubnem życiu, o egoistycznych dążeniach tak zwanych chrześcijan i jeszcze dziś

słyszała słowa Maxwella: „Wszystkie nasze osobiste usiłowania chodzenia śladami Jezusa są daremnymi, dopóki się nie odrodzimy.”

Cóż chciał on przez to powiedzieć?

Podobnie jak tysiące innych chrześcijan, tak i Rachela wyrosła i wychowała się w atmosferze kościoła chrześcijańskiego, ale nigdy nie zastanawiała się dokładnie nad boskim planem zbawienia. Wiedziała ona oczywiście, że Chrystus umarł dla zbawienia ludzi, ale do świadomości jej nie dotarł jeszcze fakt, że ten Chrystus umarł także za nią i że dla niej także jedyną drogą zbawienia było przywłaszczenie sobie zasługi Chrystusa. Dopóki ów dziwny obcy człowiek nie stanął przed jej oczyma, zdawało się jej, że zbawienie może ona osiągnąć własnymi dobrymi uczynkami. Już w ciągu dni ostatnich opanowywał ją coraz bardziej dziwny niepokój, ale dopiero teraz czuła się w całej pełni nieszczęśliwą. A jednak była w tem niewymowna łaska Boża, że na tej drodze miała ona zyskać całkowitą wolność duszy.

Po długim bezowocnym rozpamiętywaniu i rozmyślaniu o swoim stanie duchowym sięgnęła po Biblię i przerzucała kartkę za kartką. Nagle wzrok jej padł na słowo Jana 3, 16: „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto w niego wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny”.

Przez chwilę spoglądała na to słowo, aż wreszcie Duch Boży otworzył jej serce, aby zrozumiało je w całej pełni. Osunęła się na

kolana i modliła się tak, jak nie modliła się jeszcze nigdy w życiu: „Jak biedne, słabe i ślepe dziecko przychodzę do ciebie, Panie Jezu, i proszę cię o pomoc twoją i światło w ciemnym życiu mojem. Chciałabym osiągnąć pokój i zaznać prawdziwej radości, o Panie, a ty jeden możesz mi wskazać drogę ku niemu. Niema we mnie tego nowego życia, jakiego wymagasz od uczni swoich. Dlatego proszę cię, o Panie, objaw mi się i dopomóż mi w niedoli mojej.”

Gdy powstała z klęczek, miła jej twarz była zroszona łzami, ale jej niepokój znikł, a w oczach jej odbijał się pokój Boży. Zanim udała się do matki swojej, napisała kilka słów do Wirginji i wyprawiła je przez posłańca.

— Mamusiu — rzekła do matki — w tej chwili napisałam do Wirginji, zapytując ją, czy nie zechciałaby udać się ze mną dzisiaj wieczorem do Rectangu na zgromadzenie religijne. Prosiłam ją, aby wrazie, gdyby miała ochotę, zabrała z sobą D-ra Westa, iżby nam towarzyszył. Wiem, że jest on zaprzyjaźniony z państwem Gray i nie wątpię, że zechce zaopiekować się nami.

Jakkolwiek pani Winslow ujawniała swoje wielkie niezadowolenie, stałam upartym milczeniem, Rachela ani przez chwilę nie załowała swego postępowania. Około godziny siódmej obie przyjaciółki w towarzystwie D-ra Westa udały się w drogę do dzielnicy Rectangle.

Dzielnica ta była częścią miasta osławioną pod każdym względem. Graniczyła ona niemal bezpośrednio z wielkimi warsztatami kolejo-

wymi. W brudnych, nędznych domach mieszkali ludzie zaniedbani pod względem moralnym i niemal w każdym drugim lub trzecim domu znajdowały się szynki i piwiarnie, cieszące się wielkiem powodzeniem u ludności tej dzielnicy.

Oczywiście, że każdy niemal kościół starał się o wywarcie zbawiennego wpływu na zdemoralizowaną ludność tej części miasta, ale ogół mieszkańców miasta Raymond nie poczuwał się jeszcze do obowiązku zajęcia się tą ludnością, osobliwie zaś wytworniejsza część miasta, to jest parafja pastora Maxwella, uważała tych zaniedbanych ludzi za niegodnych bliższej uwagi.

Do tej to zaniedbanej dzielnicy dotarł wędrowny kaznodzieja-ewangelizator Gray ze swoją dzielną małżonką, rozbił tu wielki namiot i zaczął odbywać wieczorowe zgromadzenia religijne. Dzielnemu temu człowiekowi nie zabrakło pomocy moralnej i materialnej ze strony różnych kościołów miasta, ale niestety, nie spotkał czynnej pomocy i nie rozporządzał odpowiedniami siłami współpracownicami. Osobliwie dawał się żywo odczuwać brak siły śpiewaczej, która mogłaby wspierać grę na fisharmonji.

Gdy Aleksander Powers owego wieczora krótko po godzinie ósmej opuścił swoje biuro i na rogu Rectangu czekał na najbliższy tramwaj, do uszu jego dotarł nagle znany mu śpiew, wychodzący z namiotu. Śpiew ten zbudził go z jego głębokiej zadumy.

— W jaki sposób mogła dostać się tu Rachela Winslow? — pomyślał dyrektor, który od razu

poznał jej głos. Był to przypadkiem, że śpiewała akurat znaną pieśń:

Pasterzu mój i Zbawco, któryś odkupił świat
I jasną drogę życia do nieba wskazał bram,
Jam twój! Ja serce swoje i duszę swą ci dam!
Jam twój! Jam twój! Za tobą podążę wiernie
wślad.

Słowo za słowem przenikało w duszę dyrektora, jak gdyby sam Bóg był mu poddawał słowa uroczystej przysięgi na nowo. Jeśli przed chwilą miał jeszcze wątpliwości co do tego, jak ma postąpić wobec uczynionej odkrycia, to teraz wątpliwości te rozproszyły się ostatecznie.

Ze wszystkich stron napływali ludzie, znęceni pięknym śpiewem i namiot był dzisiaj napełniony do ostatniego miejsca. Dyrektor Powers natomiast udał się do domu i jeszcze tegoż wieczoru uczynił to, czego domagało się od niego jego sumienie.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Pastor Maxwell przechadzał się krokiem wolnym po swojej pracowni i zastanawiał się nad tem, jaki też tekst wybrać należy dla przemówienia na dzisiejszem zgromadzeniu biblijnem. Ilekroć zbliżał się podczas swego spaceru do pewnego okna i spoglądał niemię w dał, tylekroć oko jego spoczywało na strzechach domów Rectanglu, z pośród których wyłaniał się namiot kaznodziei Graya.

Po pewnej chwili usiadł przy biurku, wziął kartkę papieru i zaczął robić następujące notatki:

Co prawdopodobnie uczyniłby Jezus w mojej parafji, gdyby był na mojem miejscu.

1. Prowadzić życie proste bez niepotrzebnego przepychu, ale też bez przesadnego gardzenia wszelkim komfortem.

2. Bez trwoży karcieć w kazaniach wszelką obłudę bez oglądania się na osobę.

3. Wszystkim członkom kościoła okazywać życzliwą sympatję słowem i czynem, a to zarówno ubogim i potrzebującym pomocy jak i bogatym i oświeconym.

4. Nie unikać udziału w rozwiązywaniu zagadnień społecznych, choćby to wymagało wyzrzeń osobistych i ofiar.

5. Wszelkimi możliwymi i dostępnymi środkami zwalczać swobodę w wyszynku napojów alkoholowych.

6. Zająć się zaniechaną ludnością Rectanglu, jako przyjaciel i brat i starać się podźwignąć ją.

7. Wyrzec się tegorocznej podróży do Europy. (Byłem już dwa razy w Europie i nie potrzebuję tego roku urlopu wypoczynkowego. Pieniędźmi zaoszczędzonymi w ten sposób mogę dopomóc człowiekowi potrzebującemu wypoczynku do spędzenia kilku tygodni na wsi. Takich ludzi nie brak tu zapewne.)

Cóż uczyniłby Jezus jeszcze, gdyby był na miejscu pastora Maxwella?

Ku wielkiemu wstydomu swemu musiał pastor Maxwell powiedzieć sobie, że jego notatki nawet zdaleka nie wyczerpywały wszystkiego, co Jezus jako duszpasterz uczyniłby dla swoich owieczek, ale chodziło mu o to, aby myślom dotyczącym Jezusa jako duszpasterza dał wyraz określony. Każdy z wymienionych punktów oznaczał dla Maxwella prawie całkowity przewrót chociaż dotychczas powołanie swoje starał się spełniać sumiennie i wiernie. Im bardziej odczuwał swoją niedoskonałość, tem bardziej usiłował zdać sobie sprawę ze swoich braków w stosunku do stanowiska, jakie na jego miejscu zająłby Chrystus. Poniechał wypisywanie dalszych myśli w tej sprawie, i tem usilniej starał się przedstawić sobie Jezusa w poszczególnych rysach. Dzięki tym rozmyśleniom zapomniał on przygotować się na godzinę biblijną, nie słyszał nawet dzwonka u drzwi i przestraszył się, gdy

służąca podała mu bilet wizytowy Graya. Wyszedł na jego spotkanie i poprosił gościa do swego gabinetu, aby mogli porozmawiać spokojnie.

— Chciałbym pana prosić o wyświadczenie mi wielkiej grzeczności — zaczął Gray. — Zapewne słyszał pan o tych wspaniałych zgromadzeniach, jakie mieliśmy wczoraj i onegdaj. Panna Winslow swoim śpiewem dokonała więcej, niż my wszystkimi dotychczasowymi usiłowaniami. Namiot nie zdolał pomieścić wszystkich przybywających.

— Słyszałem o tem — odparł Maxwell i mogę sobie wyobrazić jaką siłą pociągającą jest wspaniały śpiew panny Winslow dla wszystkich, którzy słyszeli ją po raz pierwszy.

— Dla mnie — mówił dalej Gray — doświadczenie to jest ogromnie cenne i zachęca mnie do nowych wysiłków. Ale przechodzę do właściwego celu mej wizyty. Postanowiłem prosić pana, aby zechciał pan dzisiaj wieczorem przemówić w moim namiocie do zgromadzonych. Niestety, nie mogę dzisiaj wygłosić kazania, ponieważ jestem zaziębiony. Niech mi pan nie bierze za złe nieskromnej prośby i niech pan powie mi całkiem otwarcie, czy nie przychodzę czasem nie w porę. Gdyby pan był bardzo zajęty, to rozejrzałbym się za innym zastępcą.

— Niestety, mam dzisiaj wieczorem zwykłą godzinę biblijną, ale uczynię wszystko, co będę mógł, abym mógł panu posłużyć. Niech pan na mnie liczy.

Gray był bardzo zadowolony i, dziękując za przyrzeczenie, chciał się oddalić.

— Czy nie znalazłby pan dla mnie jeszcze chwilki czasu, aby pomodlić się ze mną? — zapytał Maxwell.

— Oczywiście, pozostanę chętnie jeszcze przez chwilę.

Obaj mężowie uklękli a sławny kaznodzieja Maxwell modlił się w taki serdeczny sposób o siłę i mądrość Bożą, iżby w sposób skuteczny mógł przemówić do ludzi gromadzących się w Rectangu, że w oczach Graya zajaśniały łzy.

— Niech Bóg pana błogosławi — rzekł do Maxwella, gdy powstał z klęczek i gorąco uściśnął jego dłoń. — Nie wątpię, że dzisiaj wieczorem natchnie pana Bóg takimi słowami, jakie potrzebne są dla moich zwykłych słuchaczy.

Pastor Maxwell czuł w sobie tak mało sił i stanowczości, że nie znalazł żadnego odpowiedniego słowa dla odpowiedzenia Grayowi. Atoli na samą myśl o obietnicy Boga, który obiecał słabym pomoc swoją czasu potrzeby, głęboka radość zawitała do jego serca.

Gdy członkowie jego kościoła znaleźli się w zakrytym kościele dla odbycia zwykłej godziny biblijnej, czekała na Maxwella nowa niespodzianka. Maxwell powiadomił zebranych, że Gray prosił go o zastępstwo dziś wieczorem i dodał:

— Zdaje mi się, że powinienem pośpieszyć z pomocą temu miłemu bratu i pozostawiam wam, czy zechcecie odbyć zwykłe zgromadzenie beze mnie. Zdaniem mojem byłoby najlepiej,

gdyby niektórzy z was udali się ze mną, aby mogli pomagać po zgromadzeniu, inni zaś pozostałoby tutaj i wspieraliby nasze usiłowania swemi modlitwami.

Oczywiście, że czegoś podobnego nie byłby mógł Maxwell wymagać od swoich zborowników, gdyby nie był czuł wyraźnie, że zapanował wśród nich nowy duch, który był dość potężny, aby zachęcił każdego do współpracy nad pozyskiwaniem nowych dusz dla Chrystusa.

Gdy z gromadką swoich dobrowolnych pomocników znalazł się w namiocie, było w nim takie mnóstwo ludzi, że z wielkim trudem dostał się do estrady, z której miał przemawiać. Racheli i Wirginji znajdowały się już w namiocie, zaś obok nich siedział Jasper Chase, który towarzyszył im dzisiaj zamiast doktora.

Zgromadzenie zostało rozpoczęte pieśnią, w której Racheli śpiewała solo, a zebrani mieli przyłączyć się do pieśni chórem. Boczne ściany namiotu zostały odchyłone, ponieważ dla zgromadzonych nie było już miejsca i dużo ludzi stało poza namiotem.

Po śpiewie i po modlitwie, wypowiedzianej przez innego duchownego miejskiego, Gray powiadomił słuchaczy, dlaczego sam dzisiaj przemawiać nie może i dodał, że zastąpi go brat Maxwell z kościoła głównego.

— Śród słuchaczy zapanowała natychmiast żywa wymiana zdań.

— Co, duchowny z kościoła głównego? — zawołał jakiś głos ochryply.

— Niebawem zaczniesz się u nas zbierać naj-

wytworniejsze towarzystwo całego miasta — podrwiwał jakiś inny głos.

— A, to ten z kościoła głównego? — informował się ktoś trzeci. — Znam go. Mój kamienicznik należy do jego parafjan.

Uwaga ta zrobiona przez jakiegoś karczmarza, została przyjęta wybuchem wesołego śmiechu. Jakiś pijany zaczął wyśpiewywać ohydny pijacką piosenkę, a do jego głosu przyłączyły się niebawem głosy inne. Przyzwoitsi uczestnicy zgromadzenia daremnie starali się przywrócić spokój. Nie widząc innej rady, zaczęli domagać się energicznie, aby została zapiewana jeszcze jedna pieśń religijna.

Daremnie usiłował Maxwell zdobyć posłuch dla swego mocnego głosu. Gray zwrócił się bezpośrednio do tych, którzy zakłócili spokój i prosił ich, aby opuścili zgromadzenie, ale nikt go nie usłuchał. Gdy hałas nie przycichał ani na chwilę, pastor Maxwell zwrócił się do Racheli, prosząc ją, aby śpiewem swoim uciszyła rozfalowany tłum, sam zaś usiadł i ukrył twarz w dłoniach:

Racheli powstała i zaczęła śpiewać:

Jest źródło, z którego dla grzesznika
Krew tryska święta, gładząc winy,
Źródło, które łaską świat przeniika,
Miłości Bożej źródło jedyny.
I dla mnie krew ta płynie święta —
Nieoceniony Boga dar —
Już Bóg mi win mych nie pamięta,
Bo za mnie, za mnie Chrystus zmarł!

Stała się rzecz zdumiewająca: ledwo ozwały się pierwsze dźwięki pieśni, zamilkły nagle wzburzone głosy i w całym namiocie zapanaowała głęboka cisza. Nie było w tem zresztą nic dziwnego, że nawet najgorsi krzykacze umilkli, bo Rachelę śpiewała z taką żarliwą tkliwością, jak nigdy dotąd. Gdy śpiewaczka usiadła po prześpiewaniu pieśni, Wirginja spojrzała jej głęboko w oczy, a jednocześnie gorąco dziękowała Bogu za tę pieśń, czuła bowiem doskonale, że Rachelę nigdy nie byłaby mogła zaśpiewać tak, jak zaśpiewała, gdyby na sercu swoim nie była doświadczyła uzdrawiającej łaski zbawczej ofiary Chrystusowej. Rachelę sama miała uszczęśliwiające uczucie, że ta ofiara, którą złożyła Bogu w postaci swego głosu, została przez Boga przyjęta. Cóż byłaby dopiero powiedziała, gdyby była mogła wiedzieć, że w tłumie, który stał przed namiotem, nie znajdując miejsca wewnątrz, znajdował się także Rollin Page, który zapomniał o całym świecie, gdy wsłuchiwał się w dźwięki tej wzniosłej pieśni.

Teraz mógł nareszcie przemówić do zgromadzonych pastor Maxwell. Nigdy dotąd nie odczuwał on takiej serdecznej i gorącej miłości dla człowieka, nawet dla najgorszego i najbardziej wzgardzonego, jak owego wieczora. Miłość ta znajdowała swój wyraz w całym jego zachowaniu i w żarliwym słowie, którem opanował uwagę zgromadzonych, chociaż czuło się dobrze, że nie chodzi mu bynajmniej o zbieranie laurów krasomówcy.

Zaledwie wszakże przebrzmiały ostatnie

słowa końcowej modlitwy, gdy ludzie rozbiegli się na wszystkie strony i niebawem szynki były wypełnione pijakami bardziej, niż kiedykolwiek. Z trudem przeciskali się panowie, towarzyszący obu młodym pannom, przez tłum falujący, aby dotrzeć do najbliższego przystanku tramwajowego.

— Nie byłbym uwierzył, że stosunki są tu takie okropne, jak są w istocie — powiedział pastor Maxwell przy nadarzonej sposobności. — Jest wprost nie do wiary, że w mieście chrześcijańskim może z dnia na dzień płynąć takie ohydne życie pełne nędzy moralnej i fizycznej. Jeśli wobec takiej bezbrzeżnej nędzy przedłożymy sobie szczerze pytanie, co na miejscu naszym uczyniłby w takich warunkach Chrystus, to Duch Boży ukaże nam, jakie są nasze powinności.

Dotychczas Maxwell podobnie jak wszyscy członkowie kościoła, którego był kaznodzieją, głosował za wolnym wyszynkiem napojów alkoholowych, ale dziś stało się dla niego jasnym, że Chrystus nigdy nie zgodziłby się na tolerowanie tych źródeł nędzy ludzkiej i że wystąpiłby przeciwko nim z całą stanowczością, wzywając do walki z niemi. Czyż bowiem było to możliwem, że nawet członkowie kościoła chrześcijańskiego mogli byli tak dalece uspić swoje sumienia, iż uważali za możliwe wynajmować w domach swoich lokale szynkarzom, aby sprzedawali truciznę, zatruwającą nie tylko ciała, ale i dusze?

Takie i tym podobne myśli zajmowały Max-

wella przez cały dzień następny, a nawet wieczorem, gdy żonie swojej czytał „Wiadomości Codzienne”. Pismo to stało się w owym czasie przedmiotem osobliwego zainteresowania mieszkańców miasta Raymond i było przez nich wyczekiwane z wielkiem napięciem.

Już opuszczenie sprawozdania z wielkiej walki konkursowej zwróciło uwagę wszystkich na to pismo, ale niebawem stało się dla każdego jasnym, że gazeta ta wydawana jest na całkiem nowych i dotąd nieznanach zasadach. Pismo nie przedstawiało podawać wiadomości o dokonanych przestępstwach, ale przytem unikano rozmyślnie wszelkich opisów szczegółowych. Wszystkie wydarzenia skandaliczne były opuszczane zasadniczo, a z działu ogłoszeń opuszczano wszystkie te ogłoszenia, które zalecały czytelnikom napoje alkoholowe i wogóle używki wątpliwej wartości. Zastanawiano się też niemało nad poniechaniem wydania niedzielnego. W jaki sposób wydawca Normann odnosił się do zagadnień politycznych i jak oświecił różnie sprawy powszednie, starając się uzgodnić pismo ze swoim zobowiązaniem dobrowolnym, o tem świadczy artykuł wstępny numeru poniedziałkowego nazajutrz po pamiętnym przełomie. Artykuł ten zaczynał się od słów:

„Polityka ze stanowiska chrześcijańskiego”.

„Redaktor „Wiadomości Codziennych” dawał dotychczas wyraz swoim przekonaniom polityczno-partyjnym, propaǳując pewne zasady i zwalczając myśli przeciwne. Obecnie czuje się on zobowiązany do zakomunikowania swoim

czytelnikom, że zagadnienia polityczne traktować będzie nie z punktu widzenia interesów swej partji, ale odnosić się do nich będzie wyłącznie ze stanowiska sprawiedliwości. Odtąd nie będzie on sobie stawiał pytania: Czy to lub owo będzie dobre dla mojej partji i czy jest zgodnem z jej programem? Natomiast kierować się będzie temi wytyczniami, jakie utrzyma w odpowiedzi na pytanie: Czy dana sprawa lub dane zarządzenie odpowiada duchowi i naukom Chrystusa? Jednem słowem redaktor starać się będzie we wszystkich ważnych zagadnieniach uzależniać swoje stanowisko od zasady, że narody i jednostki w sprawach politycznych powinny kierować się wyłącznie nakazami Bożemi, które są zawsze jednakiemi i w równej mierze obowiązującemi wszystkich ludzi.

Tych samych zasad trzymać się będzie redaktor przy omawianiu mianowań wysokich urzędników państwowych i popierać będzie tylko tych mężów, którzy odznaczają się poczuciem sprawiedliwości i godni są zaufania społeczeństwa pod każdym względem. Na czele państwa, gminy i kościoła powinni stać tylko ci ludzie, którzy dają rękojmię bezwzględnego poszanowania praw. Tej zasady trzymać się będzie redaktor bez oglądania się na to, czy stanowisko jego będzie dla jego partji korzystnem, czy niekorzystnem.”

Skutek tego artykułu wstępnego był taki, że cały szereg prenumeratorów porzucił „Wiadomości Codzienne” natychmiast. Ale pomimo to „Wiadomości” nie przestały wychodzić, gdyż

dość było ludzi, którzy tak samo jak przedtem czytywali to pismo z największym zainteresowaniem.

Gdy pastor Maxwell owego wieczora czytał zonie swej gazetę, spotykał się na każdym miejscu z dowodami powagi, z jaką Normann wypełniał swoje zobowiązanie. Wszystkie te dowody sumienności wydawcy budziły w nim uczucie wielkiego zadowolenia. Przedewszystkiem cieszyło go to, że Normann zdołał narzeczcie skłonić swoich współpracowników i korespondentów do podpisywania wszystkich swoich artykułów i wzmianek. Gdy przed kilku dniami omawiał tę sprawę z Maxwellem, nie miał jeszcze wyrobionego zdania, jak na jego miejscu postąpiłby Jezus, ale doszedł wreszcie do przekonania, że jest rzeczą słuszną, aby poszczególńi współpracownicy brali na siebie odpowiedzialność za swoje artykuły.

— Słuchaj, Maryniu, jaka wielka nowina — zawołał w pewnej chwili Maxwell i czytał z żywym wzruszeniem:

„Dzisiaj rano dyrektor warsztatów mechanicznych Aleksander Powers złożył podanie o zwolnienie go z dotychczasowego stanowiska, a jako powód tego kroku podał fakt, że w ręce wpadły mu dowody, iż towarzystwo jego obchodzi nowe ustawy frachtowe z krzywdą dla skarbu państwa. Zaznaczył on, że poczuwa się do obowiązku przedłożenia sądowi dowodów słuszności swego oskarżenia, aby sąd mógł za wyrokować w tej sprawie.”

„Wiadomości Codzienne” zaznaczyły przy-

tem, że z tego postępowania Aleksander Powers nie będzie miał żadnych korzyści osobistych. Przeciwnie, zrzeka się on dobrowolnie korzystnego stanowiska, które byłby mógł zachować, gdyby był przemilczał sprawę omijania ustaw frachtowych.

„Każdy obywatel, dbający o praworządność, musi należycie ocenić uczciwe postępowanie pana Powersa. Już od dawna nikt nie wąpi o tem, że towarzystwo kolejowe robi wszystko, co tylko może, aby omijać ze szkodą dla państwa ustawy krajowe, ale ponieważ dotąd żaden z urzędników nie poczuwał się do obowiązku zdemaskowania tego nielegalnego postępowania, przeto urząd publiczny nie mógł poczynić odpowiednich kroków dla zapobieżenia nadużyciom na przyszłość. Ten system tuszowania nadużyć jest tem gorszy, że w towarzystwie kolejowem pracują młodzi ludzie, którzy bardzo wczesnie przyzwyczajają się do obchodzenia ustaw, które dla każdego obywatela powinny być nietykalnemi. Warto tu przypomnieć, że niedawno temu pewien wyższy urzędnik tego towarzystwa wyraził się, iż młodzi pracownicy kolejowi już dawno przepatrzyli sposoby omijania ustaw obowiązujących i że myślą tylko o tem, aby corychlej mogli brać udział w takich wątpliwych przedsięwzięciach, dających bardzo duże zyski.

„Zdaniem naszym Powers oddał państwu i społeczeństwu bardzo dużą usługę i może być pewien uznania ze strony wszystkich żywiołów praworządnych, chociaż pewno nie braknie

i takich, którzy przypisywać mu będą pobudki egoistyczne. Jako obywatel szanujący ustawy spełnił Powers tylko swój obowiązek i ta świadomość ułatwi mu niewątpliwie zniesienie tych przykrości i strat, jakie jego postępowanie pociągnie za sobą. Od sądu oczekujemy, że bez oglądania się na osoby ukarzone on przestępców prawa, czy będzie tu chodziło o prostych robotników, czy też o ludzi należących do klas uprzywilejowanych."

Pastor Maxwell odłożył gazetę i w zamyśleniu spoglądał oknem.

— Muszę pójść do Powersa — rzekł wreszcie. — Ileż musiał go kosztować ten jego stanowczy i mężny krok.

— I co powiedzą na jego postępowanie jego najbliżsi: żona i córka? — rzuciła żona pastora.

— Zapewne, że stanowisko ich w tej sprawie będzie dla niego najboleśniejsem. Wątpię, aby go odczuły i zrozumiwały.

Gdy Maxwell przybył do dyrektora i zadzwonił, ten otworzył mu sam drzwi swego mieszkania. Gość i gospodarz uścisnęli sobie serdecznie dłonie i zrozumieli się zupełnie, zanim jeszcze zdolałi wymówić jakie słowo.

— Co zamierza pan uczynić obecnie? — pytał duchowny, gdy dowiedział się o szczegółach całej sprawy.

— Tego jeszcze nie wiem w tej chwili — odpowiedział Powers. — Myślałem już o tem i owem. W każdym razie będę miał możność

zajęcia na nowo swego dawnego stanowiska w urzędzie telegraficznym. Jest dla mnie dużem zadośćuczynieniem myśl, że rodzina moja ucierpi najwyżej na zmianie dotychczasowego stanowiska społecznego i niedostatku obawiać się nie potrzebuje.

Pastor Maxwell nie potrzebował pytać, jak odnosi się do postępowania dyrektora jego żona i córka i jak godzą się one z nowem swoim położeniem. Wiedział zgóry, że wierny naśladowca Chrystusa najwięcej przykrości będzie musiał znieść w swoim kółku rodzinnem.

— Jeśli chce mi pan wyświadczyć wielką łaskę, to proszę, aby pan zechciał zaopiekować się dotychczasowymi moimi robotnikami — rzekł Powers. — Wie pan, panie pastorze, jakimi pobudkami kierowałem się, gdy urządziłem dla robotników ową salę nad halą maszyn. Z całego serca pragnę, aby troska nad robotnikami moimi nie ograniczała się jedynie do spraw materialnych, ale aby znajdowali oni także troskliwą opiekę duchowną. Towarzystwo nie będzie chyba czyniło żadnych obiekcyj co do utrzymania nadal tego urządzenia, bowiem popiera ono dość wydatnie stowarzyszenie młodzieży chrześcijańskiej i instytucje podobne, chociaż samo tak dziwnie i niezrozumiale dopuszcza się czynów nawskroś niechrześcijańskich. Właśnie odpowiada to jej własnym interesom, aby wśród pracowników swoich miało ludzi sumiennych i uczciwych, a wie ono bardzo dobrze, że w takich stowarzyszeniach na sprawę uczciwości i sumienności kładzie się

osobliwy nacisk. Czy będzie pan łaskaw przemawiać do robotników podczas pouz obiadowych przynajmniej od czasu do czasu? Milton Wright zrobi niezawodnie to i owo, aby utrzymana została założona dla robotników kawiarenka, zaś inni ludzie dobrej woli mogliby postarać się o odpowiednią lekturę dla robotników.

— Niech pan będzie spokojny, panie dyrektorze. Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby dzieło rozpoczęte zostało utrzymane. Nie braknie ludzi, którzy chętnie pomagać mi będą. Wie pan sam, że niejedyn w naszym kościele zaczyna żywo interesować się ubogimi braćmi.

Zanim gość opuścił dom dyrektora, obaj mężowie przedłożyli swoje sprawy Bogu w żarliwej modlitwie i rozeszli się pokrzepieni i zdecydowani walczyć dalej o urzeczywistnienie swego ideału.

W cudowny zaiste sposób zespalała święta sprawa wszystkich członków kościoła, którego kaznodzieją był Maxwell. Wszyscy okazywali swemu duchownemu bezwzględne zaufanie i Maxwell ze zdumieniem stwierdził ogromny przewrót, jaki dawał się dostrzegać w życiu tych, którzy wzięli na siebie dobrowolne zobowiązanie kroczenia śladami Chrystusa. Jednocześnie życie ich wywierało coraz potężniejszy wpływ na szerokie koła współobywateli. Niejednokrotnie zadawał sobie Maxwell pytanie, czy aby wszyscy ci, którzy złożyli przysięgę, pozostaną jej wierni; osobliwie myślał o lu-

dziach młodych, którzy wystawieni bywali na bardzo ciężkie próby.

Jak gdyby w odpowiedzi na to niepokojące pytanie, pewnego dnia przyszedł do niego prezes związku młodzieży i poprosił o chwilę rozmowy.

— Miło mi przywitać pana u siebie, panie Alfredzie — rzekł Maxwell do przybywającego. — Czem mogę panu służyć?

— Nie wiem, czy będzie pan mógł posłużyć mi — odpowiedział przybyły młodzieniec z całą prostotą — ale w każdym razie chciałem usłyszeć pańskie zdanie. Od dzisiaj jestem bez miejsca. Jak panu wiadomo byłem sprawozdawcą „Przeglądu“, a przełożeni moi byli ze mnie zadowoleni zupełnie. Gdy ostatniej soboty telegraf przyniósł wieść o rabunku na kolei, wezwał mnie dyrektor do siebie i zażądał ode mnie, abym pierwszym pociągiem w niedzielę rano udał się na miejsce przestępstwa i zasięgnął informacji u źródła. Chodziło o szczegółowe sprawozdanie. Redaktor „Przeglądu“ chciał ubiedz „Wiadomości Codzienne“. Gdy odmówiłem pracy w niedzielę, zostałem natychmiast zwolniony. Czy nie sądzi pan, że działałem zgodnie z duchem Jezusa? Moi towarzysze pracy nazywają mnie oczywiście głupcem, ale zdaje mi się, że nie mają racji. Jest to zgoła naturalne, że postępowanie nasze bywa dziwaczne w oczach naszych współobywateli, gdyż nie rozumieją oni naszych pobudek. My zaś wiemy, że inaczej postępować

nie możemy, jeśli chcemy pozostać wiernymi swoim zasadom.

— Ma pan rację, panie Alfredzie. I ja jestem tego zdania, że inaczej nie mógł pan postąpić. Jezus nie byłby się poddał takim wymaganiom redaktora.

— Dobrze. W takim razie jestem zupełnie spokojny. Nie będę panu zabierał czasu, panie pastarze i żegnam pana — rzekł gość Maxwella.

— Cóż zamierza pan uczynić obecnie? — zapytał Maxwell życzliwie.

— Zamierzam udać się do Chicago albo do innego wielkiego miasta, aby tam szukać zajęcia dla siebie.

— A dlaczego nie miałby pan zwrócić się do „Wiadomości Codziennych“?

— O ile wiem, niema tam wolnego miejsca.

— Na wszelki wypadek chodźmy razem do Normanna. Zobaczymy, co nam powie, — rzekł Maxwell po chwili.

Normann uśmiechnął się, gdy Maxwell przybwszy do niego ze swoim gościem, powiedział mu o co chodzi.

— Dobrze, panie Morris, — rzekł do sprawodawcy, — mogę dać panu zajęcie u siebie. Jak pan wie, u mnie nie pracuje się w niedzielę, a ja będę rad mieć współpracownika, dzielającego moje poglądy i przekonania.

Maxwell był bardzo zadowolony i udał się w drogę powrotną do domu, ale gdy przecho-

dził obok sklepu Milтона, postanowił wstać do niego i życzyć mu błogosławieństwa Bożego w jego nowych poczynaniach.

Milton Wright przyjął Maxwella z widocznym zadowoleniem i po kilku słowach wstępnych obaj panowie prowadzili bardzo ożywną rozmowę.

— Widzi pan, panie pastarze — opowiadał mu kupiec — od czasu gdy wziętem na siebie wiadome zobowiązanie, zarzuciłem zupełnie dotychczasowy sposób prowadzenia interesów. W przeciągu ostatnich dwóch tygodni zajmowałem się Pismem Świętym więcej, niż dawniej w ciągu całego życia i zastanawiałem się szczególnie nad tem, w jaki sposób chrześcijański kupiec mógłby uzgodnić swoje postępowanie z nakazami Chrystusowemi. Nie posiadam jeszcze szczegółowego planu, ale zrobiłem sobie kilka notatek, które trzeba będzie odpowiednio rozwinąć. Oto one.

Maxwell wziął podany sobie papier i czytał: — Co uczyniłby Chrystus na miejscu Milтона Wrighta, gdyby był kupcem?

1. Przedewszystkiem starałby się prowadzić sprawy swoje tak, aby z nich rosła chwała Boża, a nie widziałby najważniejszego celu w zarabianiu pieniędzy.

2. Pieniądze, któreby zarabiał, nie uważałby za swoje mienie, ale spoglądałby na nie jako na dar powierzony sobie przez Boga i przeznaczony dla szczęścia wszystkich ludzi.

3. Ze swoimi pracownikami obcowałby ser-

decznie i pamiętałby zawsze o tém, że przede wszystkim trzeba troszczyć się o ich nieśmiertelną duszę.

4. Starannie unikałby wszystkiego, co byłoby podobne choćby zdaleka do nieuczciwości, a także względem swoich konkurentów nie zachowałby się nigdy niełojalnie i dwuznacznie.

5. W swoich stosunkach z pracownikami i klientami, jak wogóle ze wszystkimi współobywatelami, byłby zawsze jak najbardziej bezinteresownym i gotowym do ofiar i poświęceń.

— Czy sądzi pan, że na takich podstawach można prowadzić interes kupiecki? — zapytał Maxwell, gdy wszystkie poszczególne punkty uważnie przeczytał i starannie rozważył.

— Nie wątpię o tem wcale — odpowiedział Wright bez wahania. — Zdaniem mojem mądra bezinteresowność powinna dawać większe dochody, niż mądry egoizm. Już dzisiaj spostrzegam znaczną różnicę w moich pracownikach w stosunku do mnie. Niedawno temu zwołałem ich i powiedziałem im, jakimi zasadami pragnę się nadal kierować w interesie. Zdaje mi się, że zostałem przez nich zrozumiany, a ponieważ spostrzegli, że dbam także o nich, przeto pracują chętnie i przyczyniają się ze swej strony do tego, aby wszystko szło jak najlepiej.

— Ale jakież będzie stosunek pański do tych kupców, którzy myślą jedynie o zarabianiu pieniędzy, a z którymi ma pan stałe do czynienia.

— Oczywiście, że z tej strony muszę się spodziewać wielu trudności, ale trzymam się

zasady, że Jezus na mojem miejscu prowadziłby sprawy handlowe w taki właśnie sposób i podług tego pragnę postępować.

Po drodze do domu musiał Maxwell dużo myśleć o Wrightcie. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że jeśli Wright pozostanie wierny swoim zasadom, to niebawem dla całej okolicy stanie się on najbardziej wymownym i wpływowym kaznodzieją. Ale jednocześnie powstawało pytanie, czy wobec trudności, które niewątpliwie nie każą czekać na siebie, Milton Wright zdoła utrzymać się przy raz powziętych zasadach.

Jakże serdecznie pragnął polecić wiernej i tkliwej opiece Zbawcy wszystkich tych, którzy byli powierzeni jego pieczy duszpasterskiej, osobliwie zaś tych, którzy dzielili z nim jego poglądy i przekonania. I sam on odczuwał coraz żywszą potrzebę wszystkie swoje sprawy osobiste przedłożyć Bogu i prosić go o mądrość i wytrwanie wobec napotykaných przeciwnieństw. Oto w niedzielę zamierzał wypowiedzieć się wobec swoich zborowników o zgubności swobody wyszynku wódek, ale jednocześnie czuł, że uczyni to skutecznie jedynie wtedy, jeśli Bóg natchnie go słowami dość mocnymi i przeświadczającymi. Dlatego podczas przygotowywania się do tego przemówienia ukląkł i w żarliwej modlitwie rozważał, co w sytuacji podobnej uczyniłby na jego miejscu Jezus, jak przemówiłby do ludzi, których chciałby przekonać o zgubności ich postępowania.

Także w Rectangu błogosławił Bóg poczynaniu swoich dzieci. Od owego pamiętnego wieczoru nie doszło już do żadnych niepokojów, zgromadzenia były coraz liczniejsze i wydawały owoc bogaty. W niedzielę wieczorem Rachela śpiewała na zgromadzeniu w Rectangu znaną pieśń:

Takim, jak jestem, idę do Cię,
Baranku Boży, na twój zew,
Bo wiem, że winy moje głodzi
Przelana za mnie twoja krew.
I już mnie wina ma nie trwoży,
Gdy Ciebie mam, Baranku Boży.

Rachela śpiewała tę pieśń z takim żarliwym przejęciem, że szorstcy mężczyźni i zatwardziałe kobiety wybuchali płaczem. Kaznodzieja Gray trwał przez kilka chwil w milczeniu, a potem wezwał wzruszonych ludzi do siebie, aby im wskazał drogę ku Temu, który może wybawić ich i obdarzyć pokojem.

Tuż obok fisharmonji klęczała kobieta, której czoło napiętnowane było znakiem grzechu i płakała gorzko. Wirginja Page pochylała się nad nieszczęśliwą kobietą i trzymając brudną jej dłoń w swym ręku, prosiła Boga o łaskę i zmiłowanie dla kajającej się grzesznicy.

Rachela śpiewała dalej, dopóki ludzie tłoczyli się do kaznodziei, prosząc go o rady i wskazówki. Spojrzenie jej, pełne serdecznego współczucia, spoczywało na twarzach znaczo-

nych grzechem, a duszę jej napełniała radość, że może ona służyć tym biednym braciom i siostram, którzy po raz pierwszy słyszą o Zbawicielu. Nagle spojrzenie jej zwróciło się w inną stronę i ku wielkiemu swemu zdumieniu Rachela ujrzała człowieka, którego nie spodziewała się tu spotkać, a mianowicie Rollina Page.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Zgromadzenie w Rectangu przeciągnęło się niemal do dwunastej w nocy, a nawet potem pozostało jeszcze wiele dusz, szukających drogi zbawienia, aby porozmawiać z kaznodzieją Grayem. Także Rollin pozostał w namiocie, chociaż Wirginia Page i Rachela Winslow oddały się z doktorem Westem i Jasperem Chase. Jasper Chase zaproponował Racheli, że odprowadzi ją do samego domu. Gdy znaleźli się sami, wydało mu się, że właśnie nadeszła odpowiednia chwila dla oświadczenia się pięknej dziewczynie, ale spotkała go przykra niespodzianka, gdyż został odprawiony z kwitkiem.

Teraz oto siedział młody ten literat w swoim pokoju i byłby sobie najchętniej powyrywał włosy z gniewu, że nie wyczekał chwili odpowiedniejszej. Ale nigdy dotąd Rachela nie wydała się mu taką pożądaną, jak obecnie. Podczas całego wieczoru widział tylko ją, ponieważ nie rozumiał zupełnie tego, co się działo dokoła niego. Gdy zaczął mówić Racheli o swojej miłości, spoglądała ona nań z rosnącym zdziwieniem i odpowiedziała mu wreszcie:

— Dlaczego mówi mi pan o tem dzisiaj? Po dzisiejszych przeżyciach jest mi zu-

pełnie niemożliwem wdawać się z panem w takie rozmowy.

— Ale, czyż mnie pani nie kocha, panno Rachelo? — zawołał ambitny literat w najwyższym podnieceniu.

Rachela wahała się przez chwilę, a potem odpowiedziała głosem stanowczym:

— Nie, panie Chase, nie kocham pana. Był taki czas, kiedy mi się zdawało, że pana kocham, ale dzisiaj wieczorem stało mi się jasnym, że jesteśmy ludźmi, którzy nie rozumiemy się nigdy.

Z uczuciem ślepej wściekłości pobiegł Jasper Chase do siebie i teraz oto siedział przy swoim biurku w tępej zamyśleniu. Nigdy nie byłby pomyślał, że on, pisarz znany i powszechnie poważany, dostanie od Racheli Winslow taką bolesną odpowiedź. Jeszcze niedawno temu, widząc Rollina Page idącego razem z Rachelą, uśmiechał się do siebie i zadawał sobie pytanie, o czem też taki pan, jak Rollin, może rozmawiać z Rachelą. I oto stało się...

Rachela była tego wieczoru bardzo podniecona. O uczuciach, jakie żywił dla niej Jasper Chase, wiedziała ona dawno, a nawet zdawało się jej, że i ona kocha go także. Nie miała ona nic przeciwko temu, że w utworach swoich Jasper Chase przedstawiał ją jako bohaterkę różnych opowiadań, a siebie samego jako tego, który skutecznie zabiega o jej względy. Ale że ten człowiek bezpośrednio po przeżyciach dzisiejszego wieczoru mógł myśleć o swojej miłości i mówić jej o niej, to dawało jej poznać jak

pustem jest jego serce. Cała sprawa została dla niej załatwiona odrazu i zanim udała się na spoczynek, była zupełnie uspokojona. Nie myślała już o Jasperze Chase, gdy sercem kornem dziękowała Bogu za to, co pozwolił jej przeżyć tego wieczoru.

Ludności miasta Raymond nie brakło w owym tygodniu tematu do rozmów. Jeszcze nie załatwiono się z dziwnym postępowaniem wydawcy „Wiadomości Codziennych”, Normanna, gdy przyszła nowa sensacja w postaci nagłego ustąpienia dyrektora Aleksandra Powersa. Następnie mówiono o nowych zasadach handlowych Milтона Wrighta i kiwano głowami na wieść, że Rachelą Winslow śpiewa na zgromadzeniach w Rectanglu i że towarzyszy jej na te zgromadzenia Wirginja Page, zmieniona do niepoznania.

Z błyskawiczną szybkością rozeszła się w niedzielę rano wieść o ruchu religijnym w Rectanglu i o nagłym nawróceniu Rollina Page. Wszyscy byli podnieceni temi wydarzeniami i podniecenie to znać było także na uczestnikach nabożeństwa w kościele głównym, którego kaznodzieją był Maxwell.

Kto widział teraz tego wymownego kaznodzieję wchodzącego na kazalnicę, ten dostrzegł odrazu, że nie chodzi mu jedynie o to, aby słuchaczom swoim wygłosił kazanie w doskonałej formie, ale że kazanie jego ma na celu pozyskiwanie dusz dla Boga.

Ponieważ ogólna uwaga zwracała się ostatnimi czasy głównie na wydarzenia w Rectang-

lu, przeto nie dziwiono się, że pastor Maxwell mówił o tych wydarzeniach w swoim kazaniu. Ze świętą powagą mówił on o pijaństwie i niemoralności, toczącej społeczeństwo niby rak, a zarazem zwracał uwagę na odpowiedzialność, jaka ciąży na wszystkich chrześcijanach za taki stan rzeczy. Słuchaczy swoich wzywał, aby uczynili wszystko, co jest w ich mocy, iżby zło zostało usunięte. Do współobywateli zwracał się bezpośrednio z napomnieniem, aby pamiętali o swoich powinnościach względem państwa i społeczeństwa i przy najbliższych wborach wystąpili przeciwko nieograniczonej wolności wozynku wódki.

— Dość już długo mieliśmy chrześcijaństwo wyłącznie na ustach — rzekł między innymi — teraz trzeba dowieść czynem, że wyznanie nasze nie jest jedynie pustym frazesem i że gotowi jesteśmy ponieść ofiary dla zrealizowania tych ideałów, które uważamy za swoje. Chrystus nie wahał się dźwigać swój krzyż i cierpieć za nas, przeto od uczeni swoich może oczekiwać tego samego. Kiedy i jak, wy członkowie kościoła głównego, cierpiełście i ponosiliście ofiary dla swego Zbawcy? Czy może chrześcijaństwo było dla was jedynie pustą formą bez treści, nie obowiązującą do niczego? Kto chce iść za Chrystusem, ten nie powinien chodzić za nim tylko na górę Przemienienia, ale musi iść za nim także na Golgotę wyrzeczeń i ofiar.

Słowa Maxwella wywarły potężne wrażenie na słuchaczach i niejeden z tych, którzy trzymali się dotąd zdala od ruchu religijnego, posta-

nowił teraz wziąć na siebie krzyż Chrystusowy i iść za Zbawcą. Budziła się w ludziach ta sama tęsknota, której dała wyraz Rachel Winslow, gdy mówiła do matki: „Muszę uczynić coś dla Chrystusa, co będzie dla mnie ofiarą i wyrzeczeniem”. Mazzini ma zupełną rację, gdy powiada, że niema na świecie żadnego skutecznego wezwania nad to jedno: pójdź i cierp!

Około dwóchset członków kościoła głównego pozostało na konferencji po nabożeństwie. Gdy pastor Maxwell rzucił okiem na zgromadzenie swoich wiernych towarzyszy walk i usiłowań, spostrzegł on, że obok nowych zwolenników ruchu religijnego nie brakło ani jednego z dawnych, prócz Jaspera Chase. Była to święta, błogosławiona godzina, w której zgromadzeni wypowiadali się o poczynionych przez siebie doświadczeniach, o trudnościach, z jakimi się spotykali i o pokonywaniu tych trudności z pomocą Bożą. Wszystko, co zgromadzeni mieli sobie do powiedzenia, utrwaliło ich w wierze, że czynią dobrze i że powinni wytrwać na drodze obranej. Uczuciom ich, wierze i nastrojowi dał Maxwell gorący, serdeczny wyraz w żarliwej modlitwie, wzywającej pomocy Ducha świętego.

Maxwell i rektor seminarjum imienia Lincoln, Donald Marsh, opuścili kościół w milczeniu. Widocznem było, że zajmują ich jakieś myśli poważne.

— Teraz już wiem, jaki krzyż przeznaczył dla mnie Bóg — rzekł rektor Marsh. — Podczas dzisiejszego kazania pańskiego stało się

dla mnie jasnem, jakim to obowiązkiem nie czyliłem rozmyślnie zadość. Od czasu, gdy złożyłem przysięgę, zacząłem rozumieć, że Jezus na mojem miejscu czyniłby więcej, niż czynię ja jako rektor seminarjum. Nie poddawałem się poczuciu poznawanego obowiązku, ponieważ wydał mi się on zbyt ciężkim. Czy domyśla się pan o czem mówię?

Pastor Maxwell przyświadczył skinieniem głowy i rzekł:

— Zdaje mi się, że Bóg wymaga od nas tej samej ofiary. On sam wie najlepiej, ile mnie to kosztuje, abym poszedł za nim właśnie w tej sprawie.

— Tak, tak, — rzekł Donald Marsh melancholijnie. — I ja i pan zamknęliśmy się w ciasnych granicach swego powołania, stworzyliśmy sobie swój mały światek i mało myśleliśmy o tych obowiązkach, jakie ciążyą na nas jako obywatelach państwa. Ku wstydowi swemu muszę wyznać, że od szeregu lat zdaję sobie sprawę z tego, iż nasza rada miejska składa się z ludzi, którzy podlegają fatalnemu i zgubnemu wpływowi alkoholu. Są to ludzie pozbawieni dobrej woli i charakteru, a jednak nie uczyniłem zupełnie nic, aby na ich miejsce dostali się ludzie odpowiedni i odpowiedzialni. My, nauczyciele seminarjum, nie braliśmy dotąd wcale udziału w wyborach, ale teraz musi być inaczej. W przyszłych wyborach wezmę czynny udział i zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby uczynić koniec tej fatalnej gospodarce rady miejskiej, jaka zatruwa nasze życie publiczne

Trzeba wymieść gruntownie tę stajnię Augiasza i skończyć z łapownictwem oraz z kompromisami, które demoralizują całą ludność przy pomocy wódki. Cała ta dotychczasowa gospodarka napelnia mnie wstrętem. Najchętniej trzymałbym się od niej zdala i nie wtrącałbym się do niej, ale bywa mi tak, jak gdyby Bóg sam wzywał mnie do czynnego wystąpienia i kazał iść za sobą. Niema dla mnie żadnego wyjścia i muszę uczynić wszystko, czego wymaga ode mnie Bóg.

— Czuję i myślę tak samo — odpowiedział pastor Maxwell. — Podobnie jak prawie wszyscy duchowni, i ja nie troszczyłem się zupełnie o sprawy miejskie i preraża mnie sama myśl, że trzeba będzie zetknąć się z temi brudami, jakie zawsze towarzyszą walce wyborczej. Pan ma rację, panie rektorze, my ludzie pracujący umysłowo jesteśmy politycznymi tchórzami, a przecie Zbawiciel nasz wymaga od nas, abyśmy byli dzielnymi i mocnymi ludźmi, jeśli chcemy być jego uczniami. Dla tego musimy zacząć odnosić się poważnie do wszystkich zagadnień, które wiążą się ze sprawą naśladowania Chrystusa.

— Na szczęście nie różnimy się w poglądach i nie jesteśmy sami — rzekł po pewnej chwili rektor. — Możemy liczyć na tych wszystkich obywateli, którzy wzięli na siebie to samo zobowiązanie, jak i my Sądzę, że byłoby najlepiej, gdybyśmy my, chrześcijanie, połączyli się z sobą w zwartą całość i gdybyśmy w nadchodzących wyborach wzięli udział gremjalnie, wy-

stępując jak jeden mąż przeciwko dotychczasowej wolności wyszynku napojów alkoholowych. Niechże Bóg obdarzy nas potrzebną mądrością, abyśmy umieli wykonać, co do nas należy.

Gdy w piątek tegoż samego tygodnia odbyło się w ratuszu pierwsze zgromadzenie przedwyborcze, zauważono na niem zgoła inny kierunek, który budził powszechne zdziwienie. Oto co pisały o nim „Wiadomości Codzienne”.

„Wolno chyba powiedzieć, że zebranie, które odbyło się wczoraj wieczorem w ratuszu, jest jedynem w swoim rodzaju. Ku wielkiemu zdumieniu tych kół, które dotychczas uważały siebie za miarodajne we wszystkich sprawach politycznych, w zebraniu uczestniczyło wielu mężów, którzy jak dotąd trzymali się zdala od wszelkich wyborów. Mężowie co wystąpili z całą stanowczością za tem, aby w nowej liście kandydatów na różne urzędy znaleźli się ludzie nadający się do tego i odpowiednio wykwalifikowani pod każdym względem.

„Rektor Marsh, który dotychczas nie brał udziału w żadnem zebraniu wyborczem i przez wielu swoich współobywateli nie był znany nawet z widzenia, wygłosił płomienną mowę. Twarze dotychczasowych rajców miasta powydłużały się w sposób iście pocieszny gdy ujrzeni oni na trybunie wysoką postać rektora Marsha, a podniecenie wzmogło się jeszcze, gdy rezolucje, zaproponowane przez niego, zostały przyjęte znaczną większością głosów. Śród obecnych znajdowali się: Henryk Maxwell, pastor kościoła głównego, Milton Wright Aleksander

Powers, profesorowie Brown, Willard i Park z seminarjum imienia Lincolna, Dr. West, Dr. Maine z kościoła Pielgrzymów, dziekan Ward z kościoła Trójcy Świętej i cały szereg wybitnych przemysłowców i kupców, którzy przybyli na zebranie z widocznym zamiarem popierania wyboru ludzi odpowiednich. Jakkolwiek ludzie ci trzymali się dotychczas zdania o wszelkiej polityce, to jednak potrafili oni wykorzystać dla siebie wszystkie doświadczenia wytrawnych polityków i dzięki temu udało się im poobsadzić wszystkie wolne miejsca przez kandydatów swego kierunku.

„Jak tylko dotychczasowi mężowie zaufania spostrzegli, że władza wymyka się z ich rąk, udali się do osobnej sali na znak swego oburzenia i tutaj ułożyli listę kontr-kandydatów. Chodzi teraz już tylko o to, jak zachowa się względem tych spraw ludność miasta Raymond i czy zechce zatrzymać dotychczasową radę miejską, która składa się przeważnie ze zwolenników swobodnego wyszynku wódki, albo też sprawy miasta przekaze ludziom nowym, dzielnym i sumiennym.

„Wiadomości Codzienne“ z całą stanowczością stała po stronie nowego kierunku i będą zwalczały dotychczasowe korupcyjne porządki wszystkimi rozporządzalnymi uczciwymi środkami. Wzywamy wszystkich chrześcijańskich współobywateli, ceniących praworządność i uczciwość, aby poparli prawo, sprawiedliwość, wstrzemięźliwość i czystość życia, które są ostoją wszelkiego życia wogóle...

— Chwała Bogu, że mamy takiego wydawcę gazety — rzekł rektor Marsh, gdy przeczytał ten artykuł. Nie zamykał on bynajmniej oczu wobec niebezpieczeństwa, na jakie był narażony kierunek jego partji podczas wyborów, gdyż wiedział, że wszystkie inne pisma miasta staną po stronie partji przeciwnej. Wiadomym było też i to, że liczba prenumeratorów „Wiadomości Codziennych“ zmniejszyła się bardzo znacznie od czasu, gdy pismo to postawiło sobie za zadanie postępować tak, jak postępowałby Chrystus. Powstawało pytanie, czy koła chrześcijańskie miasta Raymond będą to pismo popierały tak wydatnie, aby mogło ono istnieć nadal. Myśl ta zaprzętała także Edwarda Normanna, podczas gdy pisał swój artykuł, dotyczący wyborów. Pomimo to ani na chwilę nie zawahał się w czynieniu tego, co zdaniem jego byłby na jego miejscu uczynił Chrystus.

W Rectangu pod wpływem usiłowań działaczy chrześcijańskich budziło się wspaniałe życie duchowe, które napełnić musiało radością i wdzięcznością dla Boga każde czujące serce chrześcijańskie. Niema bowiem nic wspanialszego nad widok przemiany brutalnych i zepsutych ludzi w pokornych i żarliwych miłośników Chrystusa, stających się dziećmi Bożemi.

Rollin Page uczestniczył we wszystkich zgromadzeniach. Kto go teraz widywał, ten nie poznawał w nim wcale owego dawnego lekkoducha i próżniaka. Był on najczęściej takim cichym i skupionym w sobie i tak starannie unikał spotkania z Rachelą, że ta nie miała spo-

sobności do powiedzenia mu, jak bardzo cieszy ją zmiana, jaka w nim zaszła. Rollin spędził niejedną chwilę na poważnej rozmowie z Grayem, zanim powziął postanowienie co do swego przyszłego życia. Coraz bardziej rozumiał, że dla swego Mistrza i Pana może i powinien pracować przedewszystkiem wśród dawnych towarzyszy gier i pijatyk. I Rollin usłuchał tego wezwania wewnętrznego, nie zważając na drwiny i docinki dawnych towarzyszy pohulanek, którzy przy każdej sposobności wydrwiwali go niemilosierdzie.

W Rectanglu gromadka wiernych wzrastała z każdym dniem, tak iż coraz więcej było tam dzieci Bożych. Ale jak miały rosnąć i rozwijać się te dzieci Boże w atmosferze dusznej i złej, jak ocaleć miały przed licznymi niebezpieczeństwami, które czyhały na nie na każdym kroku? Pytanie to powracało bezustannie na usta wiernych robotników na winnicy Pańskiej, ilekroć po zgromadzeniach wieczornych przechodzić musieli obok niezliczonych szynków i spelunek nocnych, które pochłaniały tysiące ofiar. Szczególniej Wirginja i Rachel drżały i niepokoiły się o los tych dusz, które ledwo wyrwane ze szponów szatana, wystawiane były codziennie na takie liczne niebezpieczeństwa i pokusy. Wirginja doszła do wniosku, że na jej miejscu Jezus użyłby z pewnością części środków materialnych, jakimi ona rozporządzała, aby doprowadzić do pożądaných zmian w tej dziedzinie życia. Wiedziała ona, że z czasem Bóg wskaże jej jeszcze niejedną drogę co do użycia

pieniędzy, jakie posiadała, ale przedewszystkiem myślała o tem, że powinna uczynić coś, aby przyczynić się do ratowania dusz ludzkich w dzielnicy Rectanglu.

Gdy w niedzielę po południu zamierzała udać się do Racheli, aby porozmawiać z nią o swoich zamiarach, zajechało przed jej dom kilka wytwornych przyjaciółek, które chciały ją zaprosić na koncert do parku.

— Gdziesz to podziewasz się od jakiegoś czasu, kochana Wirginjo? — zagadnęła ją żartobliwie jedna z przyjaciółek. Opowiadają sobie o tobie zgoła dziwaczne historie i ogromnie byłoby mi radę usłyszeć o tem wszystkim coś niecoś z twoich własnych ust.

Wirginja zarumieniła się i milczała przez chwilę, ale potem szczerze i otwarcie opowiedziała przyjaciółkom o swoich przeżyciach w Rectanglu.

— Wiecie co? — rzekła inna przyjaciółka, — nie idźmy na koncert do parku, ale udajmy się z Wirginją do Rectanglu. Kto wie jakich doznamy tam wrażeń. To przecież będzie — chciała powiedzieć: ogromnie zabawne — ale gdy spojrzała na Wirginję zmieszana się i rzekła: ogromnie interesujące.

Najchętniej byłaby Wirginja odmówiła przyjaciółkom udania się z niemi w takim nastroju do Rectanglu, ale gdy nie przestawały nalegać, postanowiła uczynić zadość ich życzeniu, w przekonaniu, że tym młodą panią otworzy to oczy, gdy zetkną się bezpośrednio z niesłychaną nędzą życia.

— Czy nie byłoby dobrze wziąć z sobą policjanta? — zapytała jedna z trwożliwszych. — Podobno w tamtej dzielnicy można narazić się na różne niebezpieczeństwa. Temu należy zapobiedz.

— Bądźcie spokojne, niema się czego obawiać — odpowiedziała Wirginja. — Zaprowadzę was tam, gdzie będziecie mogły zobaczyć jak najwięcej obrazów z życia tej dzielnicy.

Zaledwie jednak powóz z dziewczętami znalazł się w osławionej dzielnicy miasta, gdy wesołość ich zmaląła i ustąpiła zaniepokojeniu. Dla tych wytwornych i rozpieszczonych panienek były czemś okropnem widoki brutalnych ludzi i scen, z jakimi spotykały się na każdym kroku. Gdy wreszcie ze wszystkich stron zaczęły się zbliżać różne podejrzané postaci, aby się przypatrzeć pięknym paniąkom, pragnęły już tylko jednego, aby jak najprędzej dostać się do spokojniejszej i bezpieczniejszej dzielnicy.

Właśnie gdy przed jednym z najbardziej osławionych szynków powóz miał zawrócić, otworzyły się jego drzwi i wyszła pijana kobieta, która chwiejąc się na nogach i ledwo wymawiając wyrazy, śpiewała urywki pieśni:

Takim, jak jestem, idę do Cię...

Wirginja na pierwszy rzut oka poznała w niej tę biedną kajającą się istotę, która przed niewielu dniami pewnego wieczoru klęczała obok niej modląc się.

— Stój! — zawołała na woźnicę i zanim jej przyjaciółki zdołały ją powstrzymać, wyskoczy-

ła z powozu i chwytając pijaną dziewczynę w objęcia, zawołała z wyrzutem: Loreen!

Przyjaciółki Wirginji, siedzące w powozie, spoglądały z przerażeniem na niezwykle obraz. Tymczasem dokoła całej gromadki zbierało się coraz więcej ludzi, robiących niewybredne uwagi.

* * *

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Gdy Wirginja idąc za pierwszym odruchem serca pośpieszyła biednej dziewczynie z pomocą, nie miała czasu do zastanowienia się nad tem, jakie następstwa pociągnie za sobą jej sposób postępowania. Widziała ona tylko to, że dusza, która była już zakosztowała radości czystego życia, znajdowała się w niebezpieczeństwie popadnięcia w dawne grzechy. Stało się dla niej przyzwyczajeniem zadawanie sobie przy każdej sposobności pytania, co w danym wypadku uczyniłby Chrystus i dlatego zaopiekowała się biedną dziewczyną.

— Jedźcie sobie do domu — zawołała do swoich przyjaciółek z całym spokojem. — Ja muszę zaprowadzić do domu swoją znajomą.

— Znajomą? — powtórzyła jedna z panien i spojrzała na Wirginję takimi oczami, jak gdyby ta była straciła rozum.

— Czy nie możemy dopomóc ci w jaki sposób? — pytała inna. — Może...

— Nie, nie możecie mi pomóc — odpowiedziała Wirginja spoglądając przez chwilę za oddalającym się powozem. Ale sama nie wiedziała dobrze, co czynić.

Rozejrzała się dokoła siebie i spotkała się z niejednym współczującym spojrzeniem. Można

było dostrzedz z zachowania się ludzi, że wielu z pośród nich ożywał już nowy duch.

— Gdzie mieszka ta dziewczyna? — zapytała wreszcie Wirginja.

Nikt jej nie odpowiedział i po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie Wirginja, że i wśród mieszkańców Rectangłu można się spotkać z dowodami delikatności uczuć, godnymi najwytworniejszego towarzystwa.

Czyżby ta biedna kobieta wogóle nie miała własnego kąta? Wirginja zdrzała.

Ponieważ była zupełnie bezradna i nie wiedziała, co ma uczynić, postanowiła przedewszystkiem zaprowadzić biedną dziewczynę do państwa Gray. Ze współczuciem podobnym do zbożnej litości spoglądali zebrani ludzie za tą parą dziewcząt tak bardzo niepodobnych do siebie. Rozumieli oni, że to nie przemijający kaprys nakłonił wytworną młodą damę do zajęcia się biedną opuszczoną kobietą, ale że powodowała się ona pobudkami głębszemi.

Gdy Wirginja dotarła do domu państwa Gray, dowiedziała się, że państwo ci wyszli i że nie powrócą przed godziną szóstą. Teraz nie wiedziała zupełnie co ma zrobić. Przed nią na stopniach schodów siedziała Loreen i płacząc ukrywała twarz w dłoniach. W Wirginji powstało uczucie obrzydzenia, ale jednocześnie budziła się w niej myśl, że przecie nikt nie może jej zabronić, aby zabrała biedną dziewczynę do swego domu i dała jej gościnę u siebie, zamiast oddawać ją do szpitala lub do

domu ubogich. Po krótkiej walce wewnętrznej rzekła do dziewczyny:

— Niech pani idzie ze mną, panno Loreen, zabiorę panią do swego domu.

Na szczęście dziewczyna nie opierała się wcale i pozwoliła wprowadzić się do wagonu tramwaju. Wirginja musiała bezustannie myśleć o Chrystusie, aby nie dać się wytrącić z równowagi spojrzzeniami ludzi, którzy patrzyli na nią i na Loreen. Mężnie znosiła zaciekawione i pytające spojrzenia, z którymi musiała spotykać się na całej przestrzeni, jaka dzieliła przystanek tramwaju od jej domu i odetchnęła dopiero wtedy, gdy znalazła się w swoim mieszkaniu, chociaż wiedziała, że tutaj dopiero wypadnie jej stoczyć najcięższą walkę.

Gdy pani Page wyszła do przedpokoju na jej spotkanie, rzekła Wirginja zupełnie spokojnie:

— Przeprowadziłam jedną ze swoich znajomych z Rectanglu i chciałam dać jej na pewien czas przytułek, ponieważ jest ona w wielkiej nędzy i nie ma własnego mieszkania.

— Mówisz, że to jedna z twoich znajomych? — zapytała pani Page głosem drżącym ze wzburzenia, mierząc zimnem spojrzeniem najprzód swoją wnuczkę, a następnie nieszczęśliwą dziewczynę.

— Tak jest, babciu — odparła Wirginja, a chociaż rumieniła się przytem, to jednak starała się opanować przez pamięć o tem, że Jezus był przyjacielem celników i grzeszników, jak o tem mówił niejednokrotnie kaznodzieja Gray.

— A czy ty wiesz, jakiego to gościa prowadzisz sobie w dom? — szepnęła pani Page na ucho wnuczce.

— Ja wiem, babciu, że należą ona do wyrzutków społeczeństwa i w dodatku jest ona w tej chwili pijana. Ale wiem i to, że i za nią umarł Chrystus, a przed kilku dniami widziałam ją skruszoną na kolanach i żalującą swoich grzechów. Oto szatan stara się opłacać ją nowo sidłami grzechu, a ja uważam za swój święty obowiązek chrześcijański dać jej przytułek w swoim domu przynajmniej na czas niejaki, aby ochronić ją przed zgubnymi wpływami Rectanglu.

Pani Page nie chciała wierzyć własnym uszom. Było to wogóle możliwe, aby ona, dama należąca do najlepszego towarzystwa i starannie przestrzegająca wszystkich przepisów życia tego towarzystwa, miała mieszkać pod jednym dachem z taką osobą, wyrzuconą poza nawias społeczeństwa? Nie, nigdy, przenigdy!

— A więc pošlij ją do jakiego przytułku dla bezdomnych, albo do domu dla ubogich — zawołała głosem podnieconym, — ale nie zatrzymuj jej w naszym domu! Czy nie rozumiesz, że musi to zaszkodzić naszej opinii?

— Jest mi bardzo przykro, droga babciu, ale co postanowiłam, to zrobię. Zatrzymam Loreen u siebie — odparła Wirginja spokojnie.

— W takim razie sama odpowiesz za następstwa — krzyknęła pani Page. — Ja w żadnym razie nie pozostanę pod jednym dachem z taką...

Zanim zdołała wymówić ostatnie słowo, przerwała jej wnuczka:

— Ten dom jest mój — rzekła z całą stanowczością — dopóki zechcesz uważać go także za swój, będzie on na twoje usługi, droga babciu. Ale w tym domu moim musisz mi pozwolić postępować tak, jak zdaniem mojem postępowałby Jezus, gdyby był na mojem miejscu. Na zdaniu naszego towarzystwa nie zależy mi wcale, bo towarzystwo nie jest moim bogiem, a ta dusza potrzebująca ratunku jest dla mnie nieskończenie cenniejszą, niż opinia jakiegokolwiek towarzystwa.

— Dobrze, w takim razie odchodzę — rzekła pani Page — ale nie zapomnij, że babkę swoją wygnałaś z domu dla pijanej przybłędy.

Zanim Wirginja zdołała odpowiedzieć, babka wyszła z pokoju. Lecz wnuczka ani przez chwilę nie miała wątpliwości co do tego, czy postępowanie jej jest dobrem. Nawet bowiem, gdyby babcia zrobiła to, czem jej zagroziła, to posiadała dostateczne środki, aby nie potrzebowała nakładać sobie wyrzeczeń pod jakimkolwiek względem. Pani Page nie była osamotnioną, gdyż miała rodzeństwo w jednym ze stanów południowych, u których i tak corocznie spędzała po kilka miesięcy. Chociaż Wirginji było niesłychanie przykro, że doszło do takiej smutnej sceny między nią a babką, to jednak było dla niej jasnym, że inaczej postąpić nie miała prawa.

Gdy przy pomocy służącej ułożyła Loreen do snu, udała się do pokoju jadalnego na her-

batę. Pani Page nie przysła, natomiast Rollin opowiedział jej, że był na dworcu kolejowym i przypadkowo spotkał babkę, która właśnie wsiadła do pociągu pośpiesznego, odchodzącego na południe.

Przez chwilę brat i siostra siedzieli cicho w poważnej zadumie.

— Co myślisz o tem wszystkim? — zapytała wreszcie Wirginja. — Czy sądzisz, że powinnam była postąpić inaczej?

— Nie, nie sądzę, abyś była postąpiła niewłaściwie, jakkolwiek ta sprawa jest dla nas bardzo przykra — odpowiedział Rollin. — Jeśli sądzisz, że biedną tę duszę możesz uratować dzięki osobistej troskliwej opiece, to nie masz żadnego wyboru. O, Wirginjo, jakże krwawi mi się serce, gdy pomyślę o tych długich latach, w których żyliśmy wyłącznie dla siebie, szukając jedynie własnych przyjemności i nie myśleliśmy nigdy o tych niezliczonych nieszczęśliwych nędzarzach, ginących w biedzie i niedoli!

Nigdy dotąd nie zauważyła Wirginja tak dobrze tej przemiany, jaka zaszła w Rollinie, jak w tej chwili. Zaiste, że brat stał się zgola nowem stworzeniem; stare rzeczy przeminęły i wszystko stało się w nim nowem.

Na radę D-ra Westa Wirginja zatrzymała Loreen narazie u siebie i przez troskliwą opiekę i serdeczne współczucie starała się oddziaływać na nią dobroczynnie.

Podczas poufnych zebrań niedzielnych po nabożeństwach, zwolennicy naśladowania Chrystusa mieli zwyczaj dzielenia się swojemi do-

świadzeniami oraz spostrzeżeniami nad każdorazową sytuacją. To też było rzeczą zgoła naturalną, że Edward Normann wypowiadał się na owych zebraniach o tych doświadczeniach swoich, jakie poczynił jako wydawca „Wiadomości Codziennych.”

— Straciłem istotnie bardzo wiele w ciągu ostatnich tygodni i codziennie otrzymuję listy od dawnych prenumeratorów, abym im nadal pisma nie wysyłał. — powiedział między innymi. — Wyznaję otwarcie, że koszta wydawnictwa już się nie pokrywają i z pewnością nie będą się pokrywały, jeśli trzymać się będę dotychczasowej zasady, czyli zamieszczać w piśmie jedynie to, co zdaniem mojem zamieszczały Chrystus. Nie wiem wobec tego czy pismo zdoła się utrzymać, jeśli nie znajdę poparcia z zewnątrz.

Zebrani słuchali wywodów Normanna bardzo uważnie, najbardziej jednak interesowała się nim Wirginja Page. Policzki jej płonęły, gdy z pochyloną głową wsłuchiwała się w słowa Normanna, który mówił dalej:

— Różne zmiany, jakie dzięki memu zobowiązaniu okazały się koniecznymi także poza pismem, pochłonęły znaczną część mego majątku prywatnego, tak że nie będę w stanie prowadzić dalej swego pisma, jeśli ludzie o przekonaniach pokrewnych nie poprą mnie wydatnie przy pomocy prenumeraty i ogłoszeń.

— Czy sądzi pan, że gazeta chrześcijańska powinna być popierana w sposób taki, w jaki popiera się naprzykład chrześcijański zakład

wychowawczy, którego istnienie zabezpiecza się przy pomocy przekazywanych mu kapitałów? — zapytała Wirginja.

— Niewątpliwie, że tak. Jestem mocno przekonany, że nawet pismo redagowane na zasadach chrześcijańskich utrzymałoby się bardzo dobrze, gdyby miało możliwość przetrzymania kryzysu finansowego. Dla przeprowadzenia pewnych planów, które uważam za bardzo pożądane, potrzebuję gotówki, której mi chwilowo brak.

— Ileż potrzebowałby pan?—zapytała Wirginja dalej.

Normann zawahał się przez chwilę, gdyż przyszło mu na myśl, że młoda dziewczyna chce mu może zaproponować pożyczkę. Po chwili opamiętany już zupełnie odpowiedział głosem nieco niepewnym od wzruszenia:

— Dla prowadzenia takiego pisma, jakie wydawać zamierzam, potrzebowałbym przynajmniej pół miliona dolarów.

— Jeśli tak, to gotowa jestem służyć panu tą sumą — odpowiedziała Wirginja tak stanowczo i spokojnie, jak gdyby tę sprawę była już wszechstronnie rozważyła. Stawiam tylko jeden warunek, a mianowicie, że pismo będzie prowadzone w sposób dotychczasowy. Obecnych tu przyjaciół proszę, aby w moim kroku nie dopatrywali się jakiegoś czynu wielkoduszności. Od czasu jak uświadomiłam sobie, że majątek mój nie jest moją wyłączną własnością, ale że winnam go używać na chwałę Bożą, my-

ślałam już nieraz w jaki sposób mogłabym użyć swoich pieniędzy dla celów wyższych i oto dzisiaj otrzymuję wyraźną wskazówkę. W walce przeciwko wyszynkowi wódek „Wiadomości Codzienne” stoją po naszej stronie; musielibyśmy zgóry uznać się za zwyciężonych, gdybyśmy pozwolili upaść temu pożytecznemu pismu. Za wszelką cenę trzeba utrzymać dziennik chrześcijański, a ja jestem tak samo przekonana jak i pan Normann, że dziennik taki ostatecznie sam zdoła się utrzymać. Nie mogę sobie wprost wyobrazić, aby roztropność chrześcijańska miała być mniej warta od roztropności niechrześcijańskiej. Oto jest powód dla którego pragnę popierać to pismo pieniędzmi powierzonymi mi przez Boga. Jestem przekonana, że Chrystus na moim miejscu postąpiłby tak samo.

Zapanowało milczenie. Wszystkim wydało się, że jakimś cudem wszyscy zostali przeniesieni z dwudziestego stulecia w pierwsze stulecie chrześcijańskie, kiedy to uczniowie Chrystusowi uważali mienie swoje za należące do wszystkich.

W ciągu trzech tygodni mała gromadka wiernych, która utworzyła się w kościele głównym zespoliła się w miłości chrześcijańskiej tak ściśle i serdecznie, jak się to chyba nie zdarzyło od wielu stuleci. Po przemówieniu Wirginji wszystkich opanowało jedno podniosłe uczucie, które byłoby się dało wyrazić słowami: „Jeśli skutkiem przyjętego zobowiązania popadnę w trudności materialne, to mogę być pewnym poparcia ze strony tych wszystkich, którzy kie-

rują się zasadą: Co uczyniłby na moim miejscu Jezus?

Ta świadomość napełniła wszystkich wielką radością i ufnością w Boga, dla którego miłości znoszono chętnie przeciwieństwa i straty.

Zanim uczestnicy zebrania rozeszli się, ten i ów podzielił się jeszcze ze zgromadzonymi doświadczeniami swymi. Niejeden z młodzieńców, którzy zobowiązali się iść za Chrystusem, utracił miejsce z powodu posłuszeństwa zasadzie. Aleksander Powers zakomunikował pokrótce, że w czasie najbliższym sąd zajmować się będzie sprawą kolei żelaznej i jej nadużyć i że sam on przyjął nanowo stanowisko w urzędzie telegraficznym.

Zastanawiającem było to, że od czasu jak porzucił stanowisko dyrektora warsztatów mechanicznych żona jego i córka nie pokazywały się wcale w towarzystwie. Nikt nie domyślał się nawet jak bardzo cierpiał ten męzny wynawca, który wśród najbliższych swoich nie znajdował zrozumienia i poparcia. Pod tym względem posiadał on wszakże wielu braci w cierpieniu, którzy aczkolwiek nie mówili o tem, dźwigali na barkach swoich taki sam krzyż, jak on. Iluż z nich musiało doświadczyć na sobie prawdy słów Pisma świętego, że nieprzyjaciółmi człowieka staną się domownicy jego, jak tylko zacznie on naśladować Chrystusa.

W tygodniu następnym miały się rozpocząć wybory i całe miasto znajdowało się z tego powodu w wielkiem podnieceniu. Henryk Maxwell, Donald Marsh i kilku innych profesorów

dzielących ich przekonania, wystąpili mężnie w obronie swoich przekonań i dzwigali swój krzyż, jakkolwiek cała ich istota burzyła się przeciwko walkom partyjnym, a uświadomienia pociągały ich w zacisze gabinetów. Pomimo to jednak postanowili oni uczynić zadość swoim obowiązkom obywatelskim. Gdy później Henryk Maxwell wspominał te czasy zapasów, nie pojmował samego siebie. Nie był on tchórzem, ale opanowywała go pewna lekliwość, jaka opanowuje każdego, kto staje wobec nowego ciężkiego zadania i nie dowierza swoim siłom.

W sobotę, właściwy dzień wyborów, podniecenie wzrosło niebywale. Zdawało się, że dobre i złe moce walczą z sobą o duszę Rectanglu. Z jednej strony zgromadzenia w namiocie Graya były liczniejsze niż dotychczas i coraz więcej dusz zdobywano tam dla Boga, z drugiej atoli strony szynki bywały przepelnione, jak bodaj nigdy dotąd i dokoła namiotu Graya włączyły się podniecone masy zakłócając spokój zromadzeń. W namiocie samym panował względny spokój. Spiew Racheli wywierał jeszcze ciągle potężny wpływ na tych, którzy go słuchali, a proste głoszenie Słowa Bożego nie miało się z celem. Na specjalną prośbę Graya Maxwell uczestniczył w zgromadzeniu sobotnim, a rektor Marsh mu towarzyszył. Wirginja i Rachel przybyły z D-rem Westem i Rollinem, a Loreen, która jeszcze ciągle mieszkała u Wirginji, przybyła razem z nimi. Trzymała się blisko swej opiekunki i całą duszą chwytła ka-

zde słowo kazania, pieśni i modlitwy. Było widocznem, że zdawała sobie sprawę ze swego dotychczasowego grzesznego życia, ale nie miała jeszcze odwagi uchwycić się obietnic Bożych, zwiastujących grzesznikom wyzwolenie i odpuszczenie.

Zaledwie panowie z paniami wyszli z namiotu, gdy ze wszystkich stron otoczeni zostali przez wzburzony i krzykliwy tłum i zanim zdążyli się opatrzyć, zwałił się na nich istny grad kamieni.

Ostrożnie torowała sobie mała gromadka drogę przez wzburzony i wściekły tłum. Dr. West, Rollin Page, Maxwell i Marsh z trudem osłaniali kobiety.

—Precz z jaśnie państwem!—wrzasnął jakiś ochrypty głos kobiecy i zaraz potem zwałił się na idących nowy grad kamieni i błota. Rollina trafił kamień prosto w pierś gdy osłaniając Rachelę, stanął przed nią. Policja nie zdążyła jeszcze przybyć, aby przywrócić porządek. W pewnej chwili Loreen wyskoczyła naprzód i ruchem gwałtownym odsunęła Wirginję na stronę. Zanim ktoś zdążył zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, z okna największego z szynków wyleciała butelka i uderzyła Loreen w głowę tak mocno, że ta upadła na ziemię zemdlnona. Nad nieprzytomną uklękła Wirginja, aby jej pośpieszyć z pomocą.

— Cicho! Zabiliście kobiety! — krzyknął Donald Marsh swoim potężnym głosem.

Więść ta uspokoiła poniekąd rozwścieczonego tłum.

— Prawdaż to? — zapytał Maxwell D-ra Westa, który stał pochylony nad ranioną.

— Loreen umiera — odpowiedział lekarz zwięźle.

Jeszcze raz otworzyła Loreen oczy i uśmiechnęła się do Wirginji, która ocierała krew obficie płynącą z jej rany i całowała umierającą w blade czoło. Za chwilę Loreen żyć przestała.

* * *

Odstąpcie, zuchwali grzesznicy i grzesznice, w obliczu zbrodni, której się dopuściliście! Zróbcie miejsce dla orszaku pogrzebowego, który prowadzi przez wasze ulice! Oto jeszcze jedna ofiara, których tyle pochłania szatan pijaństwa. O, pijani zbrodniarze, którzy śmierć tę macie na sumieniu, usuńcie się! A ty, kraju chrześcijański, pomyśl o tem, jaki przypada ci udział w tej zbrodni. Myślcie o tem wy wszyscy, którzy tak jednogłośnie występujecie w obronie wyszynku wódek, i zastanówcie się, czy kiedyś na sądzie ostatecznym Loreen nie wystąpi przeciwko wam jako straszliwa oskarżycielka.

* * *

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Podczas gdy w mieszkaniu Wirginji zwłoki Loreen spoczywały w trumnie pod mnóstwem kwiatów wiosennych, dzwony wzywały wiernych na nabożeństwo i ze wszystkich stron schodzili się ludzie do kościoła.

Po przebytych wzruszeniach nocy minionej pastor Maxwell wyglądał źle i był bardzo blady. Pomimo to mówił z takim przejęciem i taki był wymowny, że słuchacze jego mogli z niego być dumni jak zawsze. Dawało się jednak dostrześć, że człowiekowi temu chodzi o wszystko inne, tylko nie o uznanie słuchaczy za dar krasomówczy. W słowach jego wyrażał się taki głęboki smutek i taki nastrój poważny, że słuchacze bledli pod wpływem oskarżającego ich głosu sumienia. A powodów do samooskarżenia było aż nadto, gdyż pomimo wszelkich usiłowań ludzi ofiarnych, dawni rozpajacze ludu zostali ponownie wybrani i władza nad miastem dostała się w ich ręce na dalszy długi rok. Wybrani zostali oni wprawdzie tylko przy pomocy nikomej większości głosów, ale wynik był w każdym razie zawstydzający. Miasto Raymond musiało poddać się władzy rozpajaczy ludu i cierpieć skutkiem nieograniczonej wolności wyszynku wódki jedynie dlatego, że duża część ludności chrześcijańskiej wogóle nie skorzystała

ze swego prawa wyborczego, a wszyscy inni głosowali za nimi.

Pastor Maxwell nie oszczędzał swoich zbrowników. W słowach ostrych potępił obojętność kół chrześcijańskich i samemu sobie zrobił zarzut podobny. Wskazawszy na krwawą ofiarę, jaką rozpajanie ludu pociągnęło za sobą właśnie nocy ostatniej, starał się wymownemi słowami obudzić drzemiące sumienia. Słowa jego nie pozostały bez wrażenia: kobiety i mężczyźni nie wstydzili się swoich łez. Rektor Marsh, który był zawsze wcieleniem panowania nad sobą, ukrył twarz w dłoniach, aby utaić grube łzy spływające po jego twarzy. W oczach Normanna odbijało się głębokie wzruszenie. On, który jak mało kto w czasach ostatnich walczył w interesie dobrej sprawy, robił sobie gorzkie wyrzuty, żałując szczerze, że już dawno nie oddał pisma swego na usługi sprawy Bożej. Jakże inaczej byłyby wypadły wybory, gdyby już dawno był oddziaływał na opinię publiczną! Rachel Winslow także daremnie starała się opanować swoje wzruszenie. Gdy właśnie miała śpiewać pieśń ostatnią, głos jej załamał się i dziewczyna z łkaniem osunęła się na ławkę.

Głębokie wzruszenie ogarnęło cały kościół. Zniknęły kędyś ściśle przestrzegane formy nabożeństwa, rozwiął się zwykły chłód wytwornej powściągliwości, a ze wszystkich stron odzywały się łkania i szloch. Lody popękały i serca otworzyły się na wołanie Mistrza i Pana, wzywającego wszystkich, aby szli za nim i nieśli jego krzyż.

Jakkolwiek dnia tego pastor Maxwell nie zwywał specjalnie, aby słuchacze jego przyłączyli się do tych, którzy wzięli na siebie obowiązki dobrowolny naśladowania Chrystusa, to jednak na zwykłym zgromadzeniu po nabożeństwie znalazło się wiele nowych ludzi, gotowych do oddania życia swego Bogu. Pod potężnym wrażeniem kazania ludzie pozapominali o osobistych trudnościach i przeciwieństwach, a każdy myślał tylko o wspólnej winie i odpowiedzialności chrześcijańskiego miasta Raymond. Z niezliczonych modlitw, które owej godziny wznosiły się ku Bogu, przebiegał się głęboki ton żalu za dotychczasowe grzechy niedbalstwa i pragnienie rozpoczęcia nowego, lepszego życia. Każdy z modlących się myślał w głębi serca przedewszystkiem o szkodach powstających skutkiem rozpajania ludu i ślubował Bogu uczynić wszystko, aby w przyszłości wolność wyszynku wódki została zniesiona nazawsze.

W Rectangu tragiczna śmierć Loreen wywarła potężne wstrząsające wrażenie. Biedna dziewczyna, o którą dotychczas nikt się nie zatroszczył, stała się przedmiotem powszechnego zainteresowania od chwili, gdy znalazła tak życzliwą i serdeczną opiekę w najwytworniejszych kołach miasta. Teraz, gdy rozeszła się wieść, że zwłoki jej wystawione są w mieszkaniu panny Page we wspianiałej trumnie, ci, którzy żyli z nią ongi bardzo blisko, zaczęli ujawniać duże zaciekawienie. Tłumnie nachodzili ci, prości ludzie mieszkanie Graya, aby się do-

wiedzieć kiedy będzie pogrzeb i w jaki sposób będzie można w nim uczestniczyć.

Zarówno kaznodzieja Gray jak i Wirginja byłyby najchętniej uniknęły wszelkiego przepychu przy pogrzebie tej biednej dziewczyny. Atoli po rozmowie z pastorem Maxwelllem wszyscy zgodzili się na to, że ludności Rectanglu należy dać sposobność do wyrażenia żalu nad wydarzeniem tragicznym, którego ofiarą padła biedna Loreen. Postanowiono, że w namiocie Graya odprawione zostanie nabożeństwo żałobne, w którym wezmą udział Wirginja, Rachela, Dr. West, pastor Maxwell, rektor Marsh i szereg wybitnych sił śpiewaczych.

Przypadkowo znajdował się tegoż dnia sprawodawca obcej gazety w mieście Raymond i przesał do swego pisma takie charakterystyczne sprawozdanie:

„Miałem dzisiaj sposobność uczestniczenia w osobliwym nabożeństwie żałobnym, jakie odbyło się w namiocie kaznodziei Graya. Nabożeństwo to odbyło się w najbardziej osławionej dzielnicy miasta Raymond, Rectanglu. O ile dowiedzieć się mogłem ostatnia ta posługa oddana została osobie, która znana była jako pijaczka i dopiero w czasach ostatnich nawróciła się pod wpływem kazań wygłaszanych przez kaznodzieję Graya w jego namiocie, ustawionym w tej zaniedbanej dzielnicy miasta. Gdy soboty ubiegłej po wieczornym zgromadzeniu w towarzystwie swoich nowonawróconych przyjaciół opuściła namiot, z jednego z szynków rzucono w nią ciężką butelką i zabito ją. Ku zdumieniu

mojemu w nabożeństwie żałobnym brali udział ludzie należący do najwytworniejszych kół miasta, a pieśń rozpoczynającą nabożeństwo odśpiewał chór, który byłby się mógł dać słyszeć w najpierwszych kościołach Nowego Yorku lub Chicago. Po śpiewie kaznodzieja Gray wypowiedział serdeczną i gorącą modlitwę, a po tej modlitwie człowiek wytworny i utalentowany mówca, jak mi powiedziano pastor Maxwell, z głównego kościoła w Raymond, przemówił bardzo pięknie do zgromadzenia żałobnego. Zaznaczył on, że na szczęście dziewczyna, która zginęła w sposób tak tragiczny, była pojeđnana z Bogiem, a potem rozwodził się w słowach pełnych uczucia nad bezmierną nędzą, jaką sprowadza na ludność pijaństwo. Jakkolwiek mowa jego, wypowiedziana w takich warunkach, ze względu na treść swoją brzmiała dość niezwykle, to jednak wszyscy godzili się, że była ona zgoda na miejscu.

„Podczas gdy zgromadzenie, w którym przeważały kobiety, śpiewało pieśń „I ja błądzącą byłem owcą”, uczestnicy tej smutnej uroczystości przechodzili obok trumny i składały na niej kwiaty. Było tu więcej niż sto kobiet, które dopiero w czasach ostatnich nawrócone zostały, i muszę wyznać, że śpiew tych prostych, nieoświeconych kobiet wywarł na mnie wrażenie nieopisane. Poza namiotem, którego boczne ściany były podniesione, zgromadził się tłum ludzi, którzy w ciszy i skupieniu brali udział w smutnym obrzędzie. Pod koniec panna Rachela Winslow zaśpiewała piękną pieśń, a wre-

szcie kaznodzieja Gray wezwał obecnych do wspólnej modlitwy. Niestety, nie mogłem czekać aż do zakończenia tej niezwyklej uroczystości, gdyż musiałem odjechać. Gdy atoli pociąg przejeżdżał przez Rectangle, z okna wagonu widziałem, jak sześć kobiet niosło trumnę, za którą reszta uczestników pogrzebu kroczyła w długich szeregach. W naszej niepoetycznej republice takich obrazów nie widuje się często."

Gdy pogrzeb ten wywarł takie mocne wrażenie na obcym, to łatwo sobie wyobrazić, że na mieszkańcach Rectanglu musiał on wywrzeć wrażenie tem potężniejsze. Było głęboko wzruszającym pomyślenie o tem, że Duch Boży oddziałł potężnie na żywych przy pomocy zwłok biednej Loreen, aby dusze ich pozyskać dla pięknego i czystego życia.

Naogół pozostało w Rectanglu wszystko po staremu także i po pogrzebie Loreen. Narazie szynk, z którego wyrzucona została zabójcza butelka, został przez policję zamknięty, a jego gospodarza aresztowano, ale ponieważ nie można było znaleźć tego, kto rzucił butelkę, przeto już po tygodniu gospodarz szynku został wypuszczony na wolność, a szynk jego jak dawniej pełen był pijaków, gubiących tu dusze i ciała.

Nikt może nie opłakiwał Loreen tak serdecznie jak Wirginja, która pokochała biedną dziewczynę bardzo tkliwie podczas tych niewielu dni, w których była ona jej gościem. Całe to smutne wydarzenie było dla niej poważnym wzwaniem, aby zajęła się ratowaniem tych

wszystkich opuszczonych kobiet, które ginęły tak samo, jak ongi Loreen.

— Muszę coś uczynić, aby tym biednym kobietom dopomódz do zapoczątkowania nowego, lepszego życia — rzekła Wirginja do Racheli, gdy po pogrzebie Loreen siedziały z sobą i rozmawiały.— Powiedziałam o tem Rollinowi, a on wyraził gotowość oddania na ten cel części swego mienia. Liczę wszakże i na twoją pomoc, moja Rachelo. Posłuchaj, jak sobie tę rzecz przedstawiam. Rollin i ja pragniemy nabyć dość duży kawałek gruntu i oddać go na usługi sprawy Bożej. Nie wiem jeszcze dokładnie co trzeba będzie pobudować tam narazie, ale z czasem powstaną tam zdrowe mieszkania, schroniska dla ubogich kobiet i samotnych dziewcząt, aby mogły być ratowane przed zagładą, która czyha na nie ze wszystkich stron. Nietylko wszakże pieniądze moje mają służyć tej sprawie. Ja sama chcę oddać się dziełu ratowania zagrożonych. Oczywiście, nieraz mam wrażenie, że wszystkie najlepsze usiłowania nie zdadzą się na nic, dopóki w tej nieszczęśliwej dzielnicy jest tyle szynków, krzewiących zepsucie i zniszczenie.

— Masz rację— rzekła Rachelo— że szynki wyrządzają wiele szkody, ale nie powinnaś zapominać o tych błogosławieństwach, jakie spłyną na całą dzielnicę z tego dzieła, jakie zapoczątkować zamierzasz. Następnie, trzeba wierzyć, że wolność rozpajania ludu nie będzie trwała wiecznie. Nadejdą czasy, w których nad miastem zapanuje myśl chrześcijańska.

— To prawda — mówiła Wirginja — nie powinniśmy się zniechęcać. Jeśli w dalszym ciągu przybywać będzie tych, którzy pragną kroczyć śladami Jezusa, to niebawem w mieście naszym zapanuje zgoła inne życie. Ale jeszcze nie wiedziałam ci, Rachelo, jakie plany żywię co do ciebie. Czy nie myślisz, że byłoby dobrze, gdybyś w Ractangu założyła szkołę śpiewu, czy coś w tym rodzaju, i gdybyś spróbowała kształcić dziewczęta w śpiewie? Wiemy już dobrze, jak dalece ładny śpiew przyczynia się do pozyskiwania serc dla Chrystusa.

Oczy Racheli zajaśniały, gdy ściskając dłoń przyjaciółki, mówiła:

— Myśl twoja spotyka się z pragnieniem, jakie od pewnego czasu nie daje mi spokoju. Nie wiedziałam tylko jak zabrać się do tej sprawy. O, Wirginjo, jak wiele można uczynić dla swoich bliźnich, gdy się posiada odpowiednie środki pieniężne!

— I do tego gorące i ofiarne serce, jakim jest twoje — odparła Wirginja z miłym uśmiechem.

Potem zaczęły przyjaciółki mówić o rzeczach innych i Wirginja zapytała:

— Czy ostatnimi czasy słyszałaś coś o Jasperze Chase? Założyłabym się, że pisze nową książkę. Ciekawam, czy wyznaczysz ci w niej znowu rolę bohaterki. W swojej ostatniej powieści z pewnością ciebie miał przed oczami, gdy opisywał bohaterkę swego dzieła.

Rachela zaczerwieniła się aż po białka oczu

i milczała przez chwilę. Ale ochłonawszy nieco, rzekła spokojnie:

— Nie powiedziałaś ci jeszcze, Wirginjo, że niedawno temu Jasper oświadczył mi się, a raczej byłby się oświadczył, gdybym nie...

Nie dokończyła zdania i oczami wilgotnemi spoglądała przez okno.

— Muszę się przyznać, że przez czas niejaki wyobrażałam sobie, iż go kocham. Ale gdy wyznał mi swoją miłość, poczułam nagle jak bardzo jest mi ten człowiek obcym i odrzuciłam jego propozycję małżeństwa. Było to owego wieczoru, gdy w Rectangu przeżyliśmy radość pierwszych nawróceń. Od owego czasu nie widziałam go ani razu.

— Cieszę się, że tak postąpiłaś — rzekła Wirginja spokojnie.

— Dlaczego? — spytała Rachela.

— Ponieważ Jasper Chase nigdy nie podobał mi się osobliwie. Nie chciałam go sądzić, ale miałam wrażenie, że składając przysięgę naśladowania Chrystusa, nie brał tego poważnie.

— Serce moje nie należało do niego nigdy — mówiła Rachela. — Lubiłam z nim rozmawiać i podziwiałam jego talent literacki, ale go nie kochałam. Cieszę się, że w porę zdałam sobie z tego sprawę.

Wirginja czuła, że Rachela chciałaby jeszcze coś powiedzieć, ale nie może się na to zdecydować. Ponieważ delikatność uczuć nie pozwalała jej na wybadywanie przyjaciółki, przeto uczuciom swoim dla Racheli dała wyraz w serdecznym szczerym pocałunku.

Gdy po kilku godzinach Wirginja i Rollin siedzieli przy kolacji i gawędzili z sobą, rozmowa zesła także na Rachelę, i siostra powiedziała bratu jak chętnie Rachelę chce się oddać pracy dla Rectanglu.

— Wyobraź sobie, że zamierza ona zarabiać na swoje utrzymanie lekcjami muzyki udzielanymi na mieście, a wolne chwile pragnie poświęcić pracy nad podniesieniem mieszkańców Rectanglu.

— W każdym razie daje ona w ten sposób przykład czynnego samozaparcia — odparł Rollin chłodno.

Wirginja spojrzała na swego brata okiem badawczem i zapytała:

— Czyż nie uważasz, że sposób jej postępowania jest niezwykły? Ani ty, ani ja, nie zdołamy sobie wyobrazić, aby która ze znanych śpiewaczek operowych postępowała podobnie.

— Zapewne, że żadna ze śpiewaczek operowych nie pomyślałaby o takiej pracy dla ubogich ludzi, podobnie jak dziewczęta twojej sfery nie myślą o takiej pracy, jakiej oddajesz się ty — mówił Rollin.

— I ja, miły bracie, nie mogę wyobrazić sobie, aby pan Campbell, twój niedawny kompan i jeden z najbardziej złotych młodzieńców zabrał się do takiej pracy, jaka obecnie pochłania ciebie — odparła Wirginja. — Ale powiedz mi, mój drogi, dlaczego w czasach ostatnich odnosisz się do Racheli z taką powściągliwością, czy nawet niechęcią?

Rollin powstał od stołu i kilka razy prze-

szedł się po pokoju. Wreszcie stanął przed siostrą i głosem drżącym ze wzruszenia mówił:

— Nie odgadujesz mojej tajemnicy, Wirginjo? Jeszcze nigdy nie kochałem żadnej dziewczyny tak, jak kocham Rachelę. Niedawno temu, gdy była u nas na obiedzie, poszedłem za nią, gdy wracała do domu i zapytałem ją, czy chciałaby zostać moją żoną. Oczywiście, odpowiedziała mi odmownie, zaznaczając, że nie może mnie kochać, ponieważ nie mam żadnego celu życia. Naturalnie, że miała zupełną rację. Od czasu jak stałem się innym człowiekiem, uważam za niemożliwe powrócić do tej sprawy. Rozumiesz to chyba. Wiadomego wieczoru zostałem porwany śpiewem Racheli, ale tak jakoś dziwnie, że zapomniałem zupełnie o śpiewaczce i słyszałem jedynie głos Boży, wzywający grzeszników do pokuty. Miłość, jaka wówczas zrodziła się w mem sercu dla Zbawiciela, przestoniła mi wszystkie inne uczucia. Kocham Rachelę jeszcze ciągle, ale nie sądzę, aby ona pokochała mnie kiedykolwiek.

Cóż miała Wirginja na to odpowiedzieć? Powiedziała sobie tylko to jedno, że Rachelę tak samo, jak i ona musi dostrzedz tę zmianę, jaka zaszła w Rollinie i że teraz nie jest bynajmniej wykluczonem, iż oboje spotkać się mogą na tym gruncie, który dla obojga tworzy podstawę życia. Zrobiła uwagę w tym duchu, ale Rollin nie wzbudzał w sobie żadnych nadziei. Postanowił on w dalszym ciągu zbliżać się do swoich dawnych towarzyszy klubowych i mówić im o Chrystusie. Natomiast nie zamierzał

szukać jakiejś sposobności, aby zbliżyć się ponownie do Racheli. Już sama myśl o tem, że Rachela mogłaby go po raz drugi odrzucić, była dla niego wprost nieznośna.

Dnia następnego udała się Wirginja z pastorem Maxwellem do Normanna, aby omówić z nim szczegółowo sprawę gazety. Wszyscy troje godzili się na to, że Chrystus, gdyby wydawał gazetę, to kierowałby się temi zasadami, jakimi kierował się jako Zbawiciel świata, gdy przebywał wśród ludzi.

— Zrobiłem sobie kilka notatek dotyczących tego, jak Jezus zdaniem mojem postępowałby jako wydawca gazety. — Rzekłszy to, wziął do ręki kartkę papieru i czytał punkt za punktem:

— Co czyniłby Jezus na miejscu Edwarda Normanna, wydawcy gazety wychodzącej w mieście Raymond?

1. Nie zamieściłby nigdy artykułu, obrazu, lub notatki, które mogłyby być nazwane złemi, sprośnemi lub niemoralnemi.

2. Część polityczną prowadziłby prawdopodobnie w duchu bezpartyjnym na zasadach chrześcijańsko-patrjotycznych. Zawsze, gdy chodziłoby o dobro ludu, nie pytałby: Co odpowiada najbardziej interesom mojej partji, ale pytałby: Czego żąda ode mnie Bóg? Zawsze starałby się przedewszystkiem o krzewienie Królestwa Bożego na całym świecie.

— Chciałbym tu podkreślić — rzekł pan Norman, przerywając czytanie — że tak postępowałby Jezus jako wydawca gazety zdaniem mojem. Być może, że inni wydawcy gazet

przedstawiliby sobie swoje obowiązki nieco inaczej.

3. Nie byłoby głównem zadaniem Jezusa jako wydawcy pisma zarabianie jak najwięcej pieniędzy i zdobywanie wpływów politycznych, ale starałby się on przedewszystkiem o to, aby czytelnikom swoim pokazać, że i przy redagowaniu gazety trzeba mieć na względzie przedewszystkiem krzewienie Królestwa Bożego, podobnie jak ma to na względzie każdy szczerzy duchowny, misjonarz czy kaznodzieja pracujący na niwie Bożej.

4. Nie przyjmowałby do swej gazety żadnych wątpliwych ogłoszeń.

5. Stosunek Jezusa do jego współpracowników i urzędników byłby serdeczny i uprzejmy.

— Nie mogę sobie wyobrazić — przerwał sobie Norman ponownie odczytywanie swoich poglądów — aby Jezus będąc dobrym dla swoich pracowników, nie zapewnił im uczestniczenia w czystych zyskach wydawnictwa. Co do tego mam pewne plany, które atoli nie dojrzały jeszcze.

6. Jezus oddałby szpalty swego pisma na usługi wszelkim poczynaniom zrodzonym z ducha szczerzego chrześcijaństwa.

7. Z całą stanowczością zwalczałby on w swem piśmie wolność wyszynku wódki, która jest przekleństwem dla całego rodzaju ludzkiego, a w walce tej nie pozwoliliby się zachwiać ani jakimkolwiek mniemaniem postronnym, ani stratom, jakie mogłyby mu grozić.

8. Jezus nie wydawałby pisma w niedzielę.

9. W piśmie swoim zamieszczałby wszystko to, o czem ludzie wiedzieć powinni, ale stanowczo nie zamieszczałby sprawozdań z niegodnych człowieka walk pięściarskich i nie dawałby szczegółowych opisów zbrodni, brzydkich opowieści, jednym słowem niczego, co mogłoby ludzi gorszyć.

10. Gdyby Chrystus przy wydawaniu pisma posiadał nasze środki pieniężne, to zapewniłby sobie współpracownictwo najdzielniejszych chrześcijańskich mężów i niewiast.

11. Wogóle Chrystus wydawałby pismo tak, aby ono służyło krzewieniu Królestwa Bożego na ziemi.

— Jak państwo widzicie, naszkicowałem tu jedynie pobieżnie pewien plan, który wymaga rozwinięcia—rzekł Normann. — Z biegiem czasu trzeba będzie niezawodnie zrealizować jeszcze niejednen zamiar, który okaże się dobrym i koniecznym. Zdaniem moich kolegów pismo nasze stanie się słabą, wodnistą gazetką, ale ja mam inne przekonania. Zgadzam się zupełnie ze zdaniem, że o ile chodzi o oddziaływanie na opinię publiczną, to rzeczy najlepsze są dopiero dostatecznie dobre. Nie, pismo nasze, choćby miało nie wiem jakie trudności do pokonania, nie potrzebuje stać się słabem i wodnistem. Uważam, że to, co jest dobrem, powinno być daleko silniejszym i odporniejszym, niż to, co musimy potępić jako złe. Chodzi jedynie o to, aby szczerzy chrześcijanie wydatnie popierali swoje pismo, a wtedy będzie ono miało

powodzenie zapewnione. Czy zgadza się pan z temi poglądami, panie Maxwell?

— Zgadzam się zupełnie i jestem pewien, że pismo musi się utrzymać, gdy będzie prowadzone na takich zasadach, jakie pan właśnie wymienił. Ale nie powinniśmy zamykać oczu na to, że wydawanie takiego pisma wymaga bardzo wiele od swego kierownika.

— Zapewne — odrzekł Normann skromnie. — Popelnię niezawodnie niejednen błąd, ale mam niezłomne i szczerze pragnienie przenikania się duchem Bożym i czerpania z niego mocy i mądrości.

O tę moc i mądrość zwrócił się natychmiast do Boga, jak tylko Wirginja z pastorem Maxwellem odeszli od niego i gdy znalazł się w posiadaniu pięciuset tysięcy dolarów potrzebnych do wydawania pisma. Ukłąkł i modlił się z dziecięcą wiarą i pokorą, iżby spełniło się na nim słowo Pisma świętego powiadające, że jeśli komu zabraknie na mądrości, niechaj prosi o nią Boga, a Bóg da każdemu według potrzeby jego. Bóg dopomógł istotnie wiernemu słudze swemu w jego usiłowaniach podniesienia tej prasy, która dzięki ambicji i chciwości ludzkiej upadła tak nisko, iż przestała służyć sprawie Królestwa Bożego.

W przeciągu dwóch najbliższych miesięcy gromadka wiernych w kościele głównym wzrosła wewnątrz i zewnątrz i pomimo wielkich upałów letnich zebrania po nabożeństwach bywały zawsze bardzo liczne. Gray przerwał swoją pracę w Rectanglu, a komu było danem

przyrzec się życiu tej smutnej dzielnicy, ten musiał sobie powiedzieć, że niestety, stosunki pozostały tam takie same, jakie były dawniej. Ale pomimo wszystko dużo dusz zostało wyrwanych ze szponów szatana i dusze te rosły i rozwijały się, chociaż szatan nie przestawał przeciwstawiać się dziełu miłości Bożej.

Pastor Maxwell nie udał się tego lata do Europy, ale pieniędzmi zaoszczędzonymi w ten sposób, dopomógł jednej z ubogich rodzin Rectangu do spędzenia kilku tygodni na wsi. Osobiście zawiózł zdziwionych i uradowanych ludzi do ładnej miejscowości i umieścił ich w pewnym domu chrześcijańskim, upewniwszy się, że nie zbraknie im tam na niczem. Gdy powrócił do dusznego, gorącego miasta, oczy jego jaśniały radością, że zdołał oddać cenną usługę ludziom biednym, potrzebującym odpoczynku. Słowa podziękii, które usłyszał z ust, pokrzepiły jego duszę bardziej, niż byłby zdołał uczynić to pobyt odpoczynkowy na wsi lub podróż do Europy.

Na pytanie swoich przyjaciół, czy w tym roku nie skorzysta z urlopu, odpowiedział, że nie odczuwa potrzeby po temu i że pozostanie w mieście. O ofierze, jaką poniósł dla biednych ludzi, nie dowiedział się nikt, prócz jego żony, która była jednej z nim myśli. Spełniając obowiązki swoje z całym oddaniem i wiernością i pracując wśród robotników warsztatów kolejowych jak był przyrzekł inżynierowi Powersowi, wnikał coraz głębiej w ducha swego Pana i Mistrza pogłębiając jednocześnie usiłowania

swoje wiernego naśladowania przykładu Chrystusa.

Pewnego wieczoru sierpniowego, gdy upał ustąpił przyjemnemu chładowi, Jasper Chase stał przy oknie swego mieszkania i spoglądał na ruch uliczny. Od chwili, w której otrzymał od Racheli odpowiedź odmowną, czuł się do żywego dotkniętym i trzymając się zdala od wszelkiego życia towarzyskiego, pracował gorączkowo nad nową powieścią, która właśnie była dokończona i leżała na jego biurku w rękopisie gotowym do druku. Nieraz podczas pisania tej powieści przychodziło mu na myśl pytanie, czy Jezus pisałby taką powieść i oddałby ją w ręce szerokich kół czytelniczych. Trzeba zaznaczyć, że nie chodziło bynajmniej o jakąś książkę złą. Była to powieść ładna, jaką czyta się z przyjemnością, ale za powieść chrześcijańską nie można było uważać jej w żadnym razie. Daremnie starał się wyrzucić z głowy to ostrzegawcze pytanie; powracało ono do niego pomimo wszystko. Dlaczego napisał tę powieść? W każdym razie nie dla pieniędzy, bowiem był on człowiekiem bogatym. Jedyнным jego bodźcem była ambicja. Pragnął on znaleźć uznanie w oczach świata, a tego nie można było osiągnąć jeśli jednocześnie chciało się naśladować Chrystusa. Czyżby w ten sposób łamał swoją przysięgę, złożoną pamiętnej niedzieli razem z innymi?

Jeszcze toczyła się w nim walka i jeszcze był czas zapobiedz wydaniu tej książki, gdy wtem oko jego spostrzegło Rollina Page wycho-

dzącego z lokalu klubu. Jasper przyglądał się uważnie temu wytwornemu młodzieńcowi, którego rysy stawały się coraz bardziej poważnymi, i w pewnej chwili ujrzał Rachelę Winslow, z którą przywitał się Rollin i poszedł z nią dalej.

Jasper odwrócił się od okna, usiadł przy biurku i szybko napisał adres swego nakładcy na pakiecie zawierającym rękopis napisanej przez siebie powieści. Postanowienie zapadło i Jasper wyparł się swego Pana.

A Jezus rzekł do niego: „Kto. rękę swoją położy na pługu, a ogląda się za siebie, ten nie jest zdatny dla Królestwa Bożego.”

*
*
*

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Rollin nie myślał wcale o Racheli Winslow gdy owego popołudnia wychodził z lokalu klubu i spotkał się z nią na rogu ulicy zgoła przypadkowo. Uradował się tem spotkaniem i serce jego biło żywiej, gdy kroczył obok kochanej dziewczyny.

— Powracam właśnie od Wirginji — zaczęła Rachela — i z radością dowiedziałam się, że kupno ziemi w dzielnicy Rectangu doszło wreszcie do skutku.

— Kosztowało to wszakże dużo zachodu zanim sprawa ta została załatwiona — rzekł Rollin. — Czy Wirginja pokazywała pani także gotowe plany, które już posiada? Zdumiewam się poprostu jakie bogate wiadomości zdobyła ona w czasach ostatnich w dziedzinie opieki nad ubogimi i jak umiejętnie zabiera się do wykonywania tych swoich wiadomości.

Podczas gdy to mówił, opuszczała go coraz bardziej wytworna powściągliwość i młodzieńiec zapalał się coraz bardziej.

— A cóż pan porabiał w ciągu całego lata? Widywałam pana bardzo rzadko.

— Miałem dość dużo zajęć — odpowiedział Rollin.

— Może mi pan powiedzieć coś niecoś o swoich zajęciach? — zapytała Rachela i zaraz

dodała: — Oczywiście, że jeśli pytanie jest niedyskretne, to proszę, aby pan mi na nie nie odpowiadał.

— Nie, w pytaniu pani niema dla mnie nic niedyskretnego. Tylko że właściwie nie mam wiele do powiedzenia. Jak pani zapewne wiadomo, pracuję wśród dawnych swoich przyjaciół i staram się pozyskiwać ich dla życia pożytecznego. Od czasu jak zobowiązałem się postępować w myśl zasady: Co uczyniłby Jezus na moim miejscu? — staram się pozyskiwać dla tej zasady przyjaciół moich.

— Serdecznie się ucieszyłam, że pan przyłączył się do naszej gromadki — rzekła Rachel. — Chciałabym wiedzieć jaki też jest obecnie stosunek pański do jego przyjaciół klubowych?

— Na proste pani pytanie muszę odpowiedzieć w sposób prosty. Po owym pamiętnym dla mnie wieczorze w Rectangu — zaczął Rollin z niejakim zakłopotaniem, — zadawałem sobie pytanie, w jaki sposób mógłbym życie swoje poświęcić dla Boga. Im więcej o tem myślałem, tem jaśniejsze stawało się dla mnie, jaki to krzyż przeznaczył dla mnie Bóg. Czy pani myślała kiedy o tem, jak bardzo zaniedbywani bywają ci młodzieńcy, którzy swój czas, pieniądze i zdrowie trwonią po lokalach klubowych? Kościół czyni co tylko może, aby ratować biednych i wspomagać na wszelki sposób ludzi upośledzonych. Otacza się troską biednych nieoświeconych ludzi, do dalekich krajów wysyła się misjonarzy, ale dla tych wytwornych

próżniaków nie czyni się niczego, aby zapoznali się z Ewangelią. Ponieważ sam należałem do tych ludzi i znam ich bardzo dobrze, mam nadzieję, że może uda mi się wyrwać na niejednego z pośród nich wpływ zbawienny. Jest to dla mnie pracą tem sympatyczniejszą, że do pracy w Rectangu nie nadają się.

— A jakże odnoszą się ci panowie do usiłowań pańskich? — pytała Rachel.

— Bardzo różnie — odpowiedział Rollin. — Niejeden myśli, że zwarjowałem. Ponieważ jednak składki swoje opłacam regularnie, przeto muszą mnie tolerować w swoim kole. Naturalnie, że staram się o ile tylko mogę unikać wszelkich scysji. Zdumiałaby się pani ile zrozumienia znajduję pomimo wszystko wśród tych ludzi. Niedawno temu miałem rozmowę na temat religijny z jakimiś dwunastu panami i Bóg pobłogosławił tej rozmowie naszej, bowiem niektórzy porzucili swoje grzeszne przyzwyczajenia i rozpoczęli nowe życie. Trzeba tu jednak postępować bardzo ostrożnie i kierować się przy każdym nowym kroku wskazówkami Bożemi.

Rachela spoglądała na Rollina, aby się przekonać czy mówi do niej ten niedawno jeszcze taki lekkomyślny i powierzchowny młodzieniec, który teraz z takim zapałem zabrał się do pracy na niwie Bożej. Rachel zdawała sobie sprawę, jakiego wielkiego samozaparcia było potrzeba, aby dobrowolnie brać na siebie taki krzyż i dlatego nie ulegało dla niej najmniejszej wątpliwości, że Rollin musiał się stać zgoła no-

wym człowiekiem, jeśli nie odwraca się od takiego obowiązku, ale spełnia go z całym zapalem i radością. Słuchała go milcząc, a gdy przestał mówić, chciała mu coś powiedzieć, lecz nie znajdowała odpowiednich słów dla powiedzenia mu tego, co odczuwała.

— Czy przypomina pan sobie, jak to ja panu niedawno temu zrobiłam zarzut, że nie ma pan żadnego celu życiowego?—zapytała wreszcie głosem cichym. — Chcę być sprawiedliwą i dlatego powiem panu, że podziwiam odwagę pańską, z jaką pan spełnia wzięte na siebie zobowiązanie. Oto ma pan teraz zadanie życiowe.

Rollin nie mógł ukryć swego wzruszenia. Oczy jego pałały radością, gdy spoglądając na ukochaną dziewczynę, mówił:

— Dziękuję pani za to słowo, panno Rachelo. — Na więcej atoli nie umiał się zdobyć.

Ale oczom Racheli nie uszła tajemnica serca młodego przyjaciela. Zaś samej sobie musiała się przyznać, że teraz spogląda na Rollina zgoła inaczej, niż jeszcze przed niewielu tygodniami. Myśl o tem, że miałyby się stać jego żoną nie była dla niej taką niemiłą, jak niedawno temu, ale przeciwnie zdawało się jej, że sam Bóg obdarza ją miłością takiego człowieka. Wnetże powstała w niej myśl, czy aby związek małżeński z Rollinem nie stałby się dla niej przeszkodą w naśladowaniu Chrystusa, ale natychmiast stało się jej jasnym, że nie potrzebuje obawiać się niczego z tej strony, bo przecie

pokochała Rollina dopiero wówczas, gdy spostrzegła, że stał się szczerym chrześcijaninem i że oboje mają tylko jedno pragnienie naśladowania Chrystusa.

Trudno byłoby opowiadać jak bardzo radował się Rollin. Na twarzy jego malowała się głęboka święta radość, ale jednocześnie baczył on pilnie, aby jego uczucia nie wyłamały się z karności Ducha świętego. To też jego namiętno rozbudzone nadzieje nie oddziaływały paraliżująco na rozpoczęte przez niego dzieło. Przeciwnie, starał się on pracować jeszcze usilniej niż dotychczas i cieszył się, że dzięki usilwaniom swoim niejednej duszy mógł wskazać drogę ku Bogu.

Plany Wirginji co do pracy w Rectangule były tak rozległe, że przed nadejściem zimy zaledwie drobna część ich mogła być została zrealizowana. Ale pomimo to można było widzieć ile dobrego zdziałać może jedyny człowiek wyposażony dobrą wolą i środkami pieniężnymi, gdy tylko odda się bez zastrzeżeń służbie Bożej.

Powiedział to sobie pastor Maxwell, gdy razu pewnego przybył do Rectangule i przyjrzał się rozpoczętym pracom. Lecz radości swojej nie odważył się wyrazić śmiało, gdyż powiedział sobie, że wszelka, choćby najrozleglejsza akcja ratunkowa okaże się znikomą, dopóki w biednej tej dzielnicy będzie tyle szynków i dopóki szynki te będą miały prawo krzewienia nędzy moralnej i fizycznej. Było mu niemal żal, że Wirginja i Rachela poświęciły swoje bo-

gacie środki pracy tak mało wdzięcznej, jak mu się zdawało, ale jednocześnie ufał, że Bóg nie opuści tej zaniedbanej dzielnicy i pobłogosławi dzieło zapału młodych kobiet. Wierzył on, że ostatecznie szatan alkoholu zostanie pokonany.

Do niedawna alkohol był jedyną wielką potęgą w mieście Raymond, lecz oto powoli potędze tej zaczęła przeciwstawiać się gromadka wiernych naśladowców Chrystusa, odnosząca się do swoich obowiązków z całym zapałem, na jaki człowiek zdobyć się może. Pastor Maxwell, który znajdował się w samym ognisku tych usiłowań, nie mógł ocenić skutków całego ruchu tak obiektywnie, jak ktoś, trzymający się zdala od niego.

Calvin Bruce, duchowny kościoła Nazaretańskiego w Chicago, bawiąc w odwiedzinach w mieście Raymond, napisał do swego przyjaciela, proboszcza Caxtona w Nowym Yorku takie słowa o całym ruchu:

„Drogi Przyjacielu.

„Pomimo późnej godziny nocnej odczuwam żywą potrzebę podzielenia się z tobą temi wrażeniami, jakich doznałem podczas pobytu w tem mieście. Jestem wprost oszołomiony.

„Zapewne przypominasz sobie naszego kolegę szkolnego, Henryka Maxwella, który już w rok po ukończeniu studjów otrzymał miejsce duchownego przy kościele głównym w mieście Raymond. Powiedziałem wtedy do swojej żony, że miasto Raymond zrobiło dobry wybór. Po jedenastoletniej duszpasterskiej działalności

tego człowieka mogę ówczesne swoje zdanie powtórzyć z całym naciskiem. Już od samego początku swej działalności był on bardzo ceniony jako kaznodzieja światły i wymowny. Do kościoła, którego Maxwell jest duchownym, należą najbogatsi i najwybitniejsi ludzie całego miasta. Jednem słowem może on być ze swego stanowiska zupełnie zadowolony.

„Nie zdarzyło się tu w gruncie rzeczy nic, co możnaby uważać za rzecz osobliwą. Przed jakimś rokiem wezwał Maxwell po nabożeństwie swoich zborowników, aby zgłaszali się ci z pośród nich, którzy w ciągu całego roku byłiby gotowi nie podejmować niczego bez uprzedniego zadania sobie pytania, co na ich miejscu uczyniłby Chrystus i aby postępowali w myśl tej zasady bez oglądania się na jakiegokolwiek skutki.

„Jak ci zapewne wiadomo, zgłosiła się znaczna liczba ludzi, którzy ślubowali, że będą postępowali w myśl tej zasady i z tego powstał potężny ruch, jakiego niema bodaj w dziejach całego współczesnego chrześcijaństwa. Rozmawiałem z Maxwellem bardzo szczegółowo o całym tym ruchu i wytworzyłem sobie o nim dosyć jasne zdanie. Zastanawiającem jest to, że do takiego stanowczego naśladowania Chrystusa poczuli się powołanymi najwybitniejsi ludzie miasta, jak na przykład Normann, wydawca „Wiadomości Codziennych“, o którego postępowaniu w ostatnich czasach mówiono bardzo wiele, Milton Wright, który zmienił zasadniczo podstawy prowadzenia swego wielkiego

handlu, aby uzgodnić go z tem, co zdaniem jego uczyniłby na jego miejscu Chrystus; Aleksander Powers, który tak energicznie wystąpił przeciwko towarzystwu kolejowemu, iż stracił miejsce korzystne; panna Page, bogata szanowana dziedziczka, która oddała część swego mienia dla poparcia „Wiadomości Codziennych”, a drugą część przeznaczyła na cele ratowania zaniedbanej ludności w Rectan-glu; Rachela Winslow, ulubiona śpiewaczka, która swoją karierę artystyczną poświęciła Chrystusowi i teraz głosem swoim służy sprawie budzenia dusz w najbardziej zaniedbanej dzielnicy miasta.

„Prócz tego do ruchu” wszczętego przez Maxwella przyłączyło się dużo młodych ludzi, którzy wiernie dotrzymują wziętych na się zobowiązań pomimo niezliczonych trudności, z jakimi spotykają się na każdym kroku. Prawie wszyscy, którzy przyłączyli się do tego ruchu, musieli znieść niejedną wielką przykrość i niejedną ofiarę. Jaki duch radosnej ofiarności panuje wśród tej małej gromadki, o tem mogłem przekonać się na zgromadzeniu po nabożeństwie, na które przez Maxwella zaproszony zostałem. Zapewniam cię, drogi przyjacielu, że w ciągu całej mojej duszpasterskiej działalności nic nie wzruszyło mnie tak do głębi, jak to zgromadzenie. Bezustannie musiałem myśleć o chrześcijanach pierwszego wieku. Nie byłbym nigdy uwierzył, że w czasach naszych możliwym jest rozbudzenie takiego ducha ofiarności i serdecznej ochoty wzajemnego po-

magania sobie. Takiego ruchu nie można wytłumaczyć sobie dobrą wolą kilkunastu ludzi, otrzymuje się bowiem niedwuznaczne wrażenie, że jest to dzieło Ducha świętego, działającego potężnie wśród tej niewielkiej gromadki ludzi. Szkoda, że nie słyszałeś kazania, wygłoszonego dzisiaj przez pastora Maxwella. Miałem lży w oczach i widziałem je w oczach innych ludzi. Za motto do kazania wziął sobie słowa Chrystusa: „Co tobie do tego? Ty pójdz za mną.” W słowach gorących wzywał on mieszkańców Raymondu do naśladowania Chrystusa bez oglądania się na kogokolwiek i na cokolwiek. Niestety, nie mogę ci nawet w streszczeniu podać treści tego kazania. Nie powiedziałbym, aby to kazanie było pod względem krasomówczym czemś osobliwym, ale kto słyszał natchnione słowa mówcy, ten nie mógł oprzeć się wrażeniu, że sam Bóg poddawał mu słowa. Od czasu jak Maxwell taki mocny nacisk kładzie na sprawę szczerzego naśladowania Chrystusa, zborownicy jego podzielili się niejako na dwa obozy. Jedni popierają swego duszpasterza z całej siły, inni natomiast uważają cały ten ruch za przesadny entuzjazm i starają się o to, aby Maxwell został pozbawiony swego stanowiska przy kościele głównym. O ile jednak zorientować się zdołałem, większość zboru stoi po stronie Maxwella.

„A teraz przechodzę wreszcie do tego, co głównie skłoniło mnie do pisania do ciebie tego listu. Oto na zgromadzeniu, o którym ci pisałem, uchwalono, aby starać się o nawiązanie

bliskich stosunków ze szczerymi naśladowcami Chrystusa w całym kraju.

„Gdy przed niewielu dniami byłem gościem Maxwella, omawialiśmy skutki, jakie ruch taki może wyrzucić na kościół i Maxwell zadał mi wtedy pytanie: Dlaczego w czasach naszych mielibyśmy oceniać naśladowanie Chrystusa inaczej, niż było ono oceniane w czasach jego życia na ziemi? Gdyby chrześcijanie przyjęli nasze zasady za swoje, to chrześcijaństwo stałoby się niebawem wielką potęgą, z którą musieliby liczyć się wszyscy. Pomyślmy tylko o wolności wyszynku wódek, a dojdziemy do wniosku, że takie stosunki nie mogą nadal panować w świecie chrześcijańskim. Gdyby chrześcijanie zrozumieli swoje obowiązki, to niebawem świat zmieniłby się do niepoznania.

„Chociaż nie godzę się z Maxwellem bezwzględnie, to jednak nie mogę nie przyznać mu racji, że cały nasz naród zmieniłby się zasadniczo, gdyby wszyscy chrześcijanie zespolicili się z sobą chcieli w naśladowaniu Chrystusa. Nie trzeba się obawiać różnic istniejących w nauce chrześcijańskiej. Gdyby zjednoczyła wszystkich szczerą chęć naśladowania Chrystusa, to byłoby to najpiękniejszym zjednoczeniem ludzi, jakie wyobrazić sobie można.

„Cała ta sprawa dała mi bardzo do myślenia i dochodzę do wniosku, że każdy szczerzy naśladowca Chrystusa powinien uczynić tę samą próbę, jaka została podjęta w Raymond. Ale powstaje pytanie, jak zachowałby się mój zbor w Chicago, gdybym mu zrobił taką samą

propozycję, jaką Maxwell zrobił swoim zborownikom w Raymond. Obawiam się, że co najwyżej jakiś tuzin ludzi wpływowych zdecydowałby się na taki krok poważny. A jakże jest pod tym względem w kościele twoim? Każdy duchowny, który własnymi oczami ogląda skutki zdecydowanego naśladowania Chrystusa zatrwoży się może na pierwsze wejrzenie, ale z drugiej strony nie może on pragnąć niczego bardziej jak właśnie takiego prawdziwego życia duchowego. Któryż duchowny nie chciałby, aby w jego parafii panowało życie pełne Ducha Bożego? Ale muszę zapytać samego siebie: Czy byłbym gotów wziąć na siebie takie zobowiązanie? Z uczuciem zawstydzenia muszę się sobie przyznać, że całe życie moje musiałoby stać się zgoła innym, gdybym szczerze pragnął kroczyć śladami Chrystusa, a przedewszystkiem cały mój stosunek do zboru musiałby ulegnąć gruntownej przemianie. Ogarnia mnie lęk przed taką decyzją i rozumiem zupełnie słowa Maxwella, które powiedział do mnie dzisiaj: „Przed rokiem stoczyłem z sobą najcięższą walkę, a toczyłem ją tak długo, aż wreszcie wyrzekłem się zupełnie samego siebie i zdałem się całkowicie na łaskę i miłosierdzie Zbawiciela.” Oto, drogi przyjacielu, otwieram ci dzisiaj serce swoje i dzielę się z tobą najtajniejszymi myślami, jakie mnie kiedykolwiek poruszały. Gdybym w najbliższą niedzielę odezwał się do swoich słuchaczy, że powinniśmy wiernie kroczyć śladami Zbawiciela, choćby kosztem największych ofiar i gdybym im zaproponował

czynienie tylko tego, co w danym wypadku uczyniłby Chrystus, to niewątpliwie spotkałbym się ze spojrzeciami wyrażającymi najwyższe zdumienie. Ale czyż takie wezwanie byłoby czemś nienaturalnem? Czyż nie powinniśmy być naśladowcami Chrystusa pod każdym względem? Cóż bowiem znaczy chodzić śladami Chrystusa?"

W tem miejscu swego listu proboszcz Bruce zamyslił się, odłożył pióro, wstał od stołu i w zadumie zaczął chodzić po pokoju. Najsprzeczniejsze uczucia nawiedzały jego serce i ścierały się z sobą. Było mu tak duszno i ciasno, że otworzył okno i zaczął się przyglądać gwiaźdzystemu niebu. Nagle do uszu jego doleciał głos starego stróża nocnego, śpiewającego pieśń:

Twoim śladem pójdę Panie,
Poprzez głogi, poprzez ciernie,
Tobie serce oddam swoje,
Tobie służyć będę wiernie.

Powoli odwrócił się duchowny od otwartego okna, osunął się na kolana i zaczął modlić się żarliwie, jak dotąd nigdy w życiu się nie modlił. Gdy wreszcie w godzinach przedrannych udał się na spoczynek, nie mógł zasnąć. Wczesnym rankiem był już ubrany i stał znowu przy oknie. Jego duszę poruszało pytanie: Co uczyniłby Jezus? Mamże pójść za nim wszędzie? Przypomniały mu się słowa pieśni, słyszane tyle razy:

Za mną! — powiada Chrystus Pan, —
Za mną, wyznawcy moi!...

W takim stanie duszy wybrał się pastor Bruce w drogę powrotną do Chicago, aby tam czynem i prawdą rozpocząć nowe życie, poświęcone szczeremu i wiernemu naśladowaniu Chrystusa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Przedpołudniowy koncert sobotni zapowiedziany w najwytworniejszej sali Chicago, skończył się właśnie i uczestnicy jego śpieszyli się jak zwykle, aby co rychlej dotrzeć do swoich powozów.

—Nr. 624! — zawołał jeden ze służących i natychmiast przed przysionek sali koncertowej zajechał wspaniały powóz zaprzężony w parę czarnych koni. Powóz zwracał na siebie uwagę swoją elegancją: na jego drzwiczkach jaśniał monogram złożony C. R. S.

Do powozu tego wsiadły dwie młode panienki. Woźnica ruszył natychmiast ulicą zabudowaną pysznymi domami bogaczy i po pewnym czasie wjechał na dziedziniec pałacu iście książęcego, zatrzymując się przed jego bramą. Był to pałac rodziców obu pańienek, zbudowany z szarego piaskowca.

Właściciel tego wspaniałego pałacu Charles R. Sterling stał przed kominkiem swego pokoju i palił cygaro. Zdobył on majątek na spekulacjach zbożowych i na obrotach akcjami kolejowymi. Mówiono sobie o nim, że posiada on co najmniej dwa miliony dolarów. Żona jego, która od niejakiego czasu chorzała, była siostrą pani Winslow mieszkającej w Raymond. Obie panienki, Róża i Felicja, były jedynymi córkami

państwa Sterling. Dwudziestojednoletnia Róża była damą wielkoświatową w całym znaczeniu słowa, a nawet można było rzec, że była damą zblazowaną, bowiem nic jej już nie zadawałoby i niczem nie było można dogodzić jej kaprysom. Jej dziewiętnastoletnia siostra Felicja wyglądem zewnętrznym przypominała Rachelę Winslow i podobnie jak Rachelę miała w sobie dużo zapału i pogody oraz serdecznego zainteresowania dla spraw Bożych. Dla ojca była ona zagadką, a dla matki stawała się niejednokrotnie źródłem udręki. Było w Felicji coś takiego, co ułatwiało jej dostosowanie się do każdej sytuacji życiowej, pod warunkiem atoli, że pozostawiono jej swobodę postępowania według jej przekonań religijnych.

— Oto list dla ciebie, Felicjo — rzekł pan Sterling, wyjmując z kieszeni podłużną kopertę. — Ciekaw jestem o czym pisze ci Rachelę — dodał po chwili, gdy popatrzył uważnie na córkę czytającą z zajęciem otrzymany list.

— Rachelę pisze mi, że Dr. Bruce bawił przez dwa tygodnie w Raymond i interesował się bardzo ruchem religijnym, jaki został zapoczątkowany w tamecznym kościele głównym — odpowiedziała Felicja.

— A cóż pisze o sobie? — zapytała Róża, która obłożwszy się mnóstwem poduszek, leżała na kanapie i odpoczywała po swoich trudach koncertowych.

— Jeszcze ciągle śpiewa w Rectangu — odparła Felicja.

— Muszę do niej napisać, aby przybyła do

nas w odwiedzinie — wtrącił pan Sterling. — Nie powinna ona marnować swego głosu dla ludzi, którzy nie mogą poznać się na nim. U nas poruszyłaby z pewnością całe miasto, gdyby chciała zaśpiewać choćby w naszej sali koncertowej.

— Rachelą nie przybędzie do nas z wszelką pewnością, jeśli nie będzie mocno przekonana, że może dochować wierności swemu zobowiązaniu — odpowiedziała Felicja z całą pewnością siebie.

— O jakim zobowiązaniu mówisz? — indagował pan Sterling i dodał natychmiast z wielkim pośpiechem: — Ach tak, przypominam to sobie. Osobliwa dziewczyna. Skutkiem tego zobowiązania doszło w roku ubiegłym do bardzo dziwnych wydarzeń w mieście Raymond. Byłoby swoją drogą bardzo interesującym dowiedzieć się co też sądzi o całej tej sprawie Dr. Bruce. Jak tylko nadarzy mi się sposobność, zapytam go o to.

— Jutro będzie miał kazanie — rzekła Felicja. — Być może, iż będzie mówił o swoich doświadczeniach i przeżyciach w Raymond.

Przez chwilę panowało milczenie. Nagle odezwała się Felicja z ożywieniem:

— Co też stałoby się, gdyby wezwał zborowników kościoła Nazaretańskiego do naśladowania miasta Raymond?

— No, tego obawiać się nie trzeba — odpowiedziała Róża i podniosła się z kanapy, gdyż właśnie dał się słyszeć dzwonek wzywający do stołu.

— Mojem zdaniem — rzekł pan Sterling — całą ten ruch w Raymond jest co najmniej mocną przesadą.

— O ile dobrze zrozumiałam list Racheli, to kościół w Raymond przedsięwzię kroki, aby i inne kościoły nakłonił do naśladowania Chrystusa w dosłownem znaczeniu — zauważyła Felicja. — Jeśli się to uda, to na świecie dojdzie do wielkiego przewrotu w życiu duchownem.

— Dajmy spokój filozofji i chodźmy się raczej pożywić — rzekła Róża i poszła w kierunku pokoju stołowego. Wszystko troje udali się do jadalni i zasiedli przy stole. Pani Sterling z powodu cierpienia jadła od niejakiemu czasu w swoim własnym pokoju. Pan Sterling był jakiś zamysłony i roztargniony, jadł niewiele i wstał niebawem od stołu, tłumacząc się tem, że ma jeszcze do załatwienia jakieś ważne interesa.

Wieczorem Felicja udała się do pokoju matki, aby się zapytać, czy nie potrzebuje czego, a potem razem z Różą w towarzystwie starszej znajomej damy poszła do teatru niejako dla zrobienia przyjemności siostrze, gdyż sama za teatrem nie przepadała i wogóle nie lubiła takich rozrywek.

Sztuka, którą grano tego wieczoru, przedstawiała w sposób wysoce realistyczny nędzę biedoty londyńskiej na tle przepychu klas bogatych, mogących rozrzucić pieniądze pełnemi garściami. Jakkolwiek większość widzów spoglądała na ponure obrazy życia okiem obojęt-

nem, to jednak na Felicji obrazy te wywarły wrażenie potężne. Myśli, jakie zbudziły się w niej w teatrze, niepokoiły ją bardzo długo.

Ledwie że siostry powróciły do domu, gdy pani Sterling kazała zawołać do siebie swoją młodszą córkę. Felicja pobiegła natychmiast do matki, aby zapytać co sobie od niej życzy. Ale matka nie czekała na pytanie córki i jak tylko służąca wyszła z pokoju, zapylała:

— Czy umiesz modlić się, Felicjo?

— Tak, mamusiu, umiem. Dlaczego pytasz o to?

— Ogromnie martwię się o twego ojca — odpowiedziała matka. — Przez cały dzień dzisiejszy męczą mnie jakieś złe przecucia. Wierz mi, dziecko kochane, że coś z nim nie jest w porządku. Musimy modlić się za nim.

— Czy chcesz, mamusiu, abym modliła się zaraz? I tutaj? — zawahała się Felicja.

— Tak, Felicjo, módl się za ojcem — rzekła pani Sterling. Dotychczas matka nie okazywała tej córce swojej zbyt wiele zainteresowania i miłości, a jej prośba o modlitwę była niejako pierwszym dowodem zaufania matki do córki.

Felicja uklękła przy łożu matki, ujęła ją za rękę i po raz pierwszy modliła się głośno w jej obecności. Śnać sam Bóg natchnął córkę właściwymi słowami, gdyż po skończonej modlitwie matka płakała wprawdzie zcicha, ale jej niepokój nerwowy rozwiął się jak mgła. Felicja posiedziała jeszcze przez chwilę u matki i dopiero gdy widziała, że matka chce pozostać

sama, życzyła jej dobrej nocy, aby się oddalić.

— Nie pocałujesz mnie, moje dziecko? — rzekła pani Sterling głosem miękkim.

Córka pochyliła się nad chorą matką i ucałowała ją tkliwie. Gdy opuściła pokój matki, do oczu rzuciły się jej łzy.

Przedpołudnia niedzielne były zazwyczaj bardzo ciche w domu państwa Sterling. Dziewczęta chodziły zwykle na nabożeństwo przedpołudniowe, a ojciec towarzyszył im. Tej niedzieli jednak kazał powiedzieć córkom, że czuje się nieosobliwie i że nie wyjdzie z domu. Róża i Felicja udały się tedy na nabożeństwo same.

Gdy Dr. Bruce wyszedł z zakrystji i wszedł na kazalnicę, przyjaciele jego nie zauważyli na nim nic osobliwego. Nabożeństwo odbywało się naogół tak samo, jak każdej innej niedzieli. Dopiero modlitwa duchownego zwróciła na siebie uwagę zborowników. Wszyscy uczestnicy nabożeństwa zdawali sobie sprawę z tego, że w ciągu całych lat dwunastu czynności duchownego w kościele Nazaretańskim nie słyszano nigdy takiej modlitwy. Nikt nie przypuszczał, że Dr. Calvin Bruce, czcigodny, wykształcony i wytworny doktor teologii, przez długi szereg dni prosił Boga jak bezradne dziecko, aby Bóg dał mu potrzebne siły i odwagę do wykonania tego, czego domagało się od niego jego sumienie. Nikt nie przeczuwał jakie walki toczyły się w jego duszy i dopiero ta modlitwa duchownego, jakiej dotąd nikt w tym kościele nie słyszał, uchyliła do pewnego stopnia rąbek ta-

jemnicy jego duszy, tak iż słuchacze jego zaczęli przyglądać się mu uważniej.

Po modlitwie zapanowała taka cisza w kościele, iż zdawało się, że słysząc wiew Ducha świętego, którego działaniu nie zdołali się oprzeć nawet najlekko myślniejsi uczestnicy nabożeństwa. Felicja, której serce wrażliwe chętnie poddawało się oddziaływaniu Ducha Bózego, zadrżała pod wpływem świętego nastroju wywołanego serdeczną, żarliwą modlitwą duchownego, a gdy wreszcie odważyła się wznieść oczy ku niemu, w rysach jej twarzy malowało się napięcie wyczekiwania.

Nietylko wszakże ona sama, ale i wielu innych uczestników nabożeństwa doznawało mocnego poruszenia serca podczas modlitwy duchownego. Felicja nie mogła się doczekać pierwszych słów kaznodziei i z całej duszy pragnęła usłyszeć o tych przeżyciach i wrażeniach, jakich duchowny doznał podczas swego pobytu w mieście Raymond. Wierzyła ona, że Bóg pobłogosławi jego słowom i zbudzi wśród zborowników wielu takich, którzy pójdą za Chrystusem.

Po krótkiej pauzie, jaka nastąpiła po modlitwie, pastor Bruce zaczął słowy prostemi mówić o tem, czego doznał w mieście Raymond. Większość jego zborowników słyszała już była o tym potężnym ruchu religijnym, jaki powstał i rozwijał się w głównym kościele wielkiego miasta fabrycznego. Cały kraj zwracał oczy w stronę tego miasta, nie przestając interesować się skutkami dobrowolnego zobowią-

zania gromadki wiernych, którzy postanowili iść wiernie śladami Chrystusa. Ruch ten nie miał się ograniczyć do jednego tylko miasta, bo Maxwell zdawał sobie sprawę z tego, że spotężnieje on ogromnie, gdy wierna jego gromadka nawiąże bliższe stosunki z ludźmi o podobnych przekonaniach, mieszkającymi w innych miastach. W wielu kościołach budziło się już pragnienie wierniejszego niż dotąd naśladowania Chrystusa. Członkowie związku młodzieży przyłączyli się do tego ruchu religijnego i za ich pośrednictwem wielka fala przebudzenia życia religijnego szła po całym kraju. Pytanie: Co uczyniłby Jezus? — było już nie tylko na ustach, ale i w sercach wielu i nie dawało sumieniom spokoju.

To wszystko było mniej więcej znanem szerszemu ogółowi, ale teraz mówił o tem poważny duchowny, a mówił z takim żarem i z takim przejęciem, że nikt nie dziwił się, gdy wreszcie zwrócił się do swoich słuchaczy ze słowami:

— Drodzy przyjaciele, chciałbym wezwać was do złożenia podobnych ślubów, jakie złożyli liczni członkowie kościoła w Raymond. Wiem dobrze, że wzięcie na siebie takiego zobowiązania musi mieć dla każdego następstwa bardzo doniosłe, bo wymaga ono przemiany całego życia. Dla niejednego wzięcie na siebie takiego krzyża oznacza utratę stanowiska społecznego, dla innego jest równoznacznem z wielkimi stratami materialnymi, a dla każdego bez wyjątku jest to wyrzeczenie się starych przyzwyczajzeń, które stały się niejako

drugą naturą. Jednym słowem takie zobowiązanie niesie z sobą cierpienia różnorakie, prześladowania, straty, zgryzoty, zupełnie takie same, jakie musieli znosić pierwsi chrześcijanie. Ale czyż mamy się tak dalece różnić od pierwszych chrześcijan, że naśladowanie Chrystusa uważalibyśmy jedynie o tyle za możliwe, o ile nie powoduje ono dla nas żadnych wyrzeczeń? Ślubowanie, że zawsze i wszędzie czynić będziemy tylko to, co uczyniłby Jezus na naszym miejscu, oznacza tylko tyle, że chcemy wiernie naśladować przykładu danego nam przez Zbawiciela naszego.

Podczas krótkiej pauzy, jaka nastąpiła po tych słowach duchownego w całym kościele zapanowało żywe poruszenie, które świadczyło dobitnie o tem mocnem wrażeniu, jakie słowa kaznodziei wywołały w słuchaczach. Gdy Dr. Bruce wezwał tych, którzy byli gotowi czynić tak, jak czyniłby Jezus, aby po nabożeństwie zebrałi się w zakrystji dla omówienia tej sprawy, przystąpił odrazu do kazania. Za tekst do tego kazania wziął owej niedzieli słowa z ewangelji Mateusza, rozdział 8, werset 19: „Mistrzu, pójdę za tobą, gdziekolwiek pójdziesz.”

W kazaniu swoim Dr. Bruce zastanawiał się nad samemiż podstawami życia i mówił słuchaczom o tem, jakie są obecnie jego poglądy na sprawę szczerego naśladowania Chrystusa. Cofnął się on w czasy pierwotnego chrześcijaństwa i głosem wnikliwym wzywał słuchaczy, aby pomyśleli o istotnym celu i zadaniach

chrześcijaństwa. Jednym słowem było to kazanie, jakie duchowny może wygłosić tylko jeden raz w życiu i które w pamięci jego słuchaczy pozostaje na zawsze.

Po skończonem nabożeństwie zapanowała w kościele uroczysta cisza, która trwała dość długo, dopóki tu i owdzie nie zaczęli powstawać uczestnicy nabożeństwa, aby wyjść z kościoła lub też udać się do zakrystji. Miało się wrażenie, że w gruncie rzeczy ludzie ci nie wiedzą dobrze co mają czynić.

Pierwsza powstała Róża i z głową wzniesioną ruszyła ku wyjściu kościoła, dając znak Felicji, aby poszła razem z nią.

— Ja pozostaję — odpowiedziała Felicja głosem cichym, ale stanowczym i Róża wiedziała, że siostra jej nie ustąpi. Pomimo to podeszła do Felicji i rzekła do niej szeptem: — Cóż ty sobie myślisz, moja kochana? Czy chcesz ośmieszyć całą rodzinę? Pomyśl sobie tylko, co powie ojciec i zabieraj się do domu.

Felicja nie odpowiedziała odrazu. Była zbyt wzruszona, aby mogła mówić. Wreszcie odzyskała spokój i powiedziała cicho i spokojnie:

— Nie pójdę, ale pozostanę, aby złożyć ślubowanie i gotowa jestem odpowiedzieć za następstwa swego kroku. Ty nie wiesz dlaczego ja tak postępuję.

Róża spojrzała na nią okiem pełnem gniewu i wyniośle ruszyła ku wyjściu kościoła, nie oglądając się już na siostrę. Przed kościołem spotkała ją pewna znajoma, która zapytała:

— Pani nie przyłączy się do tych, którzy pójdą za wezwaniem duchownego?

— Nie przyłączę się — odpowiedziała Róża. — A pani? Mnie wydaje się cała ta sprawa bardzo prostaczą i tchnie fanatyzmem. Jak pani wie, o całym tym ruchu informowała nas bezustannie nasza kuzynka Rachel.

— O ile słyszałam, to ślubowanie takie ma mnóstwo przykrości dla tych, którzy się mu poddają — odpowiedziała znajoma Róży, pani Delane. — Mnie się zdaje, że przez wezwanie swoje Dr. Bruce wrzucił do naszego kościoła kamień obrażenia, który wniesie do życia kościelnego dużo niepokoju. Przecież pani sobie moje słowa. Przecież istnieje wielkie mnóstwo ludzi, którzy takiego ślubowania dotrzymać nie mogą w żaden sposób. Do takich należą i ja.

— Gdzież jest Felicja? — zapytał pan Sterling, gdy Róża powróciła z kościoła.

— Pozostała na jakimś zgromadzeniu dodatkowym — odpowiedziała Róża krótko i chciała wyjść do swego pokoju, aby się przebrać.

— Na jakim zgromadzeniu? — nastawał ojciec.

— Dr. Bruce wezwał zborowników, aby złożyli takie same przyrzeczenia, jak zborownicy kościoła głównego w Raymond.

— Tego nie byłbym się spodziewał po naszym duchownym — powiedział pan Sterling jakby zaskoczony wiadomością. — Czy wielu członków kościoła poszło za jego wezwaniem?

— Tego nie wiem — odparła Róża. — Ja w każdym razie nie pójdę za tem wezwaniem. — Z temi słowy wyszła, podczas gdy jej ojciec chodził wzburzony po pokoju.

— Czy dużo ludzi poszło za wezwaniem D-ra Bruce? — zapytał Felicję, gdy ta powróciła do domu.

— Około stu osób — brzmiała odpowiedź.

— A ty? Chcesz naprawdę trzymać się takiego zobowiązania? — nastawał ojciec.

Felicja zarumieniła się i odpowiedziała z wielką powagą:

— Nie pytałbyś mnie o to, mój ojczu, gdybyś był uczestniczył w zebraniu, jakie odbyło się po nabożeństwie. — Po tych słowach szybko opuściła pokój i udała się do pokoju matki.

Nikt nie wie, o czym rozmawiała w owej chwili matka z córką. Zapewne opowiadała Felicja matce swojej o przebudzeniu się serc pod wpływem Ducha Bożego, którego obecność odczuwali wszyscy, którzy po nabożeństwie pozostali w zakrystji dla wzięcia na siebie krzyża Chrystusowego. Z pewnością nie byłaby tego uczyniła, gdyby matka dnia poprzedniego nie była wezwała córki do modlitwy. Owego wieczoru niedzielnego Felicja klęczała długo i modliła się żarliwie, a gdy powstała z klęczek rysy jej zdradzały wyraźnie, że najważniejszą sprawę swego życia rozstrzygnęła ostatecznie w cichej rozmowie z Bogiem.

Mniej więcej w tym samym czasie w gabi-

necie D-ra Bruce siedział biskup*) miasta Chicago i prowadził z duchownym kościoła Nazaretańskiego poważną rozmowę.

— Mój drogi przyjacielu, uczyniłeś dzisiaj bardzo poważny krok — rzekł między innymi biskup do swego kolegi szkolnego. — Dowiedziałem się o tem dzisiaj po południu i oto przychodzę, aby z tobą porozmawiać o tem wszystkim.

— Cieszę się, że przybywasz do mnie, Edwardzie, — odpowiedział Bruce. — O ile sobie przypominam, to zawsze rozumieliśmy się z sobą bardzo dobrze i chociaż pod niejednym względem różnimy się w poglądach, to jednak byliśmy zawsze ściśle zespoleni braterstwem w Chrystusie.

— Chwała Bogu, że tak jest — zawołał Dr. Bruce wzruszony. — Zawsze odczuwałem to jako dar Boży, że rozumiemy się z sobą tak dobrze. Przyjaźń twoją ceniłem zawsze ponad wszystko, chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że jej nie zasługuję tak, jakbym pragnął.

Biskup spoglądał na przyjaciela okiem pełnem serdecznej życzliwości, ale w spojrzeniu tem było coś takiego, co pastorowi Bruce dawało do myślenia. Jakże cudowną byłoby rzeczą, gdyby biskup przyłączył się do tego potężnego ruchu i złożył ślubowanie bezwzględne go naśladowania Chrystusa! Jakże pogłębiłaby

się ich przyjaźń, trwająca już od tylu lat! Jak dobrze byłoby iść ręką w rękę z miłym przyjacielem śladami Chrystusa!

Już chciał zwrócić się do przyjaciela z zapytaniem w tej sprawie, gdy wtem dał się słyszeć głośny dzwonek u wejścia do mieszkania i niebawem do gabinetu pastora Bruce wpadła jego żona wołając:

— O, mój drogi, wyobraź sobie, że w tej chwili pan Sterling odebrał sobie życie i pani Sterlingowa wzywa cię, abys przybył do niej natychmiast.

*) W Ameryce istnieją kościoły protestanckie episkopalne, podobne do episkopalnego kościoła w Anglii. Kościoły te mają biskupów. Przypis tłumacza.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Pan Sterling udał się owego wieczoru około godziny dziesiątej do swego pokoju i nikt go już potem nie widział. W pół godziny później rozległ się huk wystrzału i służący, który pobiegł natychmiast do pokoju swego pana, znalazł go w kałuży krwi na podłodze. Samobójstwo było niewątpliwe. Felicja znajdowała się w owej okropnej chwili u matki, a Róża siedziała w bibliotece i czytała. Na odgłos strzału pobiegła do pokoju ojca i rzuciwszy okiem na to, co się właśnie stało, poleciała jak wicher do matki i w pokoju jej upadła nieprzytomna. Pani Sterlingowa omdlała, ale odzyskała przytomność dziwnie szybko i posłała natychmiast po pastora Bruce prosząc go, aby ją zaraz odwiedził. Potem zażądała, aby ją zaprowadzono do pokoju męża i pomimo próśb córek, aby tego nie czyniła, udała się na miejsce wypadku, aby popatrzeć na zwłoki męża nie uroniwszy ani jednej łzy, a potem poprosiła córkę, aby odprowadziła ją do łóżka. Dopiero gdy znalazła się w swoim pokoju ogarnęła ją taka niemoc, że omdlała ponownie i po krótkiej chwili skończyła właśnie w chwili, gdy do pokoju wchodził Dr. Bruce.

Tej więc niedzieli wieczorem do pałacu, który był przybytkiem przepychu, wtargnęła śmierć i porwała dwie ofiary. Co skłoniło

Sterlinga do samobójstwa, to okazało się w całej pełni dopiero wówczas, gdy zapoznano się dokładnie ze stanem jego interesów. Skutkiem nieszczęśliwych spekulacji człowiek ten, uchodzący ciągle za bogatego, znajdował się w przededniu bankructwa. Używał on rozpaczliwych wybiegów, aby oddalić chwilę katastrofy, ale w godzinach popołudniowych owej niedzieli otrzymał wiadomości, z których wynikało, że dalej nie zdoła utaić istotnego stanu rzeczy. Gdy stało mu się jasnym, że ze wszystkiego, co niedawno stanowiło jego bogactwo, nic już do niego nie należy, ale że jest żebrakiem, nie widział żadnego wyjścia dla siebie jak odebranie sobie życia. Mamma była jego bożyszczem i gdy bożyszczce to odwróciło się od niego, życie straciło dlań wartość i ów bogaty milioner, któremu tak wielu zazdrościło, umarł śmiercią głupca, który widział tylko bogactwo i dostatek, ale nie widział nieśmiertelnej duszy swojej.

Potężny wstrząs pozbawił życia jego żonę. Już od szeregu lat mąż jej nie wtajemniczał ją wcale w swoje interesa, ale ona zdawała sobie dokładnie sprawę z tego, że źródła jego dochodów nie są bynajmniej pewne i nie mogą być uważane za nienaganne. Cierpiała skutkiem tego i to pogarszało bezustannie stan jej zdrowia. Znała ona doskonale słowo Pisma świętego powiadające: „Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat zyskał, a na duszy swej szkodził?”

Stratę ojca, matki i mienia odczuły obie

siostry w sposób zgoła różny. Róża była w ciągu całych tygodni jakby ogłuszona i przede wszystkim nie mogła pojąć, że oto jej sytuacja majątkowa uległa takiej zasadniczej i fatalnej przemianie. Felicja natomiast zdawała sobie dokładnie sprawę ze wszystkiego, co się zdarzyło i spokojnie zastanawiała się nad przyszłością, rozmawiając o niej z Rachelą i jej matką, które przyjechały na pogrzeb.

— Ty i Róża musicie przybyć do nas, do Raymond. Matka nie pozostawi was w tem waszem osamotnieniu — rzekła Rachelą do Felicji, którą ostatnimi czasy pokochała serdecznie za to, że młoda ta dziewczyna miała szlachetną odwagę poddania się ciężkiemu zobowiązaniu wiernego naśladowania Chrystusa. W kuzynce swej widziała już nietylko krewniaczkę, ale duszę bliską sobie i drogą.

Po długim rozstrząsaniu sprawy zgodziła się Felicja na to, że skorzysta gościnnie z ciotki i razem z Różą uda się do niej. Róża nie mogła się pogodzić ze zmienioną sytuacją i kaprysami swojemi dokuczwała niemało zarówno kuzynce jak i siostrze.

Felicja czuła się w towarzystwie ludzi pokrewnych duchowo całkiem dobrze i po przybyciu do miasta Raymond zbliżyła się z Rachelą jak najserdeczniej. Odrazu zabrała się do pracy ratowniczej w dzielnicy Rectanglu. Ożywiona nowym duchem pośpieszyła pomagać ciotce swojej przy pracy około gospodarstwa domowego i okazała się taką dzielną pracownicą, że po niej jakim czasie Wirginja zapropono-

wała jej kierownictwo szkoły gospodarstwa domowego, założonej przez nią w Rectanglu.

Felicja nie kazała sobie tego dwa razy powtarzać i niebawem pozyskała sobie serca licznych dziewcząt i kobiet, które uczyła gotować i wykonywać różne prace domowe. Jej charakter chrześcijański rozwijał się coraz pełniej na podstawie przysięgi złożonej w kościele Nazaretańskim w Chicago, a każdy jej czyn i każdy krok był jakby żywą odpowiedzią na pytanie: Co uczyniłby Jezus na mojem miejscu?

Minęły trzy miesiące od owej pamiętnej niedzieli, w której Dr. Bruce wezwał swoich zbiorowników do złożenia przysięgi naśladowania Chrystusa i oto spostrzegł ku swej wielkiej radości, że na to jego wezwanie ludzie odpowiedzieli daleko chętniej, niż byłby się spodziewał. Ale aczkolwiek duchowny był z całej duszy wdzięczny Bogu za to, co pozwolił mu osiągnąć, to jednak nie był on zadowolony z samego siebie. Jakiego rodzaju było to niezadowolnienie, to widać najlepiej z rozmowy, jaką dnia pewnego prowadził z biskupem. Obaj przyjaciele siedzieli w gabinecie D-ra Bruce, jak im się to często zdarzało, gdy biskup zaczął mówić:

— Czy wiesz, drogi przyjacielu, że dzisiaj przybywam do ciebie, aby ci uczynić pewne wyznanie? Ślubowania swego, że kroczyć będę śladami Chrystusa nie wypełniłem dotychczas tak, jak się tego domaga ode mnie moje sumienie.

Z rękoma złożonemi siedział on w fotelu naprzeciwko przyjaciela i patrzył mu prosto

w oczy. W spojrzeniu jego był wyraz stanowczości.

— Drogi Edwardzie — przerwał mu Dr. Bruce — i ja nie jestem zadowolony ze sposobu, w jaki spełniam swoje zobowiązanie. Ale wiem już co zrobić. Postanowiłem ustąpić ze stanowiska duchownego przy kościele Nazaretańskim.

— Myślałem już o tem, że do tego dojść musi — odparł biskup tonem spokojnym. — Przychodzę właśnie do ciebie, aby powiedzieć ci, że i ja powziąłem takie same postanowienie.

Dr. Bruce powstał i zbliżył się do przyjaciela. Obaj byli bardzo wzruszeni.

— Czy w twoim wypadku krok taki jest istotnie konieczny? — zapytał.

— Tak jest — odpowiedział biskup. — Zraz powiem ci dlaczego. Jak wiesz, spełniałem swoje obowiązki w przeciągu wielu lat tak sumiennie, jak tylko mogłem, ale przy pracy swojej i przy różnych troskach miałem życie dość spokojne i dostatnie, że nie powiem wykwiłtne. Wszystkiego miałem zawsze poddostatkiem, mogłem pozwolić sobie na niejedną podróż dla przyjemności, cieszyłem się rozkoszami, jakich dostarcza sztuka i wogóle nie potrzebowałem sobie niczego odmawiać. Lecz oto w ostatnich czasach zaczęło coraz częściej powracać pytanie: Co uczyniłem dla Chrystusa? Czego wyrzekłem się dla niego? Na przykładzie apostoła Pawła widzimy, jak wiele musiał on cierpieć dla Chrystusa i zdaje mi się, że pastor Maxwell zupełnie słusznie zaznacza, że chodzić śladem

Chrystusa znaczy tyle, co brać na siebie krzyż Chrystusowy i wyrzekać się samego siebie. A czegoż to ja wyrzekłem się dla Chrystusa? Te drobne przykrości i troski, jakie przynosiło mi z sobą powołanie moje, nie mogą być uważane za cierpienie. W porównaniu z apostołem Pawłem, z którym z męczenników lub wogóle z pierwszymi chrześcijanami życie moje było pełne dobrobytu, a nawet przepychu. Życia takiego nie mógłbym prowadzić dalej, bowiem przeciwko takiemu naśladowaniu Chrystusa coś się we mnie buntuje. Czuję dobrze, że takie życie chrześcijanina nie jest bynajmniej tem, co zasługiwałoby na nazwę naśladowania wzoru Chrystusa. Przy naszych obecnych stosunkach kościelnych i społecznych pozbędę się wyrzutów sumienia jedynie wtedy, gdy zacznę pracować dla dobra najbiedniejszych i najbardziej upośledzonych mieszkańców tego miasta.

Przy tych słowach biskup powstał i podszedł ku oknu. Ulica była oświetlona bardzo jasno, tak iż było dobrze widać tłumy ludzi snujących się po niej. Na widok tych tłumów biskup odwrócił się od okna i podchodząc do przyjaciela, mówił głosem drgającym ze wzruszenia:

— Ach, przyjacielu miły, co to za okropne miasto, w którym mieszkamy! Wszędzie, gdziekolwiek spojrzemy, spotykamy się ze współczesnym pogaństwem. Pomyśl tylko o tych biednych dziewczętach, które służą po restauracjach i sklepach, o tym straszliwym egoizmie, który panuje w kołach ludzi bogatych i o tej

bezprzykładnej nędzy, jaka jest udziałem ludzi biednych i upośledzonych. Pomyśl o tej okropnej klęsce alkoholizmu, która dziesiątkuje ludność, o wstrętnych scenach jakie rozgrywają się w spelunkach nocnych, o nienawiści przeciwko kościołowi tych wszystkich ludzi, którzy w kościele nie widzą nic prócz wspaniałych budowli i dzieł sztuki, a w duchownym człowieka o uprzywilejowanym stanowisku. Im bardziej porównywał swoje wygodne i beztrudne życie z życiem setek tysięcy ludzi biednych i pozbawionych wszystkiego, tem żywiej oskarża mnie sumienie i nieraz zdaje mi się, że słyszę słowo Chrystusa powiadającego: „Coście najmniejszemu z pośród was czynili, mnieście czynili.” Ale cóż ja takiego uczyniłem dla najmniejszych z pośród braci moich? Czy odwiedziłem kiedykolwiek jakiego więźnia, czy osobiście sprowadziłem zbłąkanego na drogę cnoty, czy jakiemu zubożonemu bratu dopomogłem w jego wielkiej niedoli, wyrzekając się czegoś dla niego? Czyż wszystkie siły swoje i swój czas nie poświęcałem raczej ludziom bogatym i oświeconym tego ogromnego miasta? Cóż ucierpiałem dotychczas dla Chrystusa na swoim wysockim i przyjemnym stanowisku?

Dr. Bruce słuchając tych słów bladł coraz bardziej. Nigdy jeszcze nie widział biskupa w takim stanie wzburzenia. W pokoju zapanała nagle cisza. Biskup usiadł i pochyliwszy głowę zagłębił się w rozmyślaniach. Po pewnej chwili pastor Bruce przerwał milczenie i zaczął mówić:

— Drogi Edwardzie, mogę cię zapewnić, że mówiąc o sobie, dałeś jednocześnie wyraz moim własnym uczuciom. Znajduję się w położeniu mniej więcej podobnem do twego. I moje życie dotychczasowe było życiem dostatniem i wykwiśniętem. Naturalnie, że tu i owdzie spotykałem się na mojem stanowisku z przykrościami i zgryzotami, ale dla Chrystusa nie ucierpiałem nigdy tak, jak cierpieli ci dawni chrześcijanie, w których widzimy przykład do naśladowania. Nieraz prześladowają mnie wprost słowa z listu apostoła Piotra: „Chrystus cierpiał za was, zostawiwszy **wam przykład**, abyście chodzili jego śladami”. Tak samo jak ty, tak i ja nie odmówiłem sobie nigdy niczego dla moich cierpiących braci. Grzech i nędza tego miasta uderzały w kamienne mury mego kościoła niby fale wielkiego morza, ale ja nie zwracałem na to osobliwej uwagi. Lecz oto doszedłem do takiego stanu duszy, w którym nie zniósłbym już życia, jakie prowadziłem dotychczas. Oczywiście, daleki jestem od tego, abym miał czynić zarzuty kościołowi... Nie, nie, kościół kocham i nie myślę o tem, abym go miał porzucić. Jestem przekonany, że kościół otrzymał od Boga pewne posłannictwo i żadna myśl nie jest mi bardziej obca od tej, abym mu miał w jakikolwiek sposób przeszkadzać. Podobnie uważałbym za niesprawiedliwy zarzut, że chcę zerwać łączność ze swoimi braćmi i siostrami i że dlatego składam swój urząd. Stanowisko swoje opuszczam jedynie dlatego, abym uspokoił swoje sumienie, że czynię co jest w mojej mocy,

bym mógł naśladować Chrystusa o ile to jest w mojej mocy. Nie myślę przy tem bynajmniej o jakiegokolwiek krytyce innych duchownych i robienia im zarzutu z tego, w jaki sposób oni pojmują naśladowanie Chrystusa. Ale podobnie jak ty, odczuwam żywą potrzebę bezpośredniego zetknięcia się z niedolą i cierpieniem tego miasta, aby pomagać wszystkim, którzy pomocy potrzebują. Pragnąc uczynić zadość tej potrzebie duszy swojej muszę opuścić stanowisko dotychczas zajmowane. Nie widzę prosto możności naśladowania Chrystusa w sposób inny.

Gdy Dr. Bruce zamilkł, w pokoju ponownie zapanowało milczenie. Obaj mężowie zdawali sobie dokładnie sprawę z trudności swego położenia i nie lekceważyli ich bynajmniej.

— Cóż zamierzasz uczynić? — zapytał biskup z miłym uśmiechem, który szlachetne rysy jego uduchowionej twarzy czynił jeszcze piękniejszymi.

— Postanowiłem osiąść wśród najuboższej ludności miasta — odpowiedział Dr. Bruce. — Moja żona godzi się ze mną najzupełniej i oboje postanowiliśmy osiedlić się w tej części miasta, w której będziemy mogli stykać się osobiście z najuboższą i najbardziej upośledzoną ludnością.

— Powiem ci, gdzie powinieneś się osiedlić — powiedział biskup i z wielkim zapałem zaczął mówić przyjacielowi o planach tak rozległych i sięgających tak daleko, że chociaż Dr. Bruce był człowiekiem bardzo doświadczo-

nym, musiał jednak podziwiać zdolność orientacji i przewidywania biskupa.

Obaj przyjaciele siedzieli rozmawiając do późnej nocy, a rozmowa pochłaniała ich tak bardzo i napełniała ich taką serdeczną radością, jak gdyby omawiali plan jakiejś wycieczki dla przyjemności lub odpoczynku. Biskup mawiał później niejednokrotnie, że wtedy przy omawianiu planów na przyszłość było mu tak dobrze i miło, jak gdyby z duszy swojej zrzucał ciężkie i nieznośne brzemie. Myśl o naśladowaniu Chrystusa nie słowem, ale czynem, napełniała go niewymowną radością. Takich samych uczuć doznawał Dr. Bruce.

Plan omawiany przez obu duchownych polegał na tem, że miano wydzierżawić wielki gmach, który był dotychczas składem towarów, a znajdował się w najbardziej okrzyczanej dzielnicy Chicago. W gmachu tym miano urządzić mieszkanie dla D-ra Bruce i jego rodziny, a jednocześnie miały być w nim urządzone pomieszczenia, które służyłyby dziełu ratowania ludzi upadłych i zaniedbanych. Biskup posiadał majątek osobisty, a także Dr. Bruce zdołał porobić znaczne oszczędności. Posiadane pieniądze postanowili obaj przyjaciele oddać na rzecz planowanej przez siebie pracy wśród ubogich i nieszczęśliwych.

Tymczasem w kościele Nazaretańskim działy się rzeczy tak radosne, jakich nikt nie byłby się spodziewał. Proste wezwanie D-ra Bruce, skierowane do jego zborowników, aby czynili to jedynie, co w danym wypadku uczyniłby

Chrystus, wywołało potężny ruch wzrastający z dnia na dzień i w kościele tym działa się to samo, co w kościele głównym w Raymond. Różnica polegała jedynie na tem, że do kościoła Nazaretańskiego należało daleko więcej ludzi bogatych i wybitnych, niż do kościoła raymondzkiego. To też ogromne zapanowało poruszenie wśród członków kościoła, gdy Dr. Bruce pewnej niedzieli wiosennej po nabożeństwie oświadczył, że składa swój urząd duchownego. Jeszcze bardziej zdumiewali się wszyscy, gdy niebawem po tem rozeszła się wieść, że i biskup zrzeka się swego wysokiego stanowiska, na którym trwał przez tyle lat i że podobnie jak Dr. Bruce osiada w najbardziej osławionej dzielnicy miasta.

Pewnemu przyjacielowi, który ze łzami w oczach starał się odwieść biskupa od jego zamiaru, odpowiedział on:

— Dlaczego wydaje się wam takim dziwnem i niezwykłym to, co czynimy ja i Dr. Bruce? Czyż jest w tem coś tak niesłychanego, że biskup i Dr. teologii zamierzają iść między zaniedbany lud, aby pozyskiwać dusze dla Boga? Gdybyśmy się wyrzekli swoich stanowisk dla udania się do Chin albo Indji, lub gdybyśmy się udali między pogan Afryki, to cały świat podziwiałby naszą odwagę. Dlaczegoż miałyby w tem być coś tak osobliwego, iż poczuwamy się do obowiązku nawracania i ratowania pogan naszego miasta? Przecież nie można uważać tego za takie wyjątkowe wydarzenie, iż dwaj głosiciele ewangelji pragną zamieszkać

śród ludzi najuboższych i najbardziej zaniedbanych, aby poznać ich potrzeby i niedole i dopomagać im w miarę możności. Nikt chyba nie dopatrzy się w tem czegoś ekscentrycznego, że miłość dla bliźnich wyraża się w taki właśnie sposób.

Większość zborowników kościoła Nazaretańskiego żegnała pastora Bruce z serdecznym żalem, chociaż ci, którzy nie złożyli ślubu naśladowania Chrystusa, byli nawet radzi, że odchodzi od nich człowiek tak stanowczy i zdecydowany. Oczywiście, że nie znalazł się ani jeden człowiek nawet wśród jego przeciwników, który byłby powątpiewał o szczerości zamiarów pastora, pragnącego oddać się całkowicie swoim ubogim i zaniedbanym bliźnim i naśladowania w ten sposób Chrystusa. Ci, którzy w swoim czasie usłuchali wezwania swego duszpasterza, podtrzymali i nadal bogate życie duchowne w kościele i działają w tym duchu jeszcze dzisiaj.

Nastała jesień i należało było spodziewać się ostrej zimy. Obchodząc nową kolonję ratowniczą, założoną przez siebie, biskup zwrócił uwagę na pewien sklep, który niepodobny był do żadnego innego ze sklepów okolicznych. Całe otoczenie było dla biskupa jeszcze ciągle takim nowem, że przy obchodach swoich niemal codziennie czynił ciekawe dla siebie odkrycia.

Miejsce, które owego jesiennego popołudnia zwróciło na siebie uwagę biskupa, znajdowało się w pobliżu pralni utrzymywanej przez

Chińczyków. Za jasnemi, czystemi szybami okien wystawowych znajdowały się różne potrawy z oznaczonemi na nich cenami. Podczas gdy biskup stał w zadumie i przyglądał się temu osobliwemu i niezwykłemu w tych miejscach sklepowi, drzwi otworzyły się, a w nich ukazała się Felicja.

— Panno Felicjo — zawołał zdumiony biskup — w jaki sposób dotarła pani do tych miejsc odległych?

— Jak szybko zdołał mnie nasz biskup wyszperać — roześmiała się Felicja.

— Wyszperalem dzięki tym czystym szybom okna wystawowego, jakich nie znalazłby nikt w całej okolicy — brzmiała odpowiedź. — Dziwię się tylko, w jaki to sposób zakradła mi się pani do mojej parafji bez mojej wiedzy i wogóle dlaczego i kiedy powróciła pani do Chicago? Nic o tem nie słyszałem.

— Wiadomo biskupowi, że przed niejakim czasem razem z innymi złożyłam w kościele Nazaretańskim ślub, iż przynajmniej w ciągu roku czynić będę jedynie to, co zdaniem mojem uczyniłby Chrystus. Skutkiem tego zobowiązania prowadziłam zrazu szkołę gospodarstwa domowego w dzielnicy Rectangle w Raymond. Teraz na prośbę przybyłam tutaj i założyłam tu jadłodajnię, w której robotnicy mogą otrzymywać niedrogie i dobre pożywienie. Jestem szczęśliwa, że w ten sposób mogę zapracować dla siebie na kawałek chleba.

Felicja, która ogromnie pragnęła poznać kolonję biskupa, udała się z nim, aby ją zwie-

dzić i nie mogła się nadziwić jak wiele zostało wykonane w tej zaniedbanej i osławionej dzielnicy. Z radością widziała na każdym kroku, co może uczynić dobra wola dwojga ludzi posiadających pewne środki pieniężne, a przedewszystkiem szczere pragnienie naśladowania Chrystusa. W niewielkim ale ładnie urządzonej warsztacie stolarskim stał przy robocie młody robotnik pogwizdując wesoło. Biskup przedstawił Felicji młodego stolarza jako Stefana Clyde i wymieniwszy nazwisko Felicji, musiał oddalić się na chwilę, gdyż wołano go dokądś w pilnej sprawie.

— Zdaje mi się, że już pana gdzieś widziałam — rzekła Felicja spoglądając śmiało w oczy młodzieńca.

— Tak, widzieliśmy się już w świecie, jak się wyraża nasz biskup — odpowiedział Clyde bardzo wzruszony.

— Już sobie przypominam — rzekła Felicja z niejakim wahaniem. — Cieszę się, że pana tu spotykam.

— Naprawdę? — zawołał młodzieniec rumieniąc się z radości. — W ostatnich czasach musiała pani znieść bardzo wiele złego dodał po chwili głosem cichym, jakby w obawie, że dotknie świeżej, niezabliźnionej jeszcze rany.

— Zapewne — odpowiedziała Felicja spokojnie. — Ale i pan musiał doświadczyć wiele przykrego. Czem się to dzieje, że pan tu pracuje?

— O, to bardzo długa historia, panno Felicjo — odpowiedział Clyde. — Ojciec mój stra-

cił majątek i dlatego skutkiem namowy biskupa przybyłem tutaj, aby nauczyć się rzemiosła. Owej niedzieli, kiedy to pani złożyła ślub naśladowania Chrystusa, zobowiązałem się i ja na przeciąg roku czynić jedynie to, co zdaniem mojem i na mojem miejscu czyniłby Chrystus...

W tej właśnie chwili powrócił biskup i rozmowa obojga młodych została przerwana.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

W tygodniu następnym miał biskup dziwne wydarzenie, które w dziejach założonej przez niego kolonii misyjnej było jedynem w swoim rodzaju.

Wracał on pewnego wieczoru po zgromadzeniu religijnem do domu i z rękoma założonemi na plecach szedł żwawym krokiem, gdy wtem z za starego płotu wyskoczyli dwaj mężczyźni i rzucili się na niego. Jeden z nich trzymał rewolwer przed oczyma biskupa, drugi zaś groził mu drągiem wyrwanym prawdopodobnie z płotu i wołał tonem rozkazującym:

— Ręce do góry! Żwawo!

Miejsce to było takie puste i bezludne, że wszelki opór byłby bezowocny. Biskup uczynił tedy, czego od niego żądano i napastnik przeszukał jego kieszenie. Gdyby ktoś był widział tego duchownego z podniesionemi ku górze rękoma i nie byłby wiedział o co tu chodzi, to byłby mógł mniemać, że człowiek ten modli się o zbawienie dusz tych dwóch mężczyzn. Tak było istotnie, a modlitwa jego miała zostać wysłuchana jeszcze tegoż samego wieczoru.

Biskup nie nosił z sobą nigdy większych sum pieniężnych i napastnik, który przeszukał jego kieszenie, był niemało rozczarowany, że znalazł tak mało. Gdy powiedział o tem swo-

jemu towarzyszowi, klnąc przytem ordynarnie, ten zaklął także i rzekł:

— Zabierz mu zegarek. Trzeba brać przy-
najmniej to, co ma.

Zbir zabierał się właśnie do odbierania na-
padniętemu zegarka, gdy dały się słyszeć kroki
w pobliżu. Nie puszczając biskupa, szepnął
mu do ucha:

— Dalej, szybko, za płot, a bądź cicho, bo
jeśli nie, to... Zaraz skończymy.

Z temi słowy wciągnął swoją ofiarę przez
wyrwę w płocie i czekał razem ze swoim towa-
rzyszem, aż kroki w dali zacichły.

— No, masz już zegarek? — zapytał niecier-
pliwy napastnik, trzymający rewolwer.

— Nie — odpowiedział zapytany, klnąc po-
nownie. — Łańcuszek musiał się tu gdzieś za-
czepić.

— To go rozerwij, ty głupcze — poradził
pierwszy napastnik.

— Nie rozrywajcie go, panowie — rzekł łą-
godnie biskup. — Łańcuszek ten jest dla mnie
miłą pamiątką i byłoby mi przykro, gdyby zo-
stał rozerwany.

Na dźwięk tego głosu człowiek z rewolwe-
rem cofnął się przerażony, jak gdyby sam zo-
stał napadnięty. Szybkim ruchem wolnej ręki
zwrócił głowę biskupa ku błademu światelku,
które padało z pobliskiej latarni i zbliżył się
do niego. Ku najwyższemu zdumieniu swego
towarzysza zawołał szorstkim głosem:

— Daj spokój jego zegarkowi i oddaj mu
pieniądze! To biskup!

— Mnie to nie wzrusza, choćby to był sam
prezydent Stanów Zjednoczonych — odpowie-
dział tamten. — Co wzięte, to święte.

— A ja ci mówię, oddaj mu natychmiast pie-
niądze — rozkazywał tamten. — Jeśli chcesz,
to będziesz miał ze mną do czynienia, a wiesz,
że ja się nie bawię.

Przez chwilę napastnik z drągiem zastana-
wiał się nad słowami swego towarzysza, jak
gdyby chciał wymiarkować co też tamten uczyni-
ć zamierza. Ale spostrzegłszy, że to nie prze-
lewki, szybkim ruchem wsunął biskupowi pie-
niądze do kieszeni.

— Czy pan mnie sobie przypomina? — za-
pytał człowiek z rewolwerem, zwracając się do
biskupa.

— Nie przypominam — odparł biskup. —
Oświecenie jest takie liche, że nawet pana do-
brze nie widziałem.

— A teraz? — Napastnik zdjął kapelusz
i podszedł do duchownego całkiem blisko, aby
ten mógł przyjrzeć się mu dobrze.

Włosy napastnika były czarne jak smoła
z wyjątkiem małego miejsca na tyle głowy,
gdzie były zupełnie siwe. Gdy biskup ujrzał to
miejsce, przypomniało mu się jakieś dawne
spotkanie z takim samym człowiekiem. Napast-
nik ułatwił biskupowi przypomnienie, gdy
dodał:

— Pamięta pan jeszcze, jak to w roku 1882
przybyłem do pana jako wędrowny i opowia-
dałem panu, że podczas wielkiego pożaru do-

mów robotniczych w Nowym Yorku straciłem żonę i dziecko?

— Tak, przypominam sobie coś niecoś — odpowiedział biskup w zamysleniu, podczas gdy towarzysz napastnika przysłuchiwał się uważnie tej dziwnej rozmowie.

— Może pamięta pan i to, że dał mi pan nocleg w swoim mieszkaniu, a następnego dnia szukał pan dla mnie zajęcia. Przypomni pan sobie może i to, że przyrzekłem panu, iż nie będę pijał, gdy udało się panu znaleźć dla mnie zajęcie dozorczy w pewnej fabryce.

— Tak, teraz przypominam sobie wszystko dokładnie — odpowiedział biskup i dodał: Mam nadzieję, że przyrzeczenia swego nie złamał pan.

— Nie złamał? — roześmiał się napastnik wzgardliwie i z całej siły huknął pięścią w płot aż skaleczył sobie rękę. — Jeszcze tego samego tygodnia upiłem się jak bela i od tego czasu nie przestałem się upijać. Ale nie zapomniałem, jak pan się wtedy modlił za mną. Podczas nabożeństwa domowego modlił się pan za mną tak żarliwie, jak niegdyś moja matka, chociaż byłem człowiekiem dla pana obcym i w dodatku takim oberwańcem, że nikt na mnie nie chciał patrzeć. Ach, mój Boże, jakie życie prowadziłem od tego czasu! Prawdę mówiąc to z szynku niemal wcale nie wychodziłem, chociaż szynk zaczynał mi się wydawać piekłem na ziemi. Pomimo wszystko o modlitwie pańskiej nie zapomniałem nigdy. Miejsce, które pan dla mnie znalazł, straciłem jeszcze tego samego tygodnia,

a w dwa dni później zostałem nawet zaaresztowany. Tylko że i wtedy nie zapomniałem o panu i pańskiej modlitwie. To wspomnianie nie przydało mi się na nic, ale w żaden sposób nie mógłbym zrobić panu coś złego, albo pozwolić innym, aby pana pokrzywdzili. A więc może pan iść spokojnie gdzie się panu podoba.

Na wieży pobliskiego kościoła zegar wybił godzinę pierwszą, ale biskup nie kwapił się z odejściem, wreszcie zaś rzekł uprzejmie:

— Cóż powiedzielibyście na to, gdybym dla was obu znalazł pracę? Czy bylibyście gotowi zarzucić ten niepewny proceder i rozpocząć nowe życie?

— To wszystko nie zdało się na nic — odpowiedział napastnik, z którym biskup wdał się w taką obszerną rozmowę. — Już ze sto razy próbowałem zaczynać nowe życie, a potem padałem jeszcze niżej. Szatan trzyma mnie od dawna w swoich szponach i nie puści. Zapóźnie dla mnie.

— Proszę tak nie myśleć — rzekł biskup z całą stanowczością —. Bodaj nigdy dotąd dusza jego nie pragnęła tak serdecznie jak w tej chwili pozyskać grzesznika dla Zbawcy. Podczas całej tej niezwykłej przepawy nie przestawał on modlić się z całą żarliwością: „O, Panie Jezu, daj mi łaskę pozyskania tych dwojga dusz dla siebie! Daj mi to, abym mógł przyprowadzić je do ciebie!

— Proszę tak nie myśleć — powtórzył po chwili z naciskiem. — Bóg chce, abyście byli

szczęśliwi. I jeden i drugi posiadacie dla niego ogromną wartość.

— Panie Burns — rzekł wreszcie, gdy nagle przypomniało mu się nazwisko tego człowieka, który przed wielu laty zakołatał był do jego drzwi z prośbą o pomoc — jeśli pójdziesz pan razem ze swoim towarzyszem do mnie, to jutro znajdę pracę dla was. Odniosę się do was z całym zaufaniem. Jesteście jeszcze względnie młodzi. Dlaczego nie mielibyście pragnąć swego ratunku? Nie mogę wprost znieść tej myśli, że to cenne życie, które dał wam Stwórca, mielibyście odrzucić jak rzecz pozabawioną wartości. Pójdźcie ze mną, zdobądźcie się na trochę odwagi i spróbujcie rozpocząć nowe życie z pomocą Bożą. Obok mnie i was nikt oprócz Boga nie dowie się nigdy o tem, co tu zaszło. Bóg wam przebaczy. Przecież Chrystus przyszedł na świat po to, aby ratował ginących. Jeśli będziecie Boga prosić o zmiłowanie, to przekonacie się, że modlitwa wasza zostanie wysłuchana. Pójdźcie ze mną, będziemy walczyli w trójkę i wiercie, że zwyciężymy. Uczynię dla was wszystko, co jest w mojej mocy. O, Boże, daj mi dusze tych dwóch ludzi!

Od rozmowy z napastnikami biskup przeszedł do żarliwej modlitwy o te dwie dusze zbłąkane i zanim domówił ostatnie słowa modlitwy, Burns ukrył twarz w dłoniach i łkał głośno. Pod potężnym działaniem Ducha Bożego zmiękło zatwardziałe serce także i drugiego napastnika. Było tak, jak gdy na wiosnę pod promieniami słońca zaczynają topnieć lody, i za-

twardziałe serca zaczęły się otwierać na działanie łaski Bożej. Obaj mężczyźni nie mogli się opamiętać i nie wiedzieli co się z nimi dzieje.

— Pójdźcie ze mną — przynaglał biskup. — Bóg jest niewypowiedzianie dobry. Na resztę nocy przygarne was u siebie, a jutro znajdę dla was pracę.

Obaj mężczyźni udali się za biskupem w milczeniu. Gdy przybyli do celu, była właśnie godzina druga. Biskup zaprowadził ich do izby, przygotowanej dla gości niespodziewanych i oddalił się, życząc im dobrej nocy i błogosławieństwa Bożego.

Nazajutrz pierwszą rzeczą dla biskupa, który jeszcze ciągle był pod potężnym wrażeniem tego, co się stało, było znalezienie pracy dla obu mężczyzn spotkanych w takich wyjątkowych warunkach. Dozorca kolonji potrzebował pomocnika, ponieważ praca rosła z dnia na dzień i sam nie mógł jej podoląć. Miejsce tego pomocnika otrzymał Burns, a dla jego towarzysza znalazł biskup zajęcie woznicy w pobliskiej fabryce. A Duch Święty, któremu otworzyły się te dwa zbłąkane serca, rozpoczął w nich swoje cudowne dzieło odrodzenia.

Tegoż samego dnia po południu Burns jako pomocnik dozorczy kolonji misyjnej zamiatał schody prowadzące do gmachu frontowego i od czasu do czasu rozglądał się dokoła. Przy tej sposobności spostrzegł on jako jedną z pierwszych rzeczy swego nowego otoczenia godło szynku znajdującego się w domu przeciwnym. Szynk ten był tak blisko, że Burns byłby mógł

dosięgnąć jego drzwi końcem miotły, którą zamiętał schody. Prócz tego znajdowały się niedaleko jeszcze dwa szynki i piwiarnie, trzy dalsze znajdowały się na końcu ulicy.

Raptem otworzyły się drzwi najbliższego szynku i wyszedł z niego jakiś człowiek. Dwóch innych gości weszło do szynku. Z otwartych drzwi wionął na Burnsa oszałamiający zapach piwa. Aby nie poddać się kuszącemu zapachowi, robotnik odwrócił się od szynku i ściskając mocno miotłę, zamiętał bardzo gorliwie. Choć dzień był chłodny, na czole jego perlił się pot. Po niejakej chwili drzwi szynku otworzyły się znowu i trzech mężczyzn wyszli na ulicę. Za nimi szła dziewczynka niosąca dzbanek piwa. Podczas gdy przechodziła obok zamiętającego, mocny zapach piwa odurzył go budząc w nim pragnienie alkoholu. Jak zapamiętały zabrał się Burns do zamiętania i tak mocno ścisnął miotłę, że ręce bolały go dotkliwie.

Nagle cofnął się, powrócił do miejsca, które już był zamiętał i zaczął je zamiętać nanowo. Potem nadludzkiem wysiłkiem oddalił się od miejsca potężnej pokusy i wdychał co chwila: — O Boże, gdybyż biskup powrócił. — Biskup wyszedł był właśnie razem z D-rem Bruce, a oprócz nich nie znał Burns nikogo w całej rozległej kolonii.

Walcząc z potężniejszą pokusą, zamiętał dalej. Co chwila znajdował jakiś pretekst dla zbliżenia się do szynku i oszukania samego siebie pozorem konieczności zamiecenia stopni jeszcze niedość dobrze oczyszczonych z śmie-

cia. Odwracał się od szynku i zwracał ku niemu i czuł, że wola jego staje się coraz słabszą. Po twarzy spływał mu pot strugami. Wyziewy dolatujące go z wnętrza szynkowni oszałamiały go coraz bardziej, a chociaż wydawały mu się tak wstrętnymi, jak wyziewy piekła, nie mógł oddalić się od miejsca, które pociągało go siłą nieprzepartą.

Teraz już stał na środku ulicy i zamiętał ją. Gdy zamiętał także chodnik po tamtej stronie ulicy, do czego nie był wcale zobowiązany, przystanął i rękawem marynarki otarł obfity pot z czoła. Usta jego były blade, zęby szczykały jakby w wielkim strachu. Niby pijany chwiały się na nogach na wszystkich stronach i dygotał na całym ciele jak w napadzie febry.

Już stał na chodniku tuż przed szynkownią i chciwie okiem spoglądał do wnętrza na całe szeregi butelek i kufli, ale jeszcze się wahał. Skradając się powoli i rozglądając dokoła, zbliżył się jeszcze o jeden krok i obejrzał się za siebie. Opierzchnie wargi zwiliżył językiem i stał przez chwilę bezradny. Co chwila drzwi otwierały się. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili, a za każdym razem z szynkowni buchały oszałamiające wyziewy alkoholu. Właśnie w chwili, gdy Burns kładł rękę na klamce drzwi szynkownianych, z za rogu wynurzył się biskup, schwytał pijaka za ramię i odciągnął go na stronę. Burns nie panujący już nad sobą, podniósł rękę i z całej siły uderzył biskupa między oczy. Uderzenie było tak mocne, że jedno z oczu biskupa podlało się krwią. Niezawodnie

oszołomiony Burns w pierwszej chwili nie wiedział wcale z kim ma do czynienia.

Biskup syknął z bólu, ale nie rzekł ani słowa. Objąwszy Burnsa ramieniem wprowadził go po schodach do wnętrza domu, zamknął drzwi od sieni i oparł się o nie plecami. Burns osunął się na kolana i załkał. Biskup stał przed nim zasapany i spoglądał na biednego człowieka oczyma pełnemi współczucia.

— Módl się, módl, biedny człowiecze, módl się tak, jak się jeszcze nigdy nie modliłeś — rzekł, gdy odzyskał zdolność mówienia. — Tylko Bóg wybawić cię może i nikt prócz niego.

— O, Boże mój, Boże — łkał Burns, opanowany nagłym lękiem — niech pan się modli ze mną, niech mnie pan ratuje przed piekłem! — Biskup ukląkł w sieni obok opętanego człowieka i modlił się tak serdecznie, jak tylko umiał.

Gdy powstali z klęczek, Burns udał się do swojej izby i wyszedł z niej dopiero wieczorem, ale już pokorny, łagodny i posłuszny jak dziecko. Zaś biskup posiadał jeszcze jedno cenne doświadczenie i cieszył się, że w walce ze złem danem mu było ucierpieć dla Chrystusa. Z każdym dniem przybywało mu na doświadczeniu i coraz jaśniejstem stawało się dla niego, co to znaczy naśladować Chrystusa.

Wyszedszy z izby Burnsa, stanął na stopniach przed domem i spoglądał po ulicy, licząc szynkownie, z których każda musiała być źródłem pokusy dla biednego alkoholika. Niebawem podszedł do biskupa Dr. Bruce i obaj przyjaciele omawiali to, co się właśnie stało.

— Czy nie wiesz przypadkiem do kogo należy ten szynk — zapytał biskup.

— Nie, nie wiem tego — odpowiedział Bruce. — Jeśli uważasz, że warto się o tem dowiedzieć, to postaram się o to. Ale cóż my poradzimy w tem wielkiem mieście wobec tej strasznej plagi, mój drogi Edwardzie? Jest ona tak zakorzeniona, że zdaje się, iż cała potęga świata nie zdoła tu nic uczynić.

— Da Bóg, że i ta plaga zostanie usunięta, podobnie jak w swoim czasie niewolnictwo — odpowiedział biskup. — Narazie jest to naszym obowiązkiem dowiedzieć się do kogo należy ta szynkownia.

Dr. Bruce przyrzekł dowiedzieć się, kto jest właścicielem i w tym celu udał się nazajutrz do jednego z wybitnych przemysłowców, będącego członkiem ich kościoła. Ten przyjął gościa bardzo uprzejmie, podał mu krzesło i zaofiarował swoje usługi.

— Dowiedziałem się — zaczął Dr. Bruce bez jakichkolwiek wstępów — że najbliższy od naszej kolonji dom, w którym znajduje się szynkownia, jest własnością pańską. Pozwolę sobie rozmawiać z panem całkiem otwarcie, panie Clayton, gdyż życie jest zbyt krótkie i ma zbyt wielkie wymagania, aby można było tracić czas na prawienie sobie niepotrzebnych grzeczności. Czy pan uważa, iż dobrze się dzieje, że w domu pańskim znajduje się szynkownia?

Pytanie to podziało na zapytywanego wprost cudownie.

Clayton, który znany był jako dzielny prze-

mysłowiec, zarumienił się i nie wiedział co ma odpowiedzieć. Potem twarz jego pobladła i głowa opuściła się w najwyższym zakłopotaniu. Gdy po chwili Clayton spojrzął D-rowi Bruce w oczy, ten spostrzegł z wielkiem zdumieniem, że po twarzy człowieka, z którym rozmawiał, toczyły się dwie grube łzy.

— Pan wie, panie Doktorze, że owej niedzieli złożyłem ślub, iż będę naśladował Chrystusa wedle najlepszego rozumienia swego?

— Naturalnie, że wiem o tem — odpowiedział Bruce.

— Ale o tem nie wiedział pan zapewne, jak bardzo męczyła mnie świadomość, że cierpiąc szynk w swoim domu, nie postępuję zgodnie ze złożonym ślubowaniem — mówił Clayton. — Ów dom obok waszej kolonji daje mi największe dochody, ale właśnie w chwili, kiedy pan wchodził do mnie czyniłem sobie najboleśniej-sze wyrzuty, iż dla marnego zysku mogłem być wyprzec się swego Pana i Zbawiciela. Wiem przecie bardzo dobrze, iż Jezus, gdyby posiadał dom, to nigdy nie zgodziłby się na to, aby w tym domu znajdował się szynk. Niech pan mi już nic nie mówi. Sam wiem teraz co uczynić winienem.

Clayton podał D-rowi Bruce rękę, którą ten uściśnął serdecznie. Po chwili obaj panowie rozstali się i Clayton w serdecznej modlitwie naprawił wobec Boga swój grzech zaniedbania. Zanim przeminał miesiąc, szynk znajdujący się w pobliżu kolonji, był zamknięty. Umowa upłynęła właśnie i Clayton nie zgodził się na jej od-

nowienie z właścicielem szynku, ale dom swój oddał do dyspozycji biskupa i D-ra Bruce. Po odpowiedniem przerobieniu wnętrza domu przeniesiono do niego szkołę gospodarstwa domowego, w której dzielna Felicja wychowywała młode dziewczęta, ucząc je sztuki umiejętnego gospodarowania i przygotowując je do samodzielnych zawodów.

Z nadchodzącą zimą różnice między bogactwem i przepychem a biedą i niedolą wyjaskrawiały się coraz bardziej. Z jednej strony panożył się bezmyślny przepych, nie wiedzący co robić z nadmiarem bogactwa, z drugiej strony po ulicach snuła się bezradna nędza. Dla jednych nastawała pora okropnych cierpień i udręk, dla drugich zbliżała się pora wesołych zabaw i uciech. Nigdy bodaj nie bywało więcej balów i przeróżnych zebrań towarzyskich. Teatry i sale koncertowe bywały przepełnione publicznością poowieszaną złotem i drogimi kamieniami. Po ulicach snuły się wspaniałe powozy. A po zaułkach tała się straszliwa nędza, głodna i obdarta. Nigdy bodaj ludzie biedni nie musieli wycierpieć tyle, ile owej zimy. Ale właśnie wtedy biskup i Dr. Bruce z zastępem swoich pomocników krzatali się dzień po dniu, odszukując biednych i upośledzonych i pomagając im w miarę możności przez dostarczanie środków żywnościowych, odzieży i opału. Rozpządzali oni znacznymi zapasami przedmiotów pierwszej potrzeby i sumami pieniężnymi, przekazywanemi im przez kościoły, instytucje dobroczynne i osoby prywatne. Ale nie było, nie-

stety, takich ludzi, którzy byliby uważali za swój obowiązek zająć się osobiście wspomaganie ludzi, potrzebujących pomocy. Gdzież byli uczniowie i uczennice Chrystusa, którzy byliby pomyśleli o bezpośrednim stykaniu się z nędzą wielkowiejską, aby ich dary składane na ołtarzu miłosierdzia posiadały były wartość wiekustą? Biskupowi opadały nieraz ręce, gdy spozstrzegał, że ludzie bywają gotowi składać ofiary pieniężne, dając z nadmiaru tego, co sami posiadali, ale nie poczuli się do obowiązku czynnej współpracy w dziele miłosierdzia. Czyż było to naśladowaniem Chrystusa i chodzeniem jego śladami? Zamożni i bogaci rzucali od czasu do czasu jakiś dar pieniężny, oddawali znoszone ubranie, ale nawet na myśl im nie przyszło, aby zajrzeć do ubogich i zanieść im te dary osobiście, razem z dobrem, serdecznym słowem. Czyż wolno uczniowi Chrystusowemu uczynić sobie miłosierdzie takim wygodnym, pozbawionem wszelkiego wysiłku? Czyż może naśladowca Chrystusa tak starannie unikać bezpośredniego zetknięcia się z nędzą swoich bliźnich?

Im bardziej poznawał biskup bezmiar niedoli swoich bliźnich, im dokładniej orientował się w nieopisanej nędzy wielkiego miasta, tem częściej przychodziły mu na myśl podobne pytania. Sam on dźwigał swój krzyż z oddaniem i radością, ale bolało go to, że wszędzie widział obojętność tych, którzy uważali siebie za chrześcijan. A jednak Duch Boży działał potężnie w kościele i budził dusze najbogatszych i naj-

wybitniejszych ludzi, którzy dotychczas starannie zamykali oczy i serca przed wszystkiemi zagadnieniami społecznymi, jak człowiek zdrowy unika zetknięcia się z chorobą zaraźliwą.

Fakt ten narzucił się biskupowi i jego współpracownikom pewnego poranku z ogromną siłą i pouczył ich jednocześnie jak wielkim i doniosłym był ruch, który wszczął się w kościele Nazaretańskim.

Biskup przeczytał był właśnie swoim współpracownikom, siedzącym dokoła stołu i spożywającym śniadanie, jak ubogi człowiek, który od sześciu miesięcy był bez zajęcia, a miał do wyżywienia sześcioro dzieci, został zastrzelony w chwili, gdy chciał ukraść kawałek węgla dla ogrzania izby, w której marzła jego rodzina. Gazeta opisywała straszliwą nędzę pozostałej po zastrzelonym robotniku rodziny, mieszkającej w okropnych koszarach robotniczych.

— Jakże to okropne — rzekła pani Bruce, gdy biskup zamilkł. — Co poczną teraz te biedne sieroty i bezradna wdowa?

Biskup spojrział znowu na gazetę i rzekł po chwili:

— Mieszkają ci ludzie w dzielnicy Penrosego. O ile wiem, połowa domów tej dzielnicy i to najgorszych, należy do p. Penrosego, który pomimo to uważa się za dobrego członka kościoła

— Tak jest, należy on do kościoła Nazaretańskiego — rzekła Felicja.

Biskup był oburzony do głębi i chciał właśnie dać wyraz swemu oburzeniu, gdy wtem otworzyły się drzwi i służący zameldował pana

Clarence Penrosego. Biskup zamienił wymowne spojrzenie z D-re m Bruce i obaj przyjaciele udali się do pokoju przyjąć. Penrose, jeden z najbogatszych i najprzedniejszych ludzi miasta Chicago, stał przed biskupem i swoim niedawnym pastorem z miną tak skruszoną, że obaj przyjaciele widzieli, iż człowieka tego musiało spotkać coś bardzo niezwykłego. Był błądy, a jego usta drżały, chociaż nie był to człowiek, który byłby się zbyt łatwo poddawał swoim uczuciom.

— Słyszeliście panowie zapewne w jaki okropny sposób stracił życie ten biedny człowiek, o którym piszą w gazetach — wymówił z trudem. — Przecież to jest okropne! — Rodzina ta mieszka w jednym z moich domów. Ale to nie jest głównym powodem mojej wizyty, panie doktorze, — dodał głosem drżącym ze strachu. — Zdarzyło mi się coś tak niezwykłego, że musiałem koniecznie udać się do pana, aby mu o tem opowiedzieć. Jak pan sobie przypomina, byłem jednym z tych, którzy złożyli ślub, iż przynajmniej w ciągu jednego roku będą postępowali tak, jakby postępował Chrystus ich zdaniem. Ach, ja niemądry człowiek, wyobrażałem sobie wówczas, że już oddawna jestem dobrym „chrześcijaninem! Z nadmiaru swego dostatku udzielałem obficie środków na różne cele dobroczynne, co oczywiście nie było dla mnie żadnem wyrzeczeniem. Od czasu jak wziętem na siebie owe ślubowanie, żyłem bezustannie w niezgodzie z własnem sumieniem. Jak sobie pan zapewne przypomina, moja cór-

ka Dina złożyła takie samo przyrzeczenie. W czasach ostatnich zaczęła ona interesować się ludźmi ubogimi i zapytywała mnie niejednokrotnie gdzie ludzie ubodzy mieszkają i czy mają takie same wygodne i ciepłe pokoje, jakie mamy my. Pytanie to odebrało mi resztę spokoju i do snu układałem się z ciężkimi wyrzutami sumienia. Nie mogłem sypiać, ale pomimo to nocy ostatniej widziałem jakby w sennem marzeniu, a zarazem jakby na jawie sąd ostateczny. Stałem przed sędzią, który wezwał mnie do złożenia rachunków z mego życia. Byłem zapytywany ilu ubogich więźniów odwiedziłem w więzieniu? Co czyniłem z powierzonymi mi pieniędzmi? Jak miały się rzeczy z tem, że w domach moich ludzie marzli zimą i dusili się latem? Czy myślałem kiedykolwiek o tych biednych ludziach i czyniłem cośkolwiek dla złagodzenia ich nędzy? Czy Jezus na mojem miejscu byłby postępował tak, jak postępowalem ja? Jak wykorzystywałem swoje wykształcenie i swoje stanowisko społeczne? Czy używałem darów swoich dla szczęścia i pomysłności swoich ubogich bliźnich, dla dopomagania im w niedoli i nędzy? Komu wiele dano, od tego będzie wiele żądano. Takie oto było moje widzenie.

— Wszystko to widziałem tak jasno i wyraźnie, jak w tej chwili widzę panów. I wszystkie słowa słyszałem całkiem wyraziście. Było mi tak, jak gdyby Zbawiciel stał przede mną w koronie cierniowej i spoglądał na mnie okiem pełnem gorzkich wyrzutów. Wszystko inne zo-

stało przesłonięte widokiem jego umęczonej postaci i oto gdy wstałem i sięgnąłem po gazetę, pierwsza rzecz, jaką przeczytałem, była ową smutną wiadomością o tragicznej śmierci tego biednego robotnika, który był moim lokatorem, a który tak długo daremnie szukał zajęcia. Nie umiem panom powiedzieć, jak bardzo zostałem wstrząśnięty tą wiadomością i jak dalece czuję się winnym wobec Boga.

Pan Penrose zamilkł nagle. Biskup i Dr. Bruce byli głęboko wzruszeni. Jak potężnie musiał działać Duch Boży na tego człowieka, który był dotychczas taki z siebie zadowolony i taki w sobie zadufany, że mógł wreszcie pojąć jak dalekim był od prawdziwego naśladowania Chrystusa i mógł przemienić się w duszy swojej niemal z dnia na dzień.

Przez pokój przyjęć wionęło takim samym duchem nowego życia, jak ongi w kościele w mieście Raymond, a później w kościele Nazaretańskim w Chicago, gdy duchowni zywali swoich zborowników do prawdziwego i szczerego naśladowania Chrystusa. Biskup położył rękę na ramieniu pana Penrosego i rzekł:

— Oto Bóg był bardzo blisko pana. Niech pan się z tego raduje.

Penrose ukrył twarz w dłoniach i łkał. Gdy biskup pomodlił się, uspokoiło go to trochę i razem z obu duchownymi udał się do rodziny zastrzelonego robotnika. Te odwiedziny nędzarzy były dla Clarence Penrosego początkiem nowego życia. W chwili gdy wkroczył do przybytku nędzy i rozpaczy, postanowił sobie, że od-

tąd mienie swoje uważać będzie za grzywnę powierzoną mu przez Boga i że będzie używał tego mienia tak, jak używałby go Chrystus na jego miejscu.

Zanim zima dobiegła do połowy, w mieście zdarzyło się jeszcze wiele rzeczy, które dla tych co wzięli na siebie zobowiązanie naśladowania Chrystusa były bardzo doniosłymi. Pewnego dnia gdy Felicja z koszyczkiem zawierającym pożywienie dla pewnego biedaka szła przez dziedziniec kolonji, spotkała się ze Stefanem Clyde, który przyłączył się do niej.

— Niech mi pani pozwoli, że będę niósł za panią ten koszyczek — rzekł Clyde witając się z Felicją. — Zarazem proszę o pozwolenie porozmawiania z panią po przyjacielsku — dodał po chwili z taką swobodą, która zadziwiała jego samego. Kochał on bowiem Felicję od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, a jego miłość potęgniała z dnia na dzień, tembardziej, że w ostatnich czasach widywał się z nią bardzo często.

— Cóż ma mi pan do powiedzenia? — uśmiechnęła się Felicja, nie zdając sobie sprawy do czego zmierza młodzieniec. — Czy to takie ważne?

— Ogromnie ważne — odparł Stefan uradowany tak bardzo, że zapomniał, iż niesie koszyk i Felicja musiała go napomnieć, aby nie wysypał tego, co się w nim znajdowało. Gdy mówiąc do niego spojrzała w jego twarz o szlachetnych prostych rysach, odgadła intencje czegoś młodego przyjaciela i zarumieniła się. Jej oczy zwilżyły się zlekka. W tej chwili zdała sobie sprawę z tego, że Stefana kocha.

Rozmowy, jaka między młodymi nastąpiła, nie mamy prawa powtarzać dosłownie. Możemy powiedzieć tylko tyle, że ów koszyczek nie dotarł tego samego dnia do miejsca przeznaczenia. Gdy biskup powracający z miasta spotkał się z młodymi, nie został przez nich wcale dostrzeżony i dzięki temu usłyszał takie słowa:

— Od kiedyż właściwie kochasz mnie, Felicjo? — poczem głos dziewczyny odpowiedział z cichym śmiechem:

— Od chwili, gdy spotkałam cię w warsztacie stolarskim.

Biskup chrząknął, aby zwrócić na siebie uwagę i udając surowość zapytał:

— Czy wolno zapytać dokąd to państwo niesiecie ten koszyk?

— Niesiemy go... niesiemy... — jąkał się pomieszany Stefan. — Dokądże my go właściwie niesiemy, Felicjo?

— Do domu go niesiemy, proszę biskupa — wyjąkała Felicja, a Stefan pośpieszył jej z pomocą, dodając:

— To jest właśnie początek naszego urządzenia domowego...

— A, to tak się rzeczy mają — roześmiał się biskup. — Mam nadzieję, że przy nowem ognisku rodzinnem pozwolicie mi się nieraz ogrzać. Wiadomo mi dobrze, że Felicja potrafi dobrze gotować. W takim domu dobrze bywać gościem.

— Będzie pan dla nas zawsze najmiłszym gościem — odpowiedziała Felicja cała promieniejąca szczęściem. — Czy cieszą pana te zaręczyny?

— Naturalnie, że mnie cieszą — odparł ducho-

wny i głosem wzruszonym dodał: — Niechże Bóg błogosławi wasz związek, moi młodzi przyjaciele —. To rzekłszy pozostawił Stefana i Felicję, aby się cieszyli swoim młodem szczęściem, i w zamysleniu poszedł do swego mieszkania.

Niebawem po tem wydarzeniu, które właśnie opowiedzieliśmy, biskup i Dr. Bruce urządzili wielkie zgromadzenie w sali kolonji dla najbardziej wykolejonych i upadłych ludzi tej dzielnicy wielkiego miasta. Zaproszono na to zgromadzenie anarchistów, sceptyków i wogóle ludzi, dla których nie było już nic świętem i nic godnem szacunku. Do ludzi tych miał przemawiać Henryk Maxwell. W tym celu przyjechał on do Chicago w towarzystwie Racheli Winslow, Wirginji Page i jej brata Rollina, Aleksandra Powersa i rektora Marsha. I oto miał się zetknąć bezpośrednio z najbardziej wykolejonymi żywiołami ogromnego miasta, nad którymi jednakże czuwał miłosierny Bóg bez względu na to, czy ci ludzie zdawali sobie z tego sprawę, czy nie. Każdy, kto przybył do wielkiej sali w kolonji ratowniczej, czytał napis w transparencie umieszczonym nad drzwiami sali: Co uczyniłby Jezus?

Na widok tego transparentu Henryk Maxwell został głęboko wzruszony. Przypomniał sobie wszystko co przeżył w kościele raymondzkim, gdy w duszy jego powstało pytanie: Co to znaczy naśladować Chrystusa? Przypomniał sobie jak najpierw odpowiedział na to pytanie samemu sobie i jak następnie przedłożył je innym, wzywając ich, aby odważyli się

chodzić śladami Zbawiciela bez oglądania się na jakiegokolwiek następstwa.

Teraz oto nawiedzała go przedziwna radość, że ta myśl, która w nim zakiełkowała, staje się własnością innych ludzi. Możliweż to, myślał w duchu, że sen cudowny się ziści i że po całym kraju rozejdzie się fala wielkiego ruchu odrodzencego? Oto ma przemawiać do wielkiego zgromadzenia. Od czasu, gdy zaczął bywać wśród robotników raymondzkich i przemawiać do nich w sali nad warsztatami mechanicznymi, nabrał wprawy w publicznych przemówieniach i nie obawiał się, że nie znajdzie słów odpowiednich dla wyrażenia tych myśli, któremi chciał podzielić się ze zgromadzonymi. Ale pomimo to prosił Boga gorąco, aby dał mu myśli dobre i słowa jasne. Z głębi duszy modlił się:— O, Panie mój i Mistrzu, naucz tych, którzy idą za tobą, co to znaczy kroczyć twojemi śladami!

Czy modlitwa Henryka Maxwella zostanie wysłuchana i czy kościoły wielkiego miasta Chicago pójdą za wezwaniem Chrystusa i zaczną naśladować go z całym zapałem? Czy zgodzą się na wzięcie krzyża Chrystusowego na siebie i dźwigania go skroś życie? O, tak. Wszak w tejże samej chwili czuło się, że Duch Boży wznosi się nad olbrzymiem miastem. Nie zasmucaj tego Ducha świętego, ty wielkie miasto, aby nie odwrócił się od ciebie! Bowiem nigdy jeszcze świat nie był tak bliski odrodzenia i odnowienia się w Bogu, jak obecnie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Towarzystwo, które zebrało się w wielkiej sali kolonji misyjnej dla wysłuchania przemówienia Maxwella, było dość pstre. Byli to przeważnie ludzie, którzy wzięli rozbrat z wszelkimi zasadami religijnymi i moralnymi i równie gorąco nienawidzili kościół, jak i całe społeczeństwo wogóle. Świat nazywa takich ludzi szumowinami społeczeństwa i nie chce mieć z nimi nic do czynienia. Natomiast szczerzy uczeń i wyznawca Chrystusa zbliża się do takich ludzi, aby im pomagać i naśladuje w tym względzie przykład Tego, który był przyjacielem celników i grzeszników.

Maxwell nie bał się już tak, jak dawniej, przemawiać do takich słuchaczy, ale z ufnością dziecka prosił Boga o słowa właściwe dla tych ludzi, którzy przybyli na to zgromadzenie, z pobudek najróżniejszych. Większość tych słuchaczy przyszła niezawodnie z ciekawości. Niejeden bezdomny i bezrobotny znajdował w ten sposób na godzinę lub dwie ciepłe schronisko przed straszliwym chłodem. Być może, iż nie brakło i takich, którzy przybyli z wyraźnym zamiarem wszczynania hałasów i wywoływania zamętu. Wszyscy ci ludzie mieli oto otrzymać żywe świadectwo o Zbawcy, który jeszcze dzisiaj, jak przed stuleciami, szuka ginących, aby

ich ratował. Każdy z tych ludzi słyszał już to i owo o Jezusie z Nazaretu i każdy z nich w taki lub inny sposób łączył w swoim umyśle pojęcie sprawiedliwości lub niesprawiedliwości z tem imieniem. Wziął to pod uwagę nasz mówca i nawiązując do tej postaci, zaczął w słowach najprostszym mówić o tych powodach, jakie wywołały zrazu w nim, a potem w całym kościele raymondzkim niesłychaną przemianę.

Ludzie o rysach pełnych gwałtownej brutalności słuchali uważnie, osobliwie gdy Maxwell przechodząc od specjalnych stosunków raymondzkich do ogólniejszych, zaczął zastanawiać się nad dzisiejszem położeniem świata i rzucił pytanie: Kiedyż to nadejdą czasy, w których kupcy, politycy, przedstawiciele prasy, robotnicy i duchowni nie będą czynili niczego, nie zadawszy sobie poprzednio pytania: Co na mojem miejscu uczyniłby Chrystus? Zło trawiące świat dzisiejszy to samolubstwo zarówno oświeconych jak i nieoświeconych, posiadających i ubogich. Zło owe może zostać pokonane tylko i jedynie przy pomocy Tego, który głosił miłość i miłosierdzie, a przykładem własnym pokazał całemu światu jak należy kochać bliźniego. Świat zmieni się do niepoznania, gdy w przyszłości pójdzie śladami Jezusa.

Aż dziwno, jak uważnie słuchali wszyscy wywodów mówcy. Nikt nie ważył się przerwać jego mowy jakimiś uwagami lub okrzykami, jak w razach takich zdarzać się zwykło.

Kto umiał czytać w rysach ludzkich twarzy, dla tego nie było tajemnicą, że uwaga i spokój tych ludzi nie były wymuszone słowami ludzkiemi, ale że działała tu wyższa moc Ducha świętego.

Jak zwykle na takich zgromadzeniach, wezwano zebranych, aby wypowiadali się o tem, co właśnie słyszeli, pod warunkiem, że żaden mówca nie będzie przemawiał dłużej, niż trzy minuty, oraz że zostanie zachowany zupełny porządek. Ledwo biskup dał znak, że uczestnicy zebrania mogą żądać słowa, gdy z pośród słuchaczy podniósł się jakiś człowiek i zaczął mówić:

— Znałem Jacka Manninga, o którym pan Maxwell nam opowiadał, bowiem przez dwa lata pracowaliśmy w Filadelfji w tej samej drukarni. Był to człowiek dobry i uczynny. Razu pewnego, gdy znajdowałem się w biedzie, pożyczyl mi pięć dolarów, których nie mogłem mu oddać. Obaj straciliśmy zajęcie, gdy zostały zaprowadzone nowe maszyny drukarskie i obaj włóczyliśmy się po mieście szukając nowego zajęcia i nie mogąc go znaleźć. Z tem, co Manning powiedział o chrześcijanach, zgadzam się najzupełniej. Zdaniem mojem chrześcijanie nie są nawet o włos lepsi od innych ludzi. Są oni tak samo chciwi, łakomi i ambitni jak wszyscy inni ludzie na świecie. Wyjątek stanowią Dr. Bruce, biskup i może jeszcze kilku innych chrześcijan, których nie znam.

Przy żywych i hałaśliwych potakiwaniach

słuchaczy mówca usiadł i zaraz inny jakiś człowiek powstał, mówiąc:

— Czy wolno zwrócić się z pewnym pytaniem do pana prelegenta?

— Bardzo proszę — odpowiedział Maxwell — tylko że nie mogę zapewnić pytającego, czy odpowiedź moja zdoła go zadowolnić.

— Chciałbym się zapytać — mówił głosem podnieconym ów człowiek, — co na moim miejscu uczyniłby Jezus, gdyby tak samo jak ja od dwóch miesięcy szukał daremnie zajęcia i gdyby musiał myśleć nie tylko o sobie, lecz i o żonie oraz dwojgu dzieci? Bóg wie, że chętnie urobiłbym sobie ręce po same łokcie, gdybym tylko znalazł jakiegokolwiek zajęcia. Ale, niestety, w żaden sposób pracy znaleźć nie mogę, a sam jej sobie nie wyczaruję.

Pastor Maxwell widział, że oczy wszystkich zgromadzonych zwracają się ku niemu. Niestety, na to pytanie, w którym ogniskowało się całe współczesne zagadnienie społeczne, nie posiadał gotowej odpowiedzi. Trzeba się było zgodzić, że położenie człowieka nie posiadającego środków do życia i nie mogącego znaleźć pracy, podczas gdy w domu żona i dzieci cierpią głód, jest istotnie rozpaczliwe. Zaiste, nie podobna dziwić się, gdy taki człowiek w bezradności swojej schodzi na drogę przestępstwa i dopuszcza się rzeczy karalnych, albo gdy nie widząc wyjścia dla siebie, pozbawia się życia, które staje się dla niego nieznośną męką. Taki człowiek ma wszelkie prawo żądać od ucznia Chrystusowego, aby mu odpowiedział na pyta-

nie, co w takiej sytuacji uczyniłby Jezus. Ale cóż można odpowiedzieć takiemu biednemu człowiekowi w warunkach obecnych? Pastor Maxwell myślał o tem wszystkim ze wrażliwą bezradnością i wreszcie zwrócił się z pytaniem do wszystkich zgromadzonych:

— Czy wśród zebranych niema czasem ucznia Chrystusowego, który znajdował się w położeniu podobnym, aby nam mógł powiedzieć, co czynił w ciężkiej sytuacji i jak starał się jednocześnie, aby się nie uchylił od drogi naśladowania Chrystusa? Taki brat nasz mógłby na zadane mi pytanie odpowiedzieć najlepiej.

Po pewnem wahaniu podniósł się jakiś wyędźniały stary robotnik i zaczął mówić bardzo nieśmiało:

— Zdaje mi się, iż mogę powiedzieć, że starałem się pozostać wiernym Chrystusowi nawet w bardzo ciężkich sytuacjach, chociaż nie zadawałem sobie pytania: Co w położeniu mojem uczyniłby Chrystus? Gdy traciłem zajęcie to nie pozostawiałem żadnej sposobności do znalezienia dla siebie zajęcia nowego. Czasem gdy usiłowania moje pozostawały daremnymi zebrałem, abym miał kawałek chleba i trochę opału dla siebie i swoich. Zwracałem się też do różnych towarzyszy dobroczynnych. Być może, iż Jezus na moim miejscu byłby raczej cierpiał głód, niż byłby się zdecydował na zębranie, ale pomimo to mogę powiedzieć, że w gruncie rzeczy nawet w sytuacjach najgor-

szych nie dopuściłem się niczego, co musiałbym uważać za zdróżne.

Mówiąc to, człowiek ów rozglądał się nieśmiało dokoła siebie, jak gdyby prosił słuchaczy o przebaczenie, że odważa się do nich przemawiać. Ale to, co powiedział, wywarło jednak pewne wrażenie na słuchaczach. Wrażenie to nie podobało się Carlsenowi, skrajnemu radykałowi w kwestjach społecznych. Powstał on z miejsca i gestykulując żywo, mówił głosem podnieconym:

— Wszystkie te gadania są głupie i niedorzeczne. To, co dzisiaj nazywa się cywilizacją i kulturą, jest w rzeczywistości zgnilizną, która powinna zniknąć z oblicza ziemi. Nic nie pomoże, gdy ludzie niektórzy zabierają się do osławiania tej zgnilizny płaszczykami pięknych słówek, pozbawionych wartości. Dzięki chciwości i okrucieństwu sprytnych i bezwzględnych wyzyskiwaczy tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci zostają skazane na zagładę. Chwałaż Bogu (jeśli wogóle istnieje jaki Bóg, o czym pozwolę sobie mocno wątpić), że nie mam żony i dzieci, które domagałyby się ode mnie chleba. Musi to być istnem piekłem na ziemi, gdy człowiek sam nie ma co jeść, a tu jeszcze musi się starać o zatkanie głodnych gęb dzieciaków i żony, jak nam to przedstawiał ten pocziwiec, który mówił przede mną. Nie mówcie nam nic o pobożnych. Niech oni sobie biegają do kościołów, wygłaszają piękne mowy i śpiewają ckleiwe piosenki o tem, że niczego tak bardzo nie pragną, jak dźwigania krzyża Chrystuso-

wego i oddania mu wszystkiego, co tylko posiadają. Przecież ci sami ludzie żyją w bogactwie i przepychu, nie wiedząc co robić z nadmiarem pieniędzy, ale żaden z nich nawet nie pomyśli, że dokopa giną ludzie podobni do nich, ale nie mający kęsa chleba dla nasycenia straszliwego głodu. Być może, że istnieją jakie takie wyjątki, ale naogół chrześcijanie są największymi chciwcami i łakomcami na całym świecie. Niech szanowny pan prelegent uda się do jednego z najbogatszych kościołów naszego miasta i niech tym chrześcijańskim bogaczom powie to wszystko, co powiedział nam, a oni odpowiedzą mu, że jest marzycielem i głupcem. Nie i nie! Takimi środawkami nie można uratować naszego cierpiącego pokolenia. Tu potrzeba radykalnej przemiany wszystkich panujących stosunków i warunków istnienia. Kościół nie stoi po stronie ubogich i upośledzonych, a duchowni muszą tańczyć tak, jak im kapitałści zagrają.

Rozgorączkowany naprawiacz świata byłby w ten sposób przemawiał jeszcze całą godzinę, gdyby ktoś siedzący tuż za nim, nie był zapragnął dorwać się do słowa, aby z kolei w słowach mało wybrednych i nienawistnych napadać na kościół i chrześcijaństwo. Za wszystko zło i niedolę czynił on odpowiedzialnym kościół i duchownych.

Pewien stary dozorca kolejowy skorzystał ze sposobności, aby czynić gorzkie wyrzuty zarządowi kolei, inny wypowiadał się w słowach bardzo ostrych przeciwko wolności zakładania

fabryk, wyszukujących biednych robotników, jeszcze inny dopatrył się źródła wszelkiej niedoli na świecie w wynalazkach i odkryciach. Wynalazki są dziełem szatana i one winne są temu, że na świecie panuje taka nędza i tak bywa trudno o pracę. Przemówienie tego człowieka podobało się wszystkim tak bardzo, że gdy mówca skończył to zerwał się istny huragan oklasków. Ponieważ atmosfera stawała się coraz bardziej gorącą, biskup uznał, że trzeba przerwać tę dość bezpłodną dyskusję i poprosił Rachelę Winslow o zaśpiewanie jakiej pieśni religijnej. Cała sala była rozkołysana i rozfalowana. Lecz oto w tę wrzawę i w ten ogłuszający zgiełk spłynął czysty, wspaniały głos kobiecy. Rachelę śpiewała cudownym swoim głosem pieśń:

Słuchaj, oto Jezus woła:

Za mną pójdź! Za mną pójdź!

W jednej chwili na sali zapanowała uroczysta cisza. Jak na skinienie różdżki czarodziejskiej uciszyły się wszystkie namiętne głosy ludzkie, a ci, którzy jeszcze przed chwilą krzyczeli na całe gardło, zacichli i w głębokiem skupieniu słuchali słów pieśni. Carlsenowi sływały grube łzy po twarzy, a ostre rysy tej twarzy dziwnie złagodniały. Bezrobotny zapomniał na chwilę o wszystkich swoich troskach i zgryzotach i nawet ten człowiek, który w sposób szorstki i brutalny występował przeciwko kościołowi, zdawał się poddawać subtelniejszym drgnięciom duszy.

Nazajutrz otrzymał Maxwell zaproszenie,

aby w jednym z głównych kościołów wygłosił przedpołudniowe i popołudniowe kazania. Chociaż bardzo pragnął być w niedzielę u siebie i móż przemawiać do swoich zborowników, to jednak zaproszenie to uważał za głos Boży, którego usłuchać należy. Niemal całą noc spędził na przygotowaniu się do tych kazań i w gorących modłach prosił Boga, aby natchnął go słowy roztropnemi i przekonywującemi tych wszystkich, którzy nie byli dotąd przekonani o konieczności szczerego naśladowania Chrystusa. Nie dziw tedy, że słuchacze jego już z pierwszych słów natchnionego mówcy wyczuili, iż nie przemawia do nich kaznodzieja żądny chwały za krasę słów, ale zwiastun woli Bożej i zdobywacz serc dla Chrystusa.

Za tekst do kazania wziął Maxwell opowieść ewangeliczną o bogatym młodzieńcu, do którego rzekł Jezus: „Sprzedaj wszystko, co masz i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, a przyjdź, naśladuj mnie wzięwszy krzyż.”

— Prawdaż to — wołał, zwracając się do słuchaczy — że całe nasze społeczeństwo dzisiejsze podobne jest do bogatego młodzieńca, który odwrócił się od Jezusa jedynie dlatego, że nie umiał zdobyć się na takie samozaparcie, jakiego Zbawiciel domagał się od niego? Czyż prawdziwym jest zarzut podniesiony niedawno na zgromadzeniu publicznem, że kościół dzisiejszy, który nosi imię Chrystusa, ani myśli o naśladowaniu swego Mistrza i Pana, gdy to naśladowanie łączy się z koniecznością wyrze-

czeń? Prawdą to, że kościoły nasze składają się przede wszystkim z ludzi, którzy umieją myśleć jedynie o własnym dobru i nigdy nie zastanawiają się nad cierpieniami bliźnich i nad obowiązkami dźwignania ich z upadku?

— Czy bogaci członkowie naszych kościołów bywają chętni do oddawania swego mienia na usługi sprawy Chrystusowej? Czy ci, których Bóg wyposażył bogatymi darami duchowymi okazują gotowość oddania tych darów na usługi wszystkich ludzi, jak uczyniłby Chrystus? Czas już najwyższy, abyśmy pomyśleli poważnie, że naśladowanie Chrystusa to nie żadna retoryka, ale dosłowne czynienie tego, co na naszym miejscu czyniłby Chrystus. Powiedzieć sami, wy mieszkańcy Chicago, czy godnem jest ucznia Chrystusowego, że obojętnie przechodzi obok głodnych i zbiedzonych mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy potrzebują pomocy nie tylko materialnej ale i duchowej od każdego z nas? Albo czyż może być dla nas obojętnem, że dzięki wolności wyszynku wódki ludzkość ponosi daleko większe szkody, niż przez najkrwawsze wojny? Czy nie wiecie o tem, że dzielni i krzepcy robotnicy popełniają zbrodnie i samobójstwa, gdy nie mogą znaleźć pracy i gdy nikt nie myśli o tem, aby ulżyć ich doli i znaleźć dla nich zajęcie, aby mogli uczciwie pracować na kawałek chleba dla siebie? Czyż naprawdę myślicie, że takie rzeczy nikogo nie obchodzą, bo każdy musi myśleć tylko o sobie?

— Czyżby w Królestwie Bożem nie obowią-

zywały dzisiaj te same prawa, jakie Zbawiciel nasz ustanowił, gdy działał i nauczał żyjąc na ziemi? Czyż Jezus, gdyby dzisiaj znajdował się wśród nas, nie mówiłby do was tego samego, co ongi mówił do tych, którzy chcieli go słuchać? Wszak każdy z nas czuje, że i dzisiaj powiedziałby on do niejednego z was, co ongi powiedział do bogatego młodzieńca, a z pewnością powiedziałby to przede wszystkim do tych, dla których mienie przedstawia daleko większą wartość, niż Zbawiciel. O, zaiste, że Jezus jeszcze dzisiaj powiada do nas: „Ktoby się nie wyrzekł wszystkiego co posiada, nie może być moim uczniem.”

— Gdyby wszyscy, którzy nazywają siebie uczniami Jezusa, trzymali się tych zasad, to niebawem przestałyby się zdarzać te smutne i niechrześcijańskie rzeczy, jakie dzisiaj są na porządku dziennym. Dary ducha i dary materialne znalazłyby daleko piękniejsze zastosowanie, niż znajdują obecnie. Nikt z uczni Chrystusowych nie pomyślałby wtedy o tem, że można by domy wynajmować właścicielom szynkowni rozpajających i niszczących masy ludowe. I nikt nie budowałby takich straszliwych mieszkań dla robotników, jakie buduje się obecnie wyłącznie dla zysku. Tysiące ludzi, którzy dzisiaj wyciągać muszą rękę jako żebracy, mieliby pożyteczną pracę. Młode dziewczęta zmuszone zarabiać na chleb dla siebie, nie byłyby wystawiane na tysiącne pokusy, gdyby nie musiały pracować za takie nędzne wynagrodzenie, jakie istotnie otrzymują od swoich

bogatych pracodawców. Młodzi pracownicy nie byłiby wtedy przedmiotem wyzysku, ale ich pracodawcy odnosiliby się do nich jak najserdeczniej, pamiętając o tem, że mają do czynienia z bliźnimi, o których dusze nieśmiertelne troszczyć się należy. Powiedzcież sami, czy tego wszystkiego nie domaga się od nas Zbawiciel? Cóż właściwie czyni dzisiejsze chrześcijaństwo dla swego Mistrza? Czyż możemy uważać, że kościoły spełniają wszystkie swoje obowiązki, gdy od czasu do czasu przeznaczają pewne sumy na misje i dobroczynność? Czy naprzykład bogaty milioner ponosi jakąkolwiek ofiarę, gdy na jakiś cel szlachetny daje tysiąc dolarów? A czy kościół czyni naogół lepiej? Kto, kiedy i w jaki sposób wyrzeka się czegoś dla Chrystusa?

— Ofiary pieniężne, jakie składają chrześcijanie, to zjawisko wtórne i następcze. Ofiar takich nie zbraknie nigdy, a nawet będą one jeszcze obfitsze, gdy chrześcijanie ofiarują Bogu przedewszystkiem samych siebie. Czasy dzisiejsze domagają się od nas chrześcijaństwa czynnego, aby zaś doszło do niego, muszą przebudzić się sumienia. Dotychczas oszukiwaliśmy samych siebie i nazywaliśmy chrześcijaństwem coś, czego sumienia nasze nie chciały i nie mogły uznać za naśladowanie Chrystusa. Do wielu z pośród nas, którzy wołają: Panie! Panie! — powiedziała by Chrystus: Nigdy was nie znałem.

— Cóż to znaczy, gdy chrześcijanie śpiewają: „Wszystko oddam Jezusowi, wezmę na się

jego krzyż?” Jeśli za słowami temi nie idzie czyn, to słowa te są kłamstwem. I kogóż to chcemy okłamywać? Zaiste nikt nie może zaliczać się do uczeni Chrystusowych, kto nie jest gotów być mu posłusznym bezwzględnie. Tylko zdecydowana wola naśladowania Chrystusa, choćby wymagał od nas największych i najcięższych ofiar, pozwala nam uważać się za jego uczeni. Czy chcecie stać się takimi jego uczniami?

Pytaniem tem skończył Maxwell kazanie i badawczem okiem rozglądał się po uczestnikach nabożeństwa, wśród których było wielkie mnóstwo takich ludzi, co to zadawałają się chrześcijaństwem nominalnem. Głęboka cisza zapanowała w domu Bożym i nawet ludzie lekkomyślni zaczęli czuć, że usta kaznodziei przemawiała prawda Boża. Jeśli słuchacze oczekiwali, że duchowny i im uczyni propozycję, aby zobowiązali się do naśladowania Chrystusa, jak to uczynił w swoim kościele w Raymond, to spotkał ich zawód. Maxwell wygłosił kazanie, o które go proszono, jak gdyby był wysiał ziarno na roli, i czekał na skutek tego siewu.

I oto stała się rzecz wspaniała. Ledwo przebrzmiały ostatnie słowa modlitwy kończącej nabożeństwo, gdy ze wszystkich stron kościoła jęli zbliżać się do duchownego młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, aby w ręce duchownego z własnej nieprzymuszonej woli złożyć ślubowanie, że odtąd postępować będą w myśl zasady: Co uczynił by Chrystus? Na nabożeń-

stwie popołudniowym liczba naśladowców Chrystusa powiększyła się o wszystkich członków związku młodzieży, którzy pośpieszyli złożyć wiadome ślubowanie.

Serce Maxwella było przepelnione radością i szczęściem, że Bóg wysłuchał jego gorącą modlitwę. Gdy wieczorem tego dnia, który był bardzo doniosłym nie tylko dla niego, ale i dla kościoła w Chicago, Maxwell ukląkł, aby podziękować Bogu za jego wielkie miłosierdzie, wtedy oczom jego ducha ukazała się jakby wspaniała wizja tego wszystkiego, co zaszło w świecie dzięki potężnemu ruchowi religijnemu. Widział on całe swoje życie, które z własnych dróg przechodziło na drogę Bożą i coraz bardziej przenikało się duchem naśladowania Chrystusa. Widział początki ruchu w kościele, którego był pasterzem, widział przeciwnictwa i trudności, których nie brakło, ale które musiały wreszcie ustąpić wielkiemu zwycięstwu.

Widział, jak Wirginja Page i Rachela Winslow spełniały wiernie obowiązki wziętego na się ślubowania i jak praca ich w Rectangu czyniąc piękne postępy krzewiła błogosławieństwo Boże daleko poza miastem Raymond. Widział jak Rachela i Rollin prowadzili życie prawdziwie chrześcijańskie, mogące służyć niejednemu za przykład do naśladowania.

Widział, jak rektor Marsh wiedzą swoją i wpływem moralnym wspierał młodzież, starając się o to, aby jego uczniowie i uczennice poznawali przede wszystkim Chrystusa i aby na-

uczuli się rozumieć, że wszelkie oświecenie może dopiero wówczas wydawać owoc wspaniały, gdy oddane zostaje na usługi sprawy Bożej.

Widział dalej, jak Aleksander Powers pomimo niesłychanych trudności, z którymi spotykał się przede wszystkim w łonie własnej rodziny w mocy Ducha świętego pokonywał wszystkie przeciwnictwa i pozostawał wiernym uczniem Chrystusa, dla którego wyrzekł się stanowiska i dóbr.

Widział, jak Milton Wright niejednokrotnie był narażony na niebezpieczeństwo ruiny materialnej jeśli chciał wytrwać wiernie przy Chrystusie, któremu przyrzekł wierność, ale jak w końcu pokonał wszystkie przeciwnictwa i stawał się błogosławieństwem dla wielu, którzy się z nim stykali.

Widział, jak Edward Normann dzięki materialnemu poparciu Wirginji Page pismo swoje uczynił potężną podporą ruchu chrześcijańskiego i jak niejedną z jego kolegów, biorąc go sobie za przykład, zaczynał redagować wydawane przez się pismo na tych samych podstawach, które Normann uczynił swojami.

Widział, jak Jasper Chase, który wyparł się swego Pana, coraz bardziej tonął w falach życia pozbawionego ideału, nie znajdując zadowolenia w tem wszystkim, czemu służył i czemu oddał się niepodzielnie. We wszystkich powieściach, które pisał, przejawiało się niezadowolenie z samego siebie, ze świata i ludzi.

Widział, jak Felicja i Stefan Clyde stali się szczęśliwymi małżonkami, którzy i w dniach

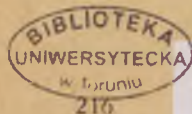
trosk i zgryzot nie przestawali wiernie służyć swemu Panu i Mistrzowi, wnosząc do niejednego biednego domu promień słonecznej radości.

Widział, jak biskup i Bruce wiernie spełniali obowiązki wskazane im przez ich Zbawcę i jak dzięki temu stali się narzędziami w rękę Boga, pozyskującego przez nich liczne dusze dla lepszego i piękniejszego życia i dla żywota wiecznego w Chrystusie i z Chrystusem.

Wreszcie oczom duszy Maxwella ukazał się sam Chrystus na obłokach w chwale i w otoczeniu tych, których odkupił krwią swoją dla siebie i poświęcił ich dla nowego życia, aby wedle najlepszego rozumienia i dobrej woli chodzili jego śladami, jako wybrańcy jego umiłowania i jaśniejący chwałą jego po wieki wieków.

Po tej cudownej i pięknej wizji, która stała się udziałem Henryka Maxwella, widział on jaśniej niż przedtem potęgę grzechu, panującego nad światem, ale pomimo to powstał z klęczek wzmocniony wiarą i przeświadczeniem, że sprawa jego Mistrza zwycięży ostatecznie. Jak ongi święty Jan na wyspie Patmos, tak i on widział oczyma duszy swoją przyszłą wspaniałość oblubienicy Barankowej, która bez skazy i plamy pójdzie za Oblubieńcem swoim dokąd ją miłość jego powiedzie.

Koniec.



Biblioteka Główna UMK



300045777152

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1101984

Biblioteka Główna UMK



300045777152